

GDY BALET BOLI
Ile każemy znieść
zdolnym dzieciom

PRZYKAZANIA, NIE ZAKAZY
Franciszek chce na nowo
przemysleć Dekalog

SYRIA U GRANIC
Nasi reporterzy ze środka
kryzysu humanitarnego

MANIFEST NA SKÓRZE
Dlaczego wszędzie
widać tatuaże

Kraków 15 lipca 2018 nr 29 (3601)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Zerwanie z wolnością

4 lipca skończyły się
w Polsce rządy prawa



W NUMERZE DODATEK
**FESTIWAL
STOLICA JĘZYKA POLSKIEGO**



Festiwal
Stolica Języka
Polskiego

Skamandryci

5 sierpnia — 11 sierpnia
Szczyrzeszyn 2018

5 sierpnia 2018
Dzień Zamojski

Cała nadzieja
w literaturze

MECENASEM FESTIWALU JEST
 ALIOR BANK



WSPARCIE FINANSOWE
 I WSPÓŁORGANIZATORZY IV EDYCJI

Ministerstwo
 Kultury
 i Dziedzictwa
 Narodowego

Dotychczasowi patroni Miasta Kultury
 i Dziedzictwa Narodowego



Świętokrzyskie
 Voivodeship



Lubelskie
 Voivodeship



Małopolskie
 Voivodeship



PGE



ZAKI



Stowarzyszenie Autorów



ALFORSKA



ENERGOGAZ



DERMOT



Lubelskie
 Voivodeship



Fina



TRIMEX



MediaMarkt

KS. ADAM

Boniecki: Sprawa nas wszystkich

NIE PRZYPUSZCZAM, BY ODESŁANIE NA EMERYTURĘ pierwszej prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzaty Gersdorf wywołało taki efekt, jaki w roku 1980 wywołało zwolnienie z pracy (pięć miesięcy przed osiągnięciem wieku emerytalnego) Anny Walentynowicz, suwnicowej ze Stoczni Gdańskiej. Wprawdzie wątpię, że do przekonania opinii publicznej wystarczyło błyskotliwe porównanie sporu o SN do kłótni dzieci okładających się w piaskownicy łopatkami, ale być może argumentacja sprawujących władzę („jest nowa ustawa o wieku emerytalnym sędziów SN. Trudno, wszyscy jej podlegają. Sędziowie zresztą mogą poprosić pana prezydenta RP o zatrzymanie ich w pracy... jeśli nie poproszą, to niech się nie dziwią”) do ludzi trafia. Lubimy takie równające wszystkich slogany. „Bo o co u licha chodzi tej całej Gersdorf?” – pytają. I tak za niecałe półtora roku skończy się jej kadencja, prezydent się zgodził, by jej obowiązki tymczasem pełnił wskazany przez nią sędzia Józef Iwulski. Mogła zresztą poprosić prezydenta o pozostawienie jej w SN do końca kadencji...

Tylko dlaczego polskie i zagraniczne autorytety prawnicze czepiają się naszych dobrych zmian w sądownictwie? Dlaczego Unia Europejska dopatruje się w nich zagrożenia czy wręcz naruszenia praworządności? A może to po prostu „kasta prawników” broni swoich przywilejów? Co zaś do Unii Europejskiej, to coraz skuteczniej w serca chętnie korzystających z dobrodziejstw Unii Polaków sączy się podejrzliwość wobec niej, a nawet strach przed nią. Co z tego, że UE wydobyła nas z postpeerełowskiej zapaści, skoro czyha na naszą suwerenność?

Tymczasem wystarczy uważnie śledzić działalność pierwszej prezes SN, by zauważyć, że pani profesor Gersdorf jest osobą raczej skłoną do kompromisów niż szukającą awantur. Wygląda na to, że – choć niektórym ludziom trudno to pojąć – broniąc swej funkcji, pierwsza prezes Sądu Najwyższego nie walczy o własną władzę, własny fotel, prestiż, tytuł itp., lecz nadstawia głowę za sprawę pozornie abstrakcyjną i trudno uchwytą. Właśnie za praworządność.

Rzecz wyjaśnia uchwała Zgromadzenia Ogólnego SN, która stwierdza, że „usunięcie ze składu SN znacznej liczby sędziów jest oczywistym naruszeniem przez władzę ustawodawczą jednej z podstawowych gwarancji niezależności sądownictwa i w najbliższym czasie istotnie zakłóci normalne funkcyjono-



wanie SN”. PiS nie ukrywa, że wprowadzenie nowej bariery wieku emerytalnego miało służyć wymianie sędziów zasiadających w SN, w pierwszej wersji wszystkich, w ostatecznej – jego części. A odwołanie się do prezydenta? Przypomina mi się zabawa z lat dziecińczych: „tysiąc koni przepuszczamy, a jednego zatrzymamy”.

Obecnie rządzący nie godzą się z zarzutem naruszenia konstytucji. Powołują się na art. 180 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej: „3. Sędzia może być przeniesiony w stan spoczynku na skutek uniemożliwiających mu sprawowanie jego urzędu choroby lub utraty sił. Tryb postępowania oraz sposób odwołania się do sądu określa ustawa. 4. Ustawa określa granicę wieku, po osiągnięciu której sędziowie przechodzą w stan spoczynku. 5. W razie zmiany ustroju sądów lub zmiany granic okręgów sądowych wolno sędziego przenosić do innego sądu lub w stan spoczynku z pozostawieniem mu pełnego uposażenia”.

Można całą sprawę sprowadzić do sporu o interpretację tego artykułu konstytucji. Prawnicy zwracają jednak uwagę, że właściwa interpretacja litery wymaga zrozumienia ducha prawa. Wyraża go w tym przypadku punkt 1. cytowanego artykułu Konstytucji RP, który stwierdza lapidarnie: „Sędziowie są nieusuwalni”.

Zasady niezawisłości sędziów i niezależności sądów są uznawane za kardynalne zasady państwa prawa. Jednym z gwarantów owej niezawisłości jest kadencyjność, chroniąca sędziów przed fluktuacjami politycznymi. Nie wchodząc w szczegóły (omawiają je w tym numerze Paweł Bravo i Andrzej Stankiewicz), należy powiedzieć, że pierwsza prezes SN i 11 sędziów, którzy nie złożyli prośby o pozostanie w SN, walczą o respekt dla zasady niezawisłości.

Czy wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej zakończy ten spór? Przedstawiciele naszego rządu twierdzą, że TSUE sprawy w ogóle nie podejmie, bo w sprawach organizacji sądownictwa w krajach członkowskich orzekać nie może. Jednak Bruksela prawdopodobnie podejmie procedurę: Komisja UE wskaże Polsce naruszenia prawa, Warszawa w ciągu miesiąca musi na nie odpowiedzieć. Po upływie tego czasu Bruksela może wystąpić do TSUE, który sprawę może przyjąć lub odrzucić.

Tak czy inaczej, sprawa dotyczy nas wszystkich. Jak w roku 1980 zwolnienie z pracy gdańskiej suwnicowej. © P



Czekamy na Was na Festiwalu SlotArt w Lubiążu k. Wrocławia, 11–14 lipca

Zapraszamy na spotkania do „Sfery Dialogu”: wśród rozmówców – dziennikarze i redaktorzy „Tygodnika Powszechnego”

Szukajcie nas też w strefie wolnego czytania „Tygodnika Powszechnego”, dostępnej dla Państwa przez cały czas trwania Festiwalu.

Pełny program oraz bilety: slot.art.pl

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Zostawcie historię historykom
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

6–9 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

31 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

20 Szpagat nad Atlantykiem
OLAF OSICA: *Czy Polsce udało się znaleźć niszę, w której przetrwamy polityczną zawieruchę? Niekoniecznie*

24 Lotnisko dla samolotów, nie dla patriotów ROZMOWA
Z SEBASTIANEM MIKOSZEM,
BYŁYM PREZESEM LOT-U

26 Wirtuozi nocy letniej
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

28 Szpital na końcu drogi
KRZYSZTOF STORY: *W pensjonacie U Pana Cogito pracują i wracają do zdrowia cierpiący na zaburzenia psychiczne*

■ ■ REPORTAŻ

32 Pani chce dla nas dobrze
ANNA GOC: *Gdy balet boli*

■ ■ WIARA

36 Dekalog do przemyslenia
KS. ANDRZEJ SZOSTEK

40 Czekanie na Świętego Patryka
TERESA STYLIŃSKA:
Czy Kościół w Irlandii umiera?

43 Bóg wie lepiej
MACIEJ MÜLLER: *Siostry Borkowskiej autorski przewodnik po teologii*

■ ■ ŚWIAT

46 Sceny graniczne
MARCIN ŻYŁA, GRAŻYNA MAKARA:
Oto, co się dzieje w strefie buforowej między Jordanią a Syrią



ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Jedna władza
PAWEŁ BRAVO

Od 1989 r. nie zbudowaliśmy porządnego systemu liberalnego, czyli rządów prawa.

12 Prezes wraca po sędziów
ANDRZEJ STANKIEWICZ

Gdy rok temu Jarosław Kaczyński chciał przejąć wymiar sprawiedliwości, srodze się zawiódł – tłumy wymusiły weta prezydenta. Dziś tłumów brak, więc szykuje sędziom piekło.

15 Sprawdzian odporności
ROZMOWA Z DARIUSZEM ZAWISTOWSKIM,
PREZESEM IZBY CYWILNEJ SĄDU NAJWYŻSZEGO:
Podważanie zaufania obywateli do sądów przekłada się na sposób, w jaki sędziowie potem wykonują swoje obowiązki.

■ ■ FELIETONY ■

45 SZYMON HOŁOWNIA

59 ANDRZEJ STASIUK

76 JAN KLATA

77 PAWEŁ BRAVO

82 ANNA DZIEWIT-MELLER

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ ■ DODATEK SPECJALNY ■

Szczeczeszyn. Stolica Języka Polskiego

Oktadka: MAREK ZALEJSKI //
Wykorzystano zdjęcie K. WOJCIECHOWSKIEGO / FORUM
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

51 Meksykański zwrot
JAN SMOLEŃSKI

52 Dom grozy
WOJCIECH JAGIELSKI o muzeum
najnowszej historii Ugandy

■ ■ HISTORIA

**54 Amerykański historyk
patrzy na Wołyń**
ROZMOWA Z JAREDEM MCBRIDE'EM

■ ■ NAUKA

60 Piękny jak polityk
KASPER KALINOWSKI: *Dlaczego
oceniaamy kandydatów po wyglądzie*

■ ■ POŻEGNANIE

62 Przemysłniczka na Księżyc
MAREK BIEŹCZYK: *Zmarła
Irena Kirszenstein-Szewińska*

■ ■ KULTURA

64 Wolałabym nie
ROZMOWA Z PATRYCJĄ
PUSTKOWIAK, PISARKĄ

68 Popioły i diament
KAJETAN PROCHYRA o albumie
z nieznanymi dotąd nagraniami
kwartetu Johna Coltrane'a

**71 Geniusze, blagierzy,
piromani** MAGDALENA
NOWICKA-FRANCZAK: *Za co
kochamy francuskich myślicieli*

74 Bez waty cukrowej
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Blanka”

75 Warto zobaczyć w TV

76 Skrzydło czeskiego tryptyku
LEKTOR o książce
„Ota Pavel. Pod powierzchnią”

■ ■ ZMYSŁY / WAKACJE

78 Polskie smoki
KATARZYNA KUBISIOWSKA:
*Co dziesięć dorosłych Polak
decyduje się na tatuaż*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wł. Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak
(kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Tabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Łukasz Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwitt-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Noculi, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina
Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Magdalena Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz
Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Teresa Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredacja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.


 OBRAZ
TYGODNIA

ZOSTAWCIE HISTORIĘ HISTORYKOM

Ustawa o IPN wciąż nie daje o sobie zapomnieć: wkrótce po wycofaniu przez Sejm jej najbardziej kontrowersyjnych zapisów i po deklaracji premierów Polski i Izraela wybuchła kolejna awantura.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

WIZRAELU POROZUMIENIE Z POLSKĄ I wycofanie się przez nią z kłopotliwych zapisów prawnych miało być osobistym sukcesem Benjamina Netanjahu. W miejsce konfliktu pojawiła się obietnica bliskiej współpracy, uwzględniająca zasilenie przez Polskę proizraelskiej koalicji w UE, a może nawet – przeniesienie ambasady RP do Jerozolimy. Izraelski premier nie spodziewał się jednak, że Polacy zechcą się pochwalić przed światem, publikując na koszt Fundacji PKO BP tłumaczenie de-

klaracji szefów obu rządów w prasie europejskiej, amerykańskiej oraz izraelskiej.

Na co liczył Netanjahu? Że tekst dokumentu nie wejdzie do publicznej świadomości, jeśli szybko przeczyta go po angielsku, a potem szybko o nim „zapomni” – a wraz z nim politycy i media? W każdym razie publikacja deklaracji, w niezbyt poprawnym hebrajskim, rozpętała w Izraelu burzę. Szefa tutejszego rządu z prawa i lewa zaatakowały media, koalicjanci wezwali go do cofnięcia podpisu,

*Premier Izraela
Benjamin
Netanjahu,
Jerozolima,
wrzesień 2016 r.*

→ a największym ciosem okazała się krytyka ze strony Instytutu Yad Vashem, który zwrócił uwagę na zawarte w dokumencie „wysoko problematyczne sformułowania, niezgodne z aktualną i obowiązującą wiedzą historyczną w tej dziedzinie”.

Instytut sam zresztą zapłacił wizerunkową cenę: w akceptację treści deklaracji zaangażowana była jego główna historyk, prof. Dina Porat, która także po wybuchu awantury w wywiadzie dla telewizji publicznej broniła (choć nie bezkrytycznie) tekstu dokumentu. Ubrana w czarną sukienkę z białoczerwonym elementem przypominała, że Polacy też byli ofiarami II wojny światowej i że nie chcą, by w centrum ich tożsamości znajdowały się winy popełnione względem Żydów.

Wydałoby się, że premier Morawiecki wyszedł z tej batalii zwycięsko: zakończył polityczny kryzys, zyskał narracyjną kartę przetargową, może nawet odblokował dostęp polskich polityków na amerykańskie salony. Uparte powtarzanie zdań o kwitującym antypolonizmie i współcierpieniu Polaków znalazło wreszcie odzwierciedlenie – nie tylko w słowach premiera Izraela, ale też głównej historyk Yad Vashem. Nawet niezgodniona z partnerem publikacja tekstu deklaracji, ujawniająca po raz kolejny, że premier wciąż nie rozumie wrażliwości swojego partnera i poziomu skomplikowania debaty polsko-żydowskiej, uszła mu na sucho. Inna sprawa, że w oczach Izraela polska administracja znów wypadła jak rozemocjonowany nastolatek.

W perspektywie wzajemnych rozczarowań i zali rozsądnie zabrzmiały słowa wiceprezesa IPN Mateusza Szpytmy, który zauważył, że „każdy ma prawo do własnych interpretacji” i że o każdym dyskusyjnym fragmencie izraelscy i polscy historycy „mogą i powinni dyskutować”. Najlepiej byłoby postawić kropkę po tych słowach, licząc, że politycy w obu krajach zostawią w końcu historię jej badaczom i zgodzą się na to, że... nie we wszystkim musimy się zgadzać.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

W SKRÓCIE

NADMIERNA WRAŻLIWOŚĆ.

„Żyjemy w czasach nadmiernej wrażliwości w ochronie zwierząt, tak delikatnie powiem” – powiedział na spotkaniu z wyborcami w Mławie minister środowiska. Henryk Kowalczyk przyznał, że zniesienie ochrony gatunkowej zwierząt jest niemożliwe, bo mogłoby wywołać konflikt z Europą, zapowiedział więc redukcję chronionych gatunków „małymi krokami”.

ARCHIMEDESOWY PUNKT.

W czasach nadmiernej wrażliwości w robieniu wywiadów z Jarosławem Kaczyńskim żyją bracia Karnowscy. Najnowszy, z tygodnika „Sieci”, zawiera tyle pięknych sformułowań, że chciałoby się je cytować garściami (deklaracja premierów Morawieckiego i Netanjahu np. to „archimedesowy punkt oparcia do tego, żeby rozpocząć poważną walkę o zmianę najnowszej historii Polski”), gdyby nie zawarte na końcu rozmowy wyznanie, że prezes przechodzi kurację antybiotykową, która wpływa na jego samopoczucie.

NIEZDOBYTA TWIERDZA. Nie będziemy więc również obszernie cytować listu prezesa do pielgrzymów Rodziny Radia Maryja (może jeden tylko fragment: „Jestem święcie przekonany, że jesteście jednym z filarów, na których wznosi się gmach wiary, polskości i patriotyzmu i że ta wasza twierdza, tak jak Jasna Góra zwycięska, której w przeszłości nie zdołali opanować ani Szwedzi, ani Rosjanie, ani Austriacy – pozostanie niezdołana”). Docenimy natomiast wrażliwość ministra Brudzińskiego, który w związku z odbywającym się równoległe z pielgrzymką częstochowskim Marszem Równości zapowiedział zawiadomienie prokuratury o znieważeniu symboli narodowych przez tęczaową flagę z białym orłem.

PIERWSZA ŁOPATA. Dawno nie pisaliśmy o Piotrze Glińskim, więc tym chętniej odnotujemy, że nasz ulubiony wicepremier wbił pierwszą łopatę na budowie Muzeum Historii Polski i ucieszył się wraz z nim, że większość powierzchni nowej placówki zajmą powierzchnie magazynowe, „ponieważ współczesne muzea muszą mieć nowoczesne i wygodne magazyny”.

Co się w Polsce optaca?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



NAJLEPIEJ BYĆ DOBRZE WYKSZTAŁCONYM, ŻONATYM mężczyzną w średnim wieku. Przynajmniej jeśli chodzi o rynek pracy AD 2017, który przebadali kolejno eksperci Polskiej Agencji Rozwoju i Przedsiębiorczości oraz UJ (badanie „Bilans Kapitału Ludzkiego”).

Najmniej budujący wniosek dotyczy różnic płacowych ze względu na płeć. Choć – co zaskakujące – wśród osób stanu wolnego powyżej 35. roku życia kobiety zarabiają o 12 proc. więcej, to w innych kategoriach proporcje się odwracają. Mężczyźni stanu wolnego do 35. roku życia pobierają wynagrodzenia wyższe o 31 proc., największa zaś (40-procentowa) różnica to ta między zarobkami żonatych mężczyzn a zamężnych kobiet.

Wskaźnik zatrudnienia zależy nie tylko od płci, ale też od wieku. O ile w przedziale 40-44 lata wynosi ponad 87 proc., później systematycznie spada. W porównaniu z latami poprzednimi widać jednak dobry trend: największy jest wzrost w grupie wiekowej 55-59, gdzie w 2017 r. wskaźnik zatrudnienia osiągnął dla kobiet poziom 63 proc. (w roku 2010 był o połowę niższy), a dla mężczyzn 76 proc. (siedem lat wcześniej 54 proc.).

Na szczęście znowu między bajki możemy włożyć stereotyp edukacji, która „nic nie daje”. Jest przeciwnie: wyższe wykształcenie nadal (przynajmniej statystycznie) gwarantuje w Polsce wyrażną premię. Pod każdym względem – tak płacowym, jak pewności zatrudnienia – i w niemal każdej grupie wiekowej. © P

Wakacje z prowizjami

UWAGA NA CENĘ przewalutowania podczas wakacyjnych zakupów kartą za granicą. W niektórych bankach koszty takiej operacji mogą sięgnąć tego lata nawet 10 proc. wartości transakcji.

Według ostatniego raportu NBP o prowizjach i opłatach w polskim sektorze bankowym, przewalutowa-

nie transakcji kosztowało w marcu średnio 2,82 proc., ale wakacje to czas żniw także dla banków, którym nadal doskwierają rekordowo niskie stopy procentowe.

Szukając zysków bankowcy śrubują teraz opłaty za rozmaite usługi, w tym także za przewalutowanie, czyli za przeliczenie kwoty transakcji kartą z miejscowej waluty na polskiego złotego. Przed wyjazdem warto zatem sprawdzić tabelę prowizji dla swojego rachunku – często różnią się nawet w jednym banku. Może się okazać, że taniej będzie jednak kupić walutę w kantorze. © P MR



AFP PHOTO / VATICAN MEDIA / EAST NEWS



AFP PHOTO / VATICAN MEDIA / EAST NEWS

„NIECH BLISKI WSCHÓD NIE BĘDZIE JUŻ ŁUKIEM WOJENNYM napiętym między kontynentami” – wezwał Franciszek podczas Dnia Refleksji i Modlitwy o Pokój w Bari 7 lipca. Wzięli w nim udział zwierzchnicy prawosławnych (m.in. Bartłomiej I) i katolickich patriarchatów wschodnich oraz chrześcijan innych wyznań. W komentarzach przyrównano spotkanie do synodów z pierwszych wieków.

Watykański świecki prefekt

PO RAZ PIERWSZY w historii na czele jednego z najwyższych rangą urzędów watykańskich stanie osoba świecka. 5 lipca papież Franciszek powołał 62-letniego Paola Ruffiniego na stanowisko prefekta Dykasterii ds. Komunikacji.

Ruffini jest z wykształcenia prawnikiem, ale przez całe życie pracował jako dziennikarz. Cztery lata temu został dyrektorem radia In-Blu i telewizji TV2000, należących do Konferencji Episkopatu Włoch. Teraz nadzorować

będzie prace wszystkich watykańskich mediów (radio, telewizja, biuro prasowe, serwis fotograficzny, dziennik „Osservatore Romano”, portale internetowe, drukarnia i księgarnia), a także Papieskiej Rady ds. Komunikacji Społecznej.

Dykasteria ds. Komunikacji została utworzona pod koniec czerwca tego roku w miejsce dotychczasowego Sekretariatu ds. Mediów, którego ostatni prefekt, ks. Edoardo Viganò, podał się do dymisji po zarzutach o manipulację tekstem listu papieża Benedykta i wykorzystanie go do celów promocyjnych. ©© EA

Radykalizuje się wojna z Episkopatem o aborcję



ARTUR SPORNIAK

HASŁA WYKRZYKIWANE POD KURIAMI W RAMACH czarnego protestu w marcu tego roku w ubiegłym tygodniu znalazły się na budynkach kościelnych. Ktoś na ogrodzeniu Domu Arcybiskupów Warszawskich wymalował sprejem: „Oto krew moja i ciało moje – waram!”; „Mordercy”, „Pedofile”, „Dość piekła kobiet!”. Podobne napisy znalazły się na ścianach plebanii archikatedry św. Jana Chrzciciela oraz siedziby kurii warszawsko-praskiej. Ma to związek z kolejnymi apelami Episkopatu, by Sejm przyjął projekt ustawy całkowicie zakazującej aborcji z powodów eugenicznych.

Biskupi wciąż popełniają ten sam błąd. Nie wiele zrobili, by pokazać, że zależy im nie tylko na radykalizowaniu prawa; że np. walczą też o polepszenie bytu rodzin z chorymi dziećmi. Są postrzegani jako stojący z boku wpływowa grupa, która nie jest gotowa wziąć odpowiedzialności za skutki proponowanych regulacji i losy osób, których mogą one dotyczyć.

Tym razem protest przeciwko niszczeniu społecznego kompromisu przerodził się w niczym nieusprawiedliwiony akt wandalizmu. Aż boję się myśleć, jaka może być kolejna odsłona tej wojny. ©©

W SKRÓCIE

NIETYPOWI KANDYDACI.

Gwiazda powojennej włoskiej chadecji, były burmistrz Florencji – Giorgio La Pira; 13-letnia męczenniczka choroby nowotworowej – Hiszpanka Alessia González-Barros y González; oraz zmarły na białaczkę w wieku 15 lat Włoch, który odkrył ewangelizacyjne możliwości internetu, Carlo Acutis – zostali nowymi kandydatami na ołtarze. Franciszek podpisał dekrety o heroiczności ich cnót.

PALENIE MARIHUANY GRZECHEM

– ogłosili kanadyjscy biskupi po tym, jak premier Justin Trudeau zapowiedział, że wykorzystanie rekreacyjne konopi indyjskich przestanie być przestępstwem. Od 17 października dorośli będą mogli posiadać do 30 gram marihuany, natomiast młodzież od 12 do 18 lat do 5 gramów (do 10 papierosów). Biskupi przypominają, że używanie narkotyku z wyjątkiem celu leczniczego poważnie zagraża zdrowiu. Kanada jest drugim krajem po Urugwaju, który zalegalizował marihuanę.

MAFIA W MEDZIUGORJU.

„Trzeba mieć świadomość, że ze względu na masowy napływ pielgrzymów miejsce to penetrowane jest przez mafie, m.in. neapolitańską, które liczą na zyski” – ujawnił abp Henryk Hoser podczas mszy pożegnalnej przed wyjazdem do tego bośniackiego sanktuarium. Pod koniec maja papież Franciszek mianował emerytowanego biskupa warszawsko-praskiego swoim wizytatorem w Medziugorju.

HOMILIA PREMIERA.

Do sympatyków Radia Maryja z ołtarza na Wąłach Jasnogórskich przemawiał Mateusz Morawiecki. Premier mówił m.in. o przeciwnikach („różni nasi przeciwnicy ideowi i inni próbują zrobić podkop pod Polskę, podkop pod polskość, pod nasze tradycyjne wartości: rodziny, patriotyzmu, marzenia o wielkiej wspólnocie Polse”); o swojej walce z UE („o to, żeby Polska miała prawo i możliwość sama decydować o tym, kogo chce przyjmować i jaką kulturę chce budować”); i o dbałości o Polskę („o Polskę trzeba dbać na wszystkich możliwych odcinkach frontu, również kupując polskie produkty”).

Rosja, nowiczok i doktor Freud

WOJCIECH PIĘCIAK

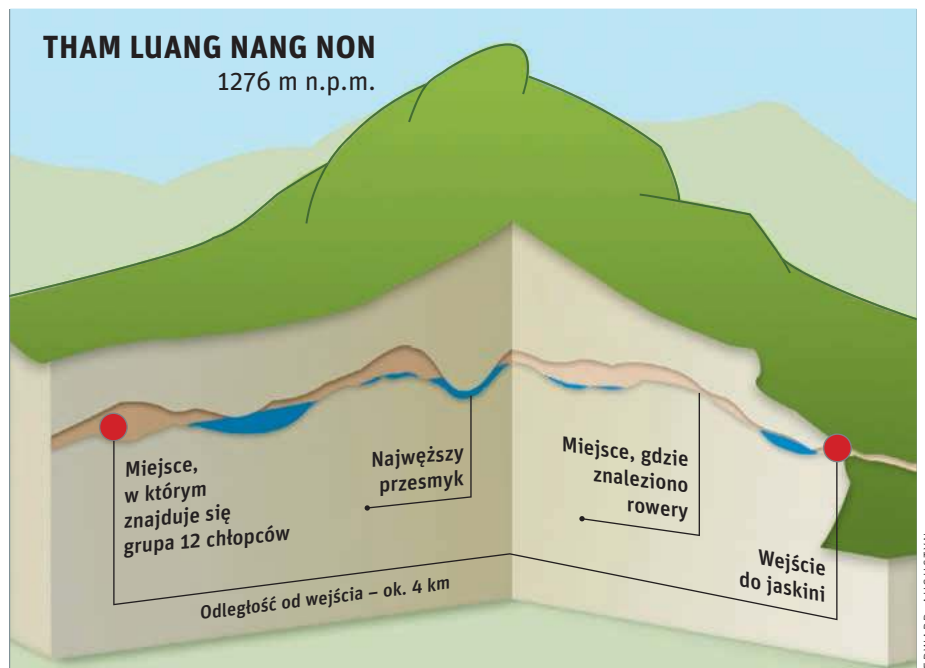


MOŻNA SOBIE WYOBRAZIĆ, JAK czują się dziś mieszkańcy miasta Salisbury i jego okolic – po tym, jak w minionym tygodniu dwoje Brytyjczyków, mężczyzna i kobieta, trafili tam do szpitala w stanie niemal agonalnym (kobieta zmarła), a lekarze stwierdzili, że oboje mieli kontakt ze słynnym nowiczkiem: rosyjskim środkiem bojowym, najbardziej śmiertelną z wszystkich trucizn, jakie działają na układ nerwowy.

Był to – wedle wszelkich przesłanek – kontakt przypadkowy. Policja sądzi, że pechowa para zetknęła się np. z przedmiotami czy miejscem, z jakimi wcześniej mieli do czynienia zamachowcy, którzy w marcu zaatakowali nowiczkiem Siergieja Skripała i jego córkę Julię. Londyn twierdzi, że zamachu na Skripałów dokonali rosyjskie służby specjalne. Skripał był podwójnym szpiegiem, jako oficer GRU pracował dla Brytyjczyków, a ujęty i skazany, został kilka lat temu wymieniony za złapanych na Zachodzie rosyjskich agentów i odtąd żył w Salisbury. Przypomnijmy też, że zamach ten – czyli, nazywając rzecz po imieniu: atak z użyciem broni chemicznej – miał ciąg dalszy. W odpowiedzi kraje zachodnie (w tym Polska) wyrzuciły stu kilkudziesięciu rosyjskich dyplomatów („dyplomatów”).

Podobnie jak wtedy, także dziś Rosja zaprzecza, jakoby miała coś wspólnego z nowiczkiem w Salisbury. Dziennikarz „Frankfurter Allgemeine Zeitung” odnotował przy tym pewien szczegół. Oto w oświadczeniu ambasady Rosji w Holandii (tam ma siedzibę Organizacja ds. Zakazu Broni Chemicznej) znalazło się – obok demencji – także pytanie (w zamierzeniu retoryczne): czy ktoś rzeczywiście wierzy, że Rosja miałaby być tak głupia, aby właśnie teraz, podczas mundialu, „raz jeszcze” użyć nowiczoka.

© P



Woda i media

W CHWILI, gdy zamykamy to wydanie, ratownicy w Tajlandii wznowiają akcję uwolnienia siedmiu chłopców i ich trenera, którym pod koniec czerwca ulewy odcięły drogę wyjścia z jaskini Tham Luang Nang Non. 8 lipca ratownicy wyprowadzili czterech chłopców. Nazajutrz rano – kolejnego.

Nurkowie jaskiniowi z Europy i USA, którzy – jak wynika z naszych informacji – prze-

jeli prowadzenie akcji od tajlandzkiej marynarki wojennej, oceniają sytuację nie tak krytycznie, jak przedstawiają ją media. Odcinki całkowicie zalane wodą są krótkie, a najwyższy przesmyk – szeroki na około metr i wysoki na około 30-40 cm. Chłopców asekuje dwóch doświadczonych ratowników.

W najbliższych dniach na stronie internetowej „Tygodnika” opublikujemy wywiad z jednym z pletwonurków uczestniczących w akcji ratunkowej.

© P MR



WANG HE / GETTY IMAGES

Chiński syndrom USA

34 MLD DOLARÓW WARTOŚĆ TOWARÓW Z CHIN, na które USA nałożyły właśnie 25-procentowe cła. Pekin z miejsca ocłcił amerykańskie produkty i surowce o identycznej wartości, ale wojna handlowa między mocarstwami dopiero się zbliża.

68 mld dolarów to sporo na miarę polskiej gospodarki, która eksportuje rocznie towary i surowce za niecałe 250 mld dolarów, lecz

w bilansie handlowym Chin i USA, który w zeszłym roku przekroczył 4,2 biliona dolarów, jest kwotą symboliczną. Rzecz w tym, że Ameryce Trumpa takie symbole są po prostu potrzebne, bo aspiracje Pekinu wykraczają dziś poza dogodną dla Waszyngtonu rolę taniej fabryki. Nadwyżkę eksportową, która w przypadku handlu z USA sięga już 300 mld dolarów rocznie, Chiny konsekwentnie zmieniają w dostęp do afrykańskich surowców, europejskich technologii, a także we wpływy polityczne sięgające nawet USA. Pekin kontroluje obecnie niemal 19 proc. amerykańskiego długu publicznego. Chiński ambasador w Waszyngtonie Cui Tiankai przyznał w marcu, że na wypadek wojny handlowej z USA Pekin gotów jest wstrzymać dalszy skup amerykańskich papierów skarbowych. Ostry skok rentowności obligacji Wujia Sama, nieunikniony w takiej sytuacji, postawiłby budżet USA, od czasów Busha juniora pogrążony w deficycie, w krytycznej sytuacji.

© P MAREK RABIJ

Claude Lanzmann nie żyje

TWÓRCA ARCYDZIEŁA I NIEZNOŚNY MEGALOMAN, ucieleśnienie irytujących wad francuskiej lewicy intelektualnej. Claude Lanzmann, reżyser, dziennikarz i pisarz, potomek żydowskich imigrantów, zmarł 5 lipca 2018 r. w wieku 92 lat. Podczas wojny działał w ruchu oporu, związał się z partią komunistyczną, później wspierał niepodległość Algierii, podróżował do Korei Północnej i Chin. Jego przyjacielem był Sartre, jego kochanką – Simone de Beauvoir.



JOEL SAGET / EAST NEWS

Arcydzieło to „Shoah”, trwający 9 i pół godziny dokument o Zagładzie, ukończony w 1985 r. Wielogłos ofiar, oprawców, milczących świadków i historyków, mistrzowsko skomponowany i osadzony w krajoobrazie śmierci. W peerelowskiej telewizji pokazano tendencyjny skrót, a zarzut antypolskości podtrzymał nawet Jerzy Turowicz, znający całość dzieła i doceniający jego wartość. Odbyły się też wtedy – nieliczne – projekcje pełnej wersji. Cztery hipnotyczne, odbierające oddech seanse w krakowskim kinie Mikro pamiętam do dziś. Polska? – przecież nie o nią tam chodziło...

Osiem lat temu wydano u nas „Zająca z Patagonii”, autobiografię Lanzmanna. Joanna Tokarska-Bakir w pełnej furii recenzji zarzuciła wtedy autorowi grafomanię, bufonadę, narcyzm i seksizm. I tak kończyła: „Teraz powinnam napisać o »Shoah«, filmie, jakiego nikt przed nim nie zrobił i nigdy nie zrobi. Ale Claude Lanzmann, taki jakim jest w tej książce, nie zasługuje, by figurować w kontekście podobnego dzieła, nawet jeśli jest to jego dzieło”. Tyle że to właśnie „Shoah” pozostanie.

© P TOMASZ FIAŁKOWSKI

Ziemia wystawia nam rachunek

WOJCIECH BRZEZIŃSKI



PONAD 60 OFIAR POWODZI W JAPONII. Dziesiątki ofiar gorąca w Kanadzie. Trzydziestostopniowe upały w północnej Syberii i najwyższa w historii nocna temperatura: w Quriyat w Omanie 29 czerwca nie spadła poniżej 42,6 stopnia. To raport z klimatycznej katastrofy tylko z ostatnich kilkunastu dni.

Oczywiście nie da się pokazać palcem i powiedzieć: ta fala upałów jest spowodowana przez efekt cieplarniany, a ta powódź nastąpiła, bo pompujemy do atmosfery CO₂. Trend jest jednak coraz bardziej niepokojący. Według ostatnich badań zmiany klimatu mogą być szybsze, głębsze i bardziej kosztowne, niż sądziliśmy. Z opublikowanych w „Environmental Research Letters” badań Swietłany Jewriejewej

z National Oceanic Centre w Southampton wynika, że jeśli globalna temperatura wzrośnie o 2 stopnie Celsjusza, powódzie pochłonią 3 proc. światowego PKB. Wzrost poziomu morza o 0,86 m oznacza straty rzędu 14 bln dolarów rocznie. 1,8 m to 27 bln dolarów.

A może być o wiele gorzej. Według opracowania opublikowanego właśnie w „Nature Geoscience”, przy wzroście temperatury o 2 stopnie, ocean może się podnieść nie o 1,8 m, jak zakładała w pesymistycznym wariantcie Jewriejewej, lecz o... 6 m. Tak jak w trzech poprzednich okresach ocieplenia z ostatnich 3,5 mln lat. Według obecnych szacunków ocieplenie może przekroczyć poziom 1,5 stopnia Celsjusza już w ciągu najbliższej dekady. ©



CARL RECINE / REUTERS / FORUM

RONALDO, MESSI, NEYMAR już odpadli – bohaterami mundialu są bramkarze. By Chorwacja awansowała do półfinału, Danieł Subaś musiał obronić już (w meczach z Danią i Rosją) cztery rzuty karne.

Anglia z twarzą Garetha Southgate'a

DZIS JESZCZE NIE WIEMY, kto wygra mundial, ale trenera, który osiągnął największy sukces, już możemy wskazać. Anglicy w półfinale mistrzostw znaleźli się dopiero trzeci raz w historii, a przez ostatnie lata ich reprezentacja służyła raczej – także we własnym kraju – za obiekt łatwych kpin. 47-letni Gareth Southgate obejmował drużynę po dymisji uwikłanego w skandal wizerunkowy poprzednika, wcześniej jako szkoleniowiec nie odnosił sukcesów, a jako piłkarz jest pamięta-

ny głównie z niestrzelenia karnego podczas Euro 1996. Nikt na niego nie stawiał i może dlatego zaszedł tak daleko – z odmłodzoną drużyną, którą przekonał do własnych metod, m.in. do kultury otwartości, z jaką mówią o trudnych sprawach. Jeszcze kilka lat temu w tym maczystowskim i kryjącym emocje świecie wyznaczenie przez obrońcę Danny'ego Rose'a, że zmagają się z depresją, przyjęto by z niezrozumieniem, dziś jego postawa służy za przykład i jedyne pytanie, nad którym głowią się publicyści, brzmi: jak ta pełna energii, zróżnicowana kulturowo i etnicznie drużyna mogła powstać w ponurym świecie Theresy May i brexitu.

© P MICHAŁ OKOŃSKI



JEDNA WŁADZA

Od 1989 roku nie zbudowaliśmy porządných bezpieczników dla systemu liberalnego, czyli rządów prawa.

PAWEŁ BRAVO

4 LIPCA 2018 R. SKOŃCZYŁ SIĘ W POLSCE liberalizm. To zdanie jest równie buńczuczne, jak ów koniec komunizmu ogłoszony prawie 30 lat temu przez Joannę Szczepkowską.

Ten 4 lipca – podobnie jak tamten 4 czerwca – nie przyniósł wydarzeń czy gestów, które miałyby szansę przejść do pamięci zbiorowej jako symbole przełomu. Wbrew oczekiwaniom części opi-

nii publicznej, nie nastąpiło nic dramatycznego, co w sposób zewnętrzny podkreślałoby skalę domniemanej nieprawości, jaka się miała dokonać. Polska to nie jest kraj płonących Reichstagów ani burzonych Bastylii. Co więcej: prawny wybieg zastosowany przez pierwszą prezes Sądu Najwyższego wprowadził nas raczej w stan nie wiadomo jak długiego zawieszenia. Obie strony sporu wydają się grać

na przeczekanie, ku konfuzji tych, nie aż tak licznych jak rok temu, którzy przychodzili na warszawski plac Krasińskich – bronić jednak czego? Prawa do urlopu? Zerwanie ostatniej gwarancji niezależności sądownictwa od władzy wykonawczej słabo kojarzy się z urlopem.

W sposób równie unikowy zachował się prezydent, który najpierw zwlekał z ogłoszeniem tego, co logicznie wynika



„Łańcuch światła” – demonstracja pod siedzibą Sądu Najwyższego, Warszawa, 3 lipca 2018 r.

z ustawy napisanej przezeń do spółki z prezesem Kaczyńskim: że mianowicie sędziowie starsi niż 65 lat, którzy nie złożyli stosownych zaświadczeń i podania, przestają w Sądzie Najwyższym zasiadać. Po czym wysłał im, owszem, pisma z tą treścią, ale nie dochował przewidzianej prawem formy – tak jakby chciał uniknąć pozostawiania śladów działań, które przyszły Trybunał Stanu mógłby potraktować jako dowód deliktu konstytucyjnego. A może po prostu wołał zostawić uchyloną furtkę do dalszych manewrów, zależnych np. od tego, jakie kroki podejmie Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu, który być może zajmie się ustawą wskutek skargi złożonej przez Komisję Europejską.

Uniki europejskie

Skargi, warto zauważyć, złożonej na tyle późno, by właśnie taką sytuację niedookreślenia i uników podtrzymać. A prze-

cież skrócenie kadencji pierwszej prezes SN jest w oczywistej sprzeczności z konstytucją i narusza podział władz. W tej materii pisowska władza wykonawcza, trzymająca się linii obrony „mamy prawo reformować własny ustrój, jak nam się podoba”, stoi na straconej pozycji. Stało się tak, chociaż grupa polityków i działaczy społecznych sugerowała Komisji w wyrazistym i szeroko rozpropagowanym apelu podjęcie zdecydowanych kroków już jakiś czas temu. Na tyle wcześniej, by Trybunał zdążył zawiesić działanie przepisów „wygaszających” kadencje, zanim weszłyby one w życie.

Tak się nie stało i była to ważna lekcja dla wszystkich przekonanych, że Unia Europejska jest przede wszystkim wspólnotą wartości – demokratycznego ustroju i liberalnych swobód gwarantowanych przez prawo, na straży którego stoi niezależny wymiar sprawiedliwości. Owszem, jest, ale w sposób uwikłany w inne wy-

miary polityki jako walki sprzecznych interesów i frakcji, a przysłowiowy konsensualizm i niekończące ucieranie kompromisów w brukselskich instytucjach nie oznacza wcale, że pod spodem nie toczy się dość brutalna gra sił. Dziś, niestety, podszyta paniką w obliczu zagrożenia obecnego ładu przez kilka nakładających się na siebie kryzysów, które niekoniecznie unicestwią Unię jako taką, ale mogą wkrótce doprowadzić do przetasowań w układzie dominujących partii i stronictw.

Politycy unijni trzy razy pomyślą, zanim przejdą do fazy ostrego konfliktu z krajem, który bardzo dobrze sobie radzi gospodarczo. Zresztą, dopóki Viktor Orbán należy do tej samej europejskiej partii co Donald Tusk (i nikt go z niej na serio nie chce wyrzucić, bo straciłaby większość w euro-parlamencie), to nadzieje Kaczyńskiego, że prawie wszystko ujdzie mu na sucho, są całkiem racjonalne.

Uniki sądowe

→ Tego samego 4 lipca w Strasburgu premier wygłaszał na forum europarlamentu przemówienie programowe o swojej wizji przyszłości Unii. Mówił gładko i bezpiecznie, jak to ma w zwyczaju, o usprawnieniu wspólnego rynku (przy zachowaniu suwerenności państw) i w tej materii rzeczywiście Polska jako jego pełnoprawny, zdrowy i dynamiczny uczestnik ma i powinna mieć wiele do powiedzenia.

Ale równocześnie przez najbliższe miesiące będziemy w Polsce świadkami domykania procesu budowy ustroju z gruntu nieliberalnego. Zamiast zrównoważonej gry trzech, o wszystkim decyduje jedna władza – potrafiąca tak dobrze zarządzać emocjami wyborców, że dostaje od nich legitymację w wyborach, których wcale nie musi fałszować. Okazuje się, że od 1989 r. nie zbudowaliśmy porządnego bezpiecznika systemu liberalnego, czyli rządów prawa. Jego fundamenty, gwarantujące swobody, pozostały abstrakcją z podręczników politologii.

Rozpoczął się ostatni etap jakże w sumie łatwego demontażu projektu liberalnego, wdrażanego ze zmienionym szczęściem przez prawie 30 lat.

Sądy będą dalej sędzić w sprawach małych i dużych – i wcale nie jest powiedziane, że od 4 lipca zaczną jak na komendę wydawać wyroki jawnie korzystne dla władzy, chociaż taki jest jej zapewne cel. Sąd Najwyższy po paru miesiącach przepoczwarzy się w postać, jaką dziś trudno przewidzieć. I dalej będzie wydawał, miejmy nadzieję, orzeczenia i uchwały w sprawach, których polityka dotyczy tylko z rzadka, korygując wpadki i niedorzeczności niższych instancji (skądinąd wszystkie ostatnio przypomniane przykłady słusznych i ważnych dla „szarego człowieka” interwencji SN są, owszem, tytułem dla jego chwały, ale wystawiają fatalne świadectwo polskiemu sądownictwu w ogóle).

Liberałom przekonanym, że wolne sądy to nie jest fanaberia, pozostaje dalej przyglądać się temu procesowi, spisując czyny i rozmowy. W końcu najgorszy nawet ustrój wcielaają konkretni ludzie przez swoje konkretne decyzje.

© PAWEŁ BRAVO

Prezes wraca po sędziów

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Gdy rok temu Jarosław Kaczyński chciał przejąć wymiar sprawiedliwości, srodze się zawiódł – tłumy wymusiły weta prezydenta. Dziś tłumów brak, więc szykuje sędziom piekło.

KTO JEST DZIŚ NAJWAŻNIEJSZYM SĘDZIĄ w Polsce? Diabli wiedzą. Ilu mamy sędziów w Sądzie Najwyższym? Też pytanie do piekieł.

Dla każdego, kto zna polityczną metodę Jarosława Kaczyńskiego, było pewne, że ten dzień prędzej czy później nadejdzie. W logice instytucjonalnej i personalnej rewolucji, narzuconej po wyborach w 2015 r., natarcie na najważniejszy sąd w kraju jest absolutnie logiczne. Po prostu Kaczyński walczy z państwem takim, jakim je zastał, właśnie poprzez przejmowanie kontroli nad wszystkimi możliwymi instytucjami – od Trybunału Konstytucyjnego po stadniny.

Po najważniejszy sąd w kraju wybiegał się już zresztą wcześniej, tylko rok temu prezydent niespodziewanie zawetował mu ustawę bardzo w sumie prostą i z punktu widzenia PiS logiczną – wyrzucającą na bruk wszystkich sędziów Sądu Najwyższego. Dziś prezes dogadany z prezydentem wraca po sędziów. A zwłaszcza po swą znajomą z czasów młodości i wieloletnią koleżankę swego brata – pierwszą prezes SN prof. Małgorzatę Gersdorf.

Metoda jest prosta. Obóz władzy obniżył wiek emerytalny sędziów Sądu Najwyższego z 70 do 65 lat. W ten sposób – zaczerpnięty z Węgier – można się pozbyć 27 z 74 sędziów. W ustawie zapisano, że sędzia, który osiągnął wiek emerytalny, może się ubiegać u prezydenta o przedłużenie pracy. Taki wniosek złożyło 16 sędziów.

Część z nich – 9 osób – pokazała w ten sposób, że honoruje ustawę obniżającą wiek emerytalny. Pozostali jednak wysłali prezydentowi pisma, że będą sędziami do siedemdziesiątki, bo takie obowiązywało prawo, gdy składali przysięgę. Niektórzy dodali, że zgodnie z konstytucją są nieusuwalni.

Gersdorf dawno zapowiedziała, że żadnego pisma nie wyśle. Przywołuje konstytucję,

która mówi wyraźnie: pierwszego prezesa prezydent powołuje na sześciolletnią kadencję. Skoro dostała nominację w 2014 r., powinna skończyć urzędowanie w 2020 r.

Wsparło ją 63 sędziów uczestniczących w ostatnim zgromadzeniu ogólnym Sądu Najwyższego. Jednogłośnie przyjęli uchwałę, że dla nich Gersdorf jest prezesem jeszcze przez dwa lata.

Władza liczydeł używa inaczej, co od dłuższego czasu oznaczało, iż dojdzie do starcia z SN.

Nóż w plecy

Po co Jarosławowi Kaczyńskiemu Sąd Najwyższy? Oczywiście dlatego, że jeszcze go nie ma w swej kolekcji – to już wiemy. Zgromadził w niej wszystkie inne ogniwa – sądy rejonowe, okręgowe i apelacyjne, bo obóz władzy podporządkował je sobie już rok temu jedną z trzech tzw. ustaw sądowych, której wówczas nie zawetował prezydent. Ale bez SN nie ma się pełnej kontroli nad sądownictwem.

Inne segmenty wymiaru sprawiedliwości są już zabezpieczone. Obóz władzy kontroluje Trybunał Konstytucyjny przejęty po długiej wojnie pod koniec 2016 r. Kto ma trybunał, ten interpretuje konstytucję, dlatego też przechwycenie TK było absolutnym priorytetem Kaczyńskiego.

W trójcy najwyższych organów sądownictwa jest jeszcze co prawda Naczelny Sąd Administracyjny. Ale sądy administracyjne trzymają się z dala od kłopotów kolegów z sądów powszechnych. Prezes NSA Marek Zirk-Sadowski jest w tej instytucji od niemal ćwierćwiecza, odbierał nominację na wiceprezesa i od prezydenta Kwaśniewskiego, i od Komorowskiego. Ale szefem został z nominacji Andrzeja Dudy i stara się nie mącić dobrych kontaktów z Pałacem Prezydenckim. Kiedyś NSA protestował podczas wojny o Trybunał Konstytucyjny, ale dziś Zirk-Sadowski milczy,



I prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf w drodze do siedziby SN dzień po „odesłaniu w stan spoczynku”. Warszawa, 4 lipca 2018 r.

gdy chodzi o Sąd Najwyższy i o Krajową Radę Sądownictwa.

Choć obóz władzy zastosował chwyt z obniżeniem wieku emerytalnego sędziów także wobec NSA, żadnego sprzeciwu ani protestów to nie wywołało. Ba, Zirk-Sadowski osobiście wbił nóż w plecy Gersdorf, legitymizując wersję prezydenta w sprawie kadencji wygaszanej ustawą. Sam też ma 6-letnią kadencję zapisaną w konstytucji i też przekroczył 65. rok życia. Ale w odróżnieniu od pani prezes, grzecznie wysłał podanie do prezydenta, by mu pozwolił jeszcze posadzić i pokierować.

A zatem po co Kaczyńskiemu Sąd Najwyższy? Ponieważ napięcie między dwiema stronami sporu politycznego jest ogromne, to pojawił się – oczywiście – spiskowy argument opozycji. Otóż to Sąd Najwyższy zatwierdza legalność wyborów. Ponieważ PiS zaczął już dawno gmerać w przepisach wyborczych, budzi to wśród wrogów władzy jednoznaczne zarzuty: Kaczyński szykuje grunt pod fałszerstwa.

Odkładając na bok przyszłe i niepewne spiski, trzeba jednak pamiętać o innych, równie ważnych kompetencjach SN. Pełni on w systemie prawnym rolę szczególną: sprawuje nadzór nad orzecznictwem sądów niższych instancji. Kontrola nad nim daje więc ogromne możliwości kształtowania orzecznictwa, wpływania na konkretne postępowania, a dodatkowo – także zwiększenia kontroli nad sędziami poprzez postępowania dyscyplinarne, które do niego trafiają.

Stopniowy demontaż

Stwierdzenie, że pierwszym prezesem stałby się wówczas Kaczyński, to efektowny publicystyczny chwyt, przesadzony, ale nie aż tak groteskowy, jak mogłoby się wydawać. Wcale nie musi chodzić o aż tak fundamentalną reinterpretację systemu prawnego – przynajmniej nie na krótką metę. Bo na krótką metę można Sąd Najwyższy po prostu wyłączyć, by nie przeszkadzał – tak jak Kaczyński wyłączył Trybunał Konstytucyjny.

No bo spójrzmy, czy mamy dziś Trybunał? Nie do końca wiadomo, czy jego prezeska jest legalnie wybrana, kieruje nim zresztą w praktyce jej zastępca, były agent wywiadu używający lewych tożsamości. W Trybunał Kaczyński wbudował konflikt między starymi a nowymi sędziami, czego efektem jest coraz trudniej skrywana nienawiść, upokorzenia i szantaże. To żaden sąd konstytucyjny, to groteska.

Z punktu widzenia obozu władzy nie ma to jednak najmniejszego znaczenia. Bo ważna jest gwarancja, iż TK nie zakwestionuje żadnego prawa ustanowionego przez władzę. Oczywiście, są drobne problemy – Trybunał tak się rozlał i zaczął orientować na rozmaite frakcje w PiS, że nie był w stanie wybawić władzy z kłopotu, jaki sprawiła jej ustawa o IPN. Ale to nieledwie katarek, podczas gdy niezależnie od władzy Trybunał byłby bolesną dolegliwością, bo wyrzucałby do kosza pewną część ustaw szykowanych przez PiS.

Czemu z SN nie zrobić czegoś podobnego? Pierwszy etap jest taki sam jak →

→ w przypadku TK – obóz władzy tak zagmatwał sytuację prawną i faktyczną sędziów, w tym pierwszej prezes, że właściwie trudno zrozumieć, kto jest kim i co go czeka.

Szarada przepisów

Szarada przepisów i ich interpretacji zaczęła się 4 lipca. Duda zaprosił wtedy do siebie Gersdorf. Zanosilo się na starcie, ale zakończyło się zaskakująco pokojowo. Po spotkaniu okazało się, że kierowanie sądem przejmuje sędzia Józef Iwulski, prezes Izby Pracy, Ubezpieczeń Społecznych i Spraw Publicznych SN. Gersdorf uzgodniła to z nim jeszcze przed spotkaniem z prezydentem i wydała odpowiednie zarządzenie. Zastosowała standardową procedurę wskazania zastępcy na czas nieobecności. Duda też wskazał czasowo Iwulskiego, sięgnął nawet po te same przepisy, ale inaczej je zinterpretował – uznał, że Gersdorf jest już emerytką i potrzebny jest przejściowy szef SN do czasu wyboru nowego.

To zagranie prezydenta wskazuje, że miał wiedzę o umowie Gersdorf z Iwulskim. W ten sposób Duda wybrnął bowiem z kłopotu, jaki miał ze znalezieniem kandydata na tymczasowego prezesa. Sędziowie SN odmawiali mu, uznając, że prezesem jest Gersdorf. Iwulski nie mógł odmówić, wszak podjął się tego zadania w uzgodnieniu z Gersdorf.

Jeden z moich rozmówców – prawnik związany z obozem władzy, występujący w roli mediatora – przekonuje, że nazwisko Iwulskiego zostało nieformalnie uzgodnione między Gersdorf a ludźmi prezydenta. W ten sposób nie doszło do dwuwładzy w sądzie, bo gdyby Gersdorf powołała na zastępstwo jednego sędziego, zaś Duda na jej miejsce innego, oznaczałoby to prawny chaos.

A zatem Gersdorf i Duda pozostali przy swoich stanowiskach, choć efekt jest ten sam: w najbliższym czasie pani prezes nie będzie kierować sądem, zastąpi ją Iwulski.

Uniki i układy

To wyraźny unik ze strony Gersdorf, która jeszcze kilka dni przed 4 lipca przekonywała mnie – i nie tylko mnie – że jest gotowa na konfrontację, bo konstytucja, honor i godność są po jej stronie. To może być zresztą unik nieprzypadkowy. Zastanawiające jest bowiem nie tylko to, że spośród ponad 70 sędziów Duda i Gersdorf nagle wybierają tego samego kandydata. Zdumiewa także to, że Gersdorf niemal

Obóz władzy tak zagmatwał
sytuację sędziów,
w tym pierwszej prezes,
że właściwie
**trudno zrozumieć,
kto jest kim i co go czeka.**

momentalnie po wejściu w życie ustawy zapowiedziała, iż bierze urlop.

To rodzi pogłoski, że wycofanie się jej na kilka miesięcy może być elementem tajnej umowy między panią prezes a obozem władzy. Gersdorf miałaby się usunąć w cień, czekając na orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości UE w sprawie wieku emerytalnego sędziów SN i przerwania jej kadencji. Komisja Europejska wszczęła w tej sprawie postępowanie i pewnie niedługo skieruje pozew do Trybunału przeciwko polskim władzom.

Druga strona umowy, czyli władza, zobowiązać się miała do tego, że jeśli unijny trybunał podważy przepisy, pani prezes wróci na stanowisko. Gersdorf pytana o te doniesienia stwierdziła ogólnie, że zawsze zarzuca się jej konszachty z władzą i nie ma tyle urlopu, żeby czekać na orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości UE. Po czym poszła na urlop. Sędziowie Sądu Najwyższego naciskali, by się z tej zapowiedzi wycofała i normalnie przychodziła do pracy. Bezskutecznie.

Czemu obóz władzy miałby pójść na układ z Gersdorf? Bo także w PiS – zwłaszcza w otoczeniu Morawieckiego – wielu jest ludzi, którzy uważają skrócenie kadencji ustawą za złamanie konstytucji, a przez to ogromne ryzyko polityczne.

Była jeszcze jedna, doraźna obawa: co się zdarzy 4 lipca, gdy Gersdorf ostentacyjnie wkroczy do Sądu Najwyższego. Tego samego dnia premier występował w Parlamencie Europejskim w Strasburgu. Gdyby wybuchła wojna o gabinet prezesa Sądu Najwyższego, to byłby dla Morawieckiego dramat. Temat oczywiście i tak zdominował pytania europosłów do premiera, ale drastycznych doniesień z Warszawy nie było.

Z nominacji Lecha

Obóz władzy ma dodatkowe szczęście, że pierwszym prezesem jest Gersdorf – radczyni od prawa pracy, która sędzią została dopiero w 2008 r. Tak się składa, że Ka-

czyński i Gersdorf znają się dziesiątki lat. Wychowywali się na warszawskim Żoliborzu podwórko w podwórko. Nie przypadkiem do Sądu Najwyższego powołał ją Lech Kaczyński, z radczyni czyniąc sędzię.

To ważny rys w jej biografii. Zawodowi sędziowie, którzy do SN trafili po kilkudziesięciu latach pracy w innych instancjach – mając za sobą wiele trudnych spraw oraz skomplikowanych wyroków – zazwyczaj stawiają sprawę starcia z władzą jednoznacznie. Ona nie.

Obóz władzy ma też dobre rozpoznanie i wie, że pani prezes jest chybota w słowie i w czynie. Rok temu stała się twarzą protestów przeciw radykalnym ustawom sądowym PiS, które ostatecznie zawetował prezydent (zakładały m.in. usunięcie wszystkich sędziów Sądu Najwyższego). Po tym wecie dokonała wolty. Pojawiła się na zaprzysiężeniu sędziego TK wskazanego przez PiS, którego większość środowisk prawniczych uważa za tzw. dublera, czyli wybranego na miejsce zajęte już przez sędziego, którego nie chce zaprzysiężać prezydent. Potem poparła utworzenie w SN izby dyscyplinarnej – tak jak tego chciał PiS, wbrew protestom środowisk sędziowskich. Wreszcie ogłosiła własny projekt ustawy o SN, który momentami był groteskowy (zakładał choćby, że ławnikami w SN będą duchowni).

Może to przypadek, może znużenie społeczeństwa zagrywkami PiS, a może właśnie wolty Gersdorf – ale dziś nie ma pod Sądem Najwyższym takich tłumów jak rok temu.

Nabór ruszył

Jeśli Gersdorf zawarła pakt z władzą, to nie wygląda na to, by miała jakiegokolwiek gwarancje.

Po pierwsze, Kaczyński wcale nie musi się przejść Brukselą. Unia niezbyt go porusza – to jedyny zachodni front, na którym walczy regularnie od początku rządów. W dodatku gdyby zlekceważył brukselskie nakazy i Komisja Europejska go pozwalała, to samo postępowanie może trwać miesiącami. Rzeczywiście, Gersdorf nie starczy urlopu, by czekać.

A może Gersdorf chcąc za wszelką cenę uniknąć starcia z władzą, sama zdecyduje się odejść? Wszak bliscy jej ludzie kolportują informacje o jej kłopotach zdrowotnych. Na pewno trudno uwierzyć w to, że w momencie starcia z władzą poszła na urlop po to, by kiedyś powrócić i podjąć rękawicę.

W obecnej sytuacji PiS nie musi się cofać, może jedynie spowolnić swój marsz. Prezydent początkowo się wahał, czy cokolwiek podpisywać w tej sprawie, ale ostatecznie wysłał do Sądu Najwyższego informacje o przeniesieniu w stan spoczynku 11 sędziów, którzy nie złożyli żadnych wniosków o dalsze orzekanie (w tym Gersdorf) oraz 4 dalszych sędziów, którzy dokumenty złożyli po terminie. Sędziowie bronią już tylko Gersdorf, w sprawie swych kolegów się poddali.

Prezydent i PiS mają w ten sposób więcej wakatów dla swych nowych, lepszych sędziów. Duda już ogłosił nabór na 44 sędziowskie miejsca. Ustawę napisano tak, że rozszerza skład Sądu Najwyższego, by nowi sędziowie z nadania PiS w ciągu kilku miesięcy osiągnęli przewagę. Dopiero gdy łączna liczba sędziów dobieje do 110, będzie można wybrać nowego prezesa. To gwarantuje, że prezesem zostanie sędzia związany z obozem władzy.

A co z sędzią Józefem Iwulskim? To naprawdę żaden problem. Iwulski jest, paradoksalnie, 10 miesięcy starszy od Gersdorfa, którą prezydent chce usunąć przy wykorzystaniu przepisów emerytalnych. Lojalny wobec pani prezes, także nie złożył podania o przedłużenie pracy, wysyłając Dudzie jednoznaczne oświadczenie, że zamierza sędzić do siedemdziesiątki, bo taki jest wiek emerytalny sędziów, który uznaje za legalny.

Człowiek prezydenta w Krajowej Radzie Sądownictwa Wiesław Johann – w praktyce kierujący pracami KRS – już zapowiedział, że jeśli Iwulski nie uzupełni wniosku, to także zostanie wysłany na odpoczynek. A Iwulski uzupełnić nie chce, co oznacza, że niedługo może dołączyć do swych kilkunastu kolegów relegowanych z Sądu Najwyższego przez prezydenta.

To tym bardziej prawdopodobne, że prawicowa prasa już wyciąga mu procesy ze stanu wojennego, w których sądził jako sędzia wcielony do armii. Dla prezydenta to dobry argument, przecież ten cały czyściec ma służyć pozbyciu się z Sądu Najwyższego ostatnich komunistów. Przynajmniej oficjalnie. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem”.

Sprawdzian odporności

DARIUSZ ZAWISTOWSKI, PREZES IZBY CYWILNEJ SĄDU NAJWYŻSZEGO:

Podważanie zaufania obywateli do sądów przekłada się na sposób, w jaki sędziowie potem wykonują swoje obowiązki.

RAFAŁ ZYCHAL: Wielu ostrzegało, że 3 lipca będzie datą krytyczną – po niej Sąd Najwyższy miał już być inny. Ale dzień minął, a Pan normalnie przyszedł do pracy.

DARIUSZ ZAWISTOWSKI: Tak, przyszedłem do swojego gabinetu i zacząłem pracę jak zwykle.

To czy coś się w ogóle zmieniło?

Ostatnie wydarzenia nie wniosły wiele nowego do sposobu pracy w mojej Izbie. Także dlatego, że nie doszło do żadnej merytorycznej zmiany, jeśli chodzi o kierownictwo sądu. Bo trzeba wyraźnie podkreślić, że wskazanie przez prof. Małgorzatę Gersdorf prezesa Iwulskiego to wyznaczenie zastępcy, a nie następcy.

Niby niewielka różnica, ale jednak istotna.

Owszem. Mamy do czynienia z sytuacją, w której pani prezes Gersdorf dalej pełni swoją funkcję. A gdyby była nieobecna w pracy, będzie ją zastępował właśnie sędzia Iwulski. Ja nie widzę więc praktycznie żadnej zmiany.

A na ile ostatnie wydarzenia to rodzaj gry na czas, czy może cisza przed burzą? Jest kwestią czasu, że jednak dojdzie do przesilenia?

To zupełnie normalna rzecz – ten sam przepis był przecież wielokrotnie stosowany już w przeszłości. Choćby w sytuacji, gdy prezes był w podróży służbowej, na urlopie czy po prostu był chory. W tej decyzji nie ma nic nadzwyczajnego.

Tylko jak długo to potrwa?

Trudno dziś powiedzieć kategorycznie. Podkreślę raz jeszcze: to była wyłącznie decyzja pierwszej prezes Sądu Najwyższego. A prezydent, który również powoływał się na ten zapis w ustawie, żadnej decyzji formalnie nie podjął. Można powiedzieć, że zaakceptował on, iż prezes Iwulski może

zastępować prezes Gersdorf podczas jej nieobecności.

Czyli obecny stan, który obserwujemy, jest jednak czymś tymczasowym?

W dużej mierze to będzie zależało od tego, jaka będzie decyzja pana prezydenta w sprawie prezesa Iwulskiego. On złożył oświadczenie, że pozostanie na stanowisku sędziego, i czeka na decyzję. W jego przypadku wciąż nie ma opinii Krajowej Rady Sądownictwa. Zakładam, że gdy wpłynie, to prezydent może podjąć kolejną decyzję w tej sprawie. Trudno teraz przewidzieć, czy wyznaczy go później na osobę pełniącą obowiązki pierwszego prezesa.

Przyjęliśmy stanowisko, które jasno mówi: sędziowie, którzy złożyli oświadczenia, że chcą orzekać dalej, do 70. roku życia, są chronieni przez konstytucję i nie można ich zmusić do odejścia. Ale to jest nasze stanowisko. Nie wiem, czy podzieli je też pan prezydent.

A jeśli podtrzyma swoje wcześniejsze deklaracje? Czy nie obawia się Pan, że wtedy czeka nas podobna sytuacja, jaka miała miejsce w Trybunale Konstytucyjnym? Dziś, po kolejnych zmianach, Trybunał niemal nie funkcjonuje, jest sparaliżowany.

Tego rodzaju obawy mogłyby się zrodzić wtedy, gdyby prezydent skorzystał z zapisów w ustawie, które pozwalają mu wskazać osobę pełniącą obowiązki pierwszego prezesa SN. Wtedy doszłoby do sytuacji, o której się spekulowało, czyli mielibyśmy niejako podwójne zarządzanie. Ale tego problemu na razie po prostu nie ma.

Stanowisko sędziów w tej sprawie również jest jasne – nie ma podstaw do jego zastosowania. W naszej ocenie pani prezes ma mandat do 2020 roku i jest on chroniony przez konstytucję. Skorzystanie z tego przepisu nie wchodzi zatem w grę. Dotychczasowe zachowanie pana prezydenta *de facto* to potwierdza.

→ **Niepewność to jedno, ale są w Sądzie Najwyższym problemy, które od dawna czekają na rozwiązanie. Popatrzmy choćby na Izbę, którą Pan kieruje – mamy wakaty, zaczyna brakować sędziów do orzekania.**

To bardzo poważny problem, który utrudnia nam pracę. W tej chwili mamy 20 sędziów, którzy są w stanie orzekać, a prezydent przeznaczył dla naszej Izby 35 etatów. Biorąc pod uwagę organizację pracy, to naprawdę spory kłopot, bo przy takich brakach kadrowych o wiele trudniej jest nam wykonywać obowiązki.

Brakuje kandydatów na sędziów?

Mamy czterech kandydatów, których jeszcze poprzednia KRS przedstawiła prezydentowi do nominacji. Czekamy na decyzję od wielu miesięcy, te osoby są więc niejako w „zamrażarce”. Problem ten można więc częściowo rozwiązać w sposób stosunkowo prosty. Wiemy też, że niedawno ukazało się ogłoszenie dotyczące naboru na 44 etaty, w tym siedem do izby cywilnej. Ale tu pojawiają się dwa problemy.

Jakie?

Po pierwsze, chodzi o sposób naboru i ocenę kandydatów przez nową KRS. Ten proces zapewne będzie trwał, nawet nie jestem w stanie powiedzieć, jak długo. A po drugie, nie wiemy, kogo wybierze KRS. Czy to będą osoby, które będą odpowiadały wymogom, jakie do tej pory musieli spełnić kandydaci? Dotychczas byli to najczęściej doświadczeni sędziowie, z sądów apelacyjnych, albo profesorowie prawa. Trudno dziś powiedzieć, jakie kryteria przyjmie nowa KRS.

Mamy jeszcze jeden dylemat: nierozstrzygnięte wątpliwości co do tego, czy nowa KRS była wybrana zgodnie z konstytucją.

Tak. A to z kolei oznacza, że nie wiemy, czy będzie mogła wyłonić kandydatów w sposób skuteczny. Jeśli rzeczywiście wkrótce zaczną się pojawiać, to te wątpliwości wobec nich zaistnieją.

A co, jeśli tacy sędziowie jednak trafią do Pana Izby? Czy to będzie ten moment, kiedy trzeba podjąć decyzję, o dalszym sprawowaniu swojej funkcji?

Jeśli w perspektywie najbliższych miesięcy coś się zmieni, także w kwestii kie-

Jeśli w ciągu najbliższych miesięcy coś się zmieni w kwestii kierowania Sądem Najwyższym, to aktualne stanie się pytanie, **czy w takiej sytuacji da się normalnie pracować.**

DARIUSZ ZAWISTOWSKI jest prezesem Sądu Najwyższego kierującym Izbą Cywilną. Nominację otrzymał z rąk prezydenta Andrzeja Dudy. W Sądzie Najwyższym zasiada od 2005 r. Był też przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa.

Zrezygnował w styczniu tego roku, tuż przed wejściem w życie zmian w ustawie o KRS.



rowania Sądem Najwyższym, to pytanie, czy w takiej sytuacji da się normalnie pracować, stanie się aktualne. Podobnie jak i drugie pytanie – czy właściwym rozwiązaniem jest pozostawanie w Sądzie Najwyższym? Trzeba też pamiętać, że niektórzy sędziowie nie mają wiele czasu na taką decyzję. Spora grupa tych, którzy zostali i są w okresie przejściowym przewidzianym w ustawie, będzie wkrótce musiała zdecydować, czy przejść w stan spoczynku. Później już tej możliwości nie będzie.

Ma Pan już za sobą sporo lat spędzonych w sędziowskiej todze. Czy w tym czasie odczuł Pan, że ktoś próbuje naciskać na Pana niezawistość?

Tego typu potencjalne naciski mogą być dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, bezpośrednio – na szczęście z taką sytuacją nigdy się nie zetknąłem. Ale musimy też pamiętać, że w przestrzeni publicznej pojawiają się wypowiedzi, choćby polityków, które zarzucają sędziom, już jako grupie, niewłaściwe zachowania. Są i groźby wszczęcia postępowań dyscyplinarnych. Pojawiały się nawet w związku z obecną sytuacją wokół Sądu Najwyższego – sędziowie są oskarżani, że łamią przepisy.

Powinni to odbierać jako naciski?

Tego rodzaju wypowiedzi, zwłaszcza jeśli padają z ust wpływowych osób publicznych, mogą w jakiś sposób na niektórych oddziaływać. To może u nich wywołać swoisty efekt mrozący. Oczywiście, to kwestia osobistej odporności, ale i też odpowiedzialności władzy. Musimy pamiętać, że przedstawiciele pozostałych władz powinni swoim postępowaniem dbać o zachowanie autorytetu sądownictwa. Choćby w taki sposób, by nie podważać zaufania obywateli do sądów. To wszystko się bowiem przekłada na sposób, w jaki sędziowie potem wykonują swoje obowiązki.

Jak?

Jeśli zmienia się nastawienie obywateli, tracą do nas zaufanie, a to utrudnia funkcjonowanie samym sądom. Ostatnie badania pokazują, że nie tylko za sprawą zmian, ale i słów polityków zaufanie do sądownictwa się obniżyło. I to też są mechanizmy, które w pewien sposób mogą oddziaływać na sędziów.

Ale nieprzychylnie Wam słowa padają nie od wczoraj. Ta fala narastała od

dawna. Może jako środowisko mogliście zrobić coś więcej albo inaczej, by ją zawczasu zatrzymać?

Sędziowie tak naprawdę przemawiają swoimi wyrokami. Moim zdaniem, podstawą do oceny tego, w jaki sposób się zachowują, także w tych sprawach trudnych, medialnych, jest jedna kwestia – czy zachowują swoją niezawisłość. Wydaje mi się, że oni spełnili te oczekiwania. Nie jest też tak, że środowisko nie reagowało na wypowiedzi polityków. Te reakcje były, choćby ze strony organizacji sędziowskich. Nie zapominajmy też o licznych sprostowaniach czy apelach.

Wróćmy na chwilę do samych zmian w Sądzie Najwyższym, które budzą największe kontrowersje. Po pierwsze, instytucja skargi nadzwyczajnej. To niejako odpowiedź na głos ludu, ale czy taki mechanizm jest potrzebny i czy nie doprowadzi do chaosu?

Moim zdaniem kwestia tej skargi nie została przemyślana, i to z kilku powodów. Sama idea, czyli możliwość wzruszenia prawomocnych orzeczeń, które w społecznym odczuciu są niesprawiedliwe, nie jest zła. Ja tego nie kwestionuję. Tylko pamiętajmy, że w naszym systemie są środki, które do tego służą – przede wszystkim skarga o wznowienie postępowania i skarga o stwierdzenie niezgodności z prawem prawomocnego orzeczenia. Na drugiej szali musimy jednak położyć inny bardzo ważny aspekt.

Jaki?

Pewność prawa. W którymś momencie trzeba powiedzieć, że orzeczenie, które zapadło, musi zostać wykonane. Także dlatego, że chodzi tu o interes nie tej strony, która czuje się skrzywdzona, ale tej drugiej. Taki stan niepewności prawa nie może przecież trwać w nieskończoność. Dlatego uważam, że pomysł, by wzruszać prawomocne orzeczenia sprzed 20 lat jest sam w sobie bardzo dyskusyjny. A to jeszcze nie koniec wątpliwości.

Co jeszcze je budzi?

Czy w takiej sytuacji właściwe będzie uchylanie orzeczeń przez Sąd Najwyższy? Wydaje się, że właściwsze byłoby stwierdzenie przez sąd, że było ono niezgodne z prawem. Takie rozstrzygnięcie może stanowić podstawę do odpowiedzialności odszkodowawczej Skarbu Państwa. Moim zdaniem taki mechanizm byłby

dużo lepszy. Oczywiście, możemy się zastanawiać nad nowym rozwiązaniem, ale trzeba pamiętać, że te nadzwyczajne środki zaskarżenia już istnieją. Czy nie lepiej je poprawiać, a nie wprowadzać kolejne?

Takie podejście sprawia, że za chwilę może pojawić się problem dublowania się tych środków. To też nie jest do końca jasne, jaka będzie wzajemna relacja między nimi. To wszystko pokazuje, jak skomplikowane jest całe to zagadnienie.

A jak Pan patrzy na kolejną zmianę, czyli wprowadzenie ławników do Sądu Najwyższego?

Sama idea udziału obywateli raczej nie jest kwestionowana. Dziś przeważa nawet pogląd, że ten udział należy zwiększać. Ale w mojej ocenie nie jest dobrym pomysłem wprowadzanie ławników do takiego ciała jak Sąd Najwyższy. Jego rola jest jednak inna – to jest sąd prawa. Sąd Najwyższy zajmuje się tym, czy wykładnia prawa dokonana przez sąd była prawidłowa. I tutaj ławnik specjalnie nie pomoże.

Właściwym miejscem dla nich są sądy powszechne. Tam konkretną sprawę bada się z punktu widzenia okoliczności faktycznych, mamy też np. kwestię wymiaru kary. Niektórzy zwolennicy obecności ławników w SN powołują się na przykład USA, gdzie funkcjonuje ława przysięgłych. Ale przecież nie w Sądzie Najwyższym! Wielokrotnie rozmawiałem z amerykańskimi prawnikami na ten temat. Dla nich jest czymś niewyobrażalnym, by w Sądzie Najwyższym USA mieli orzekać ławnicy. Zresztą nie wiem, czy jest na świecie inny sąd, w którym taki model funkcjonuje.

Czy nie jest czasem tak, że Polacy nie rozumieją prawdziwej wagi ani roli Sądu Najwyższego w ich życiu? Podobnie zresztą, jak i Trybunału Konstytucyjnego. To dla nich odległy i niezrozumiały świat. Ale choć tego może nie widzą, to wasze wyroki realnie zmieniają ich życie.

Tak. Ale przede wszystkim pamiętajmy, że Sąd Najwyższy pełni różne funkcje, od tych ustrojowych zaczynając. Bo to przecież on bada ważność wyborów.

Poza przypadkami, kiedy ktoś po prostu jest stroną przed Sądem Najwyższym, często zapomina się także, że podstawowym zadaniem Sądu Najwyższego jest dbanie o jednolitość wykładni i stosowania

prawa. A to już przekłada się bezpośrednio na sytuację prawną praktycznie każdego.

W jaki sposób?

Wykładnia, którą proponuje Sąd Najwyższy w jednej sprawie, ma potem znaczenie dla sądów, które w podobnych przypadkach rozstrzygają w przyszłości. One zwykle korzystają z tej wykładni. I to nie dlatego, że są nią związane, ale uwzględniają ją ze względu na autorytet, jakim cieszy się nasz sąd. Jeśli Sąd Najwyższy orzeka na przykład w kwestii najmu lokalu mieszkalnego dla konkretnej osoby, to oczywiście ona sama jest tym bezpośrednio zainteresowana. Ale takie rozstrzygnięcie w jednostkowej sprawie może potencjalnie dotyczyć setek tysięcy innych osób, które będą miały w sądach podobne sprawy. Często też zapomina się o instytucji pytań prawnych.

Co ona oznacza dla Kowalskiego, który ma sprawę przed sądem w swoim mieście?

Jeśli w jego sprawie sąd ma wątpliwości, kieruje takie pytanie do Sądu Najwyższego, a ten udziela wykładni co do przepisów, które te wątpliwości wzbudziły. I znów, to też ma szerokie znaczenie – nie tylko indywidualne dla Kowalskiego, ale przekłada się na dziesiątki czy setki innych spraw.

Sąd Najwyższy zajmuje się też abstrakcyjną kontrolą prawa. W sytuacji, gdy jest rozbieżność w jego stosowaniu, to my damy sądowi wykładnię.

Rzeczywiście brzmi abstrakcyjnie.

Podam konkretny przykład, z mojej Izby. Wydaliśmy ważną uchwałę w sprawie ochrony konsumentów. Problem dotyczył tego, czy należy kontrolować warunki umów, które dostają konsumenci do podpisu tylko w odniesieniu do chwili jej zawarcia, czy także to, jak one są stosowane przez stronę silniejszą, czyli tę, która te warunki niejako narzuca? A tego rodzaju orzeczenie może potem dotyczyć setek tysięcy osób, choćby frankowiczów.

To kolejny raz pokazuje, że wielokrotnie będziemy mieli do czynienia z sytuacją, w której Sąd Najwyższy jest pozornie daleko od obywatela, mającego jakiś spór prawny czy wątpliwość. Ale ostatecznie działalność orzecznicza Sądu Najwyższego ma dla niego naprawdę istotne znaczenie. A grono zainteresowanych może być bardzo duże.

© Rozmawiał RAFAŁ ZYCHAL

PAWEŁ

Śpiewak: Czasy mesjańskie



WSZYSCY STARSI JUDZCY I JEROZOLIMSCY, „kapłani, i prorocy, i wszystek lud od małego do wielkiego (...) wszyscy słyszeli słowa ksiąg przymierza, które były znalezione w domu Pańskim” (2 Sm 22, 2). Król zawarł z Bogiem przymierze i zabrał się do oczyszczenia całej ziemi obiecanej

ze wszelkich śladów pogańskich. Odebrał tytuły tym, którzy kadzili Baalowi, wyciął gaj święcony z domu Pańskiego. Spalił ołtarze obce albo wrzucił do Cedronu. Bardzo był gwałtowny i nie oszczędził ani jednego kapłana Baalowego. Wszystko po to, by uspokoić Boga rozdrażnionego postępowaniem ojca Jozjasza, króla Menasa.

Była to największa czystka wrogów JHWH. Król zabijał, palił, siekał wszystko, co miało coś wspólnego z bożkami o imionach Asztoret, Chemosz, Baal, Milcom. Nakazał przywrócić święta przejścia (Pesach), których nie obchodzono od czasów sędziów. „Wypędził wieszczków, czarownice, obrazy i brzydkie bałwany i wszystkie obrzydliwości. (...) I nie był podobny jemu król przed nim, któryby się nawrócił do Pana z całego serca swego i ze wszystkiej duszy swojej, ze wszystkiej siły swojej, według wszystkiego zakonu Mojżeszowego, ani po nim powstał jemu podobny”.

Trudno o mocniejszy wyraz podziwu i uznania dla króla Jozjasza. On był prawdziwym i szczerym reformatorem religii.

Wielkie zmiany dokonały się dzięki, jak czytamy, odkryciu Księgi Powtórzonego Prawa. Nie wiemy, czy rzeczywiście odkryto zagubioną księgę – wdzięczny mit w literaturze – czy też za panowania Jozjasza księga ta została napisana i włączona do kanonu biblijnego. Podejrzewać można, że na dworze królewskim było wielu świetnych teologów i mędrców, którzy potrafili napisać ową księgę i tym samym wprowadzić do porządku wiary starotestamentowej kompletnie nowe elementy. To było odkrycie nowego wymiaru kultu. A stał za reformą nie kto inny jak wielki Mojżesz. Jego autorytet był nie do podważenia.

Pojawienie się nowej księgi świadczy też o tym, że w Judei było coraz więcej osób piszących i czytających, i że tym samym ukształtowało się względnie sprawne, na swój sposób nowoczesne państwo.

I właśnie to państwo za czasów Jozjasza dokonało czegoś więcej: scentralizowało kult religijny w Jerozolimie. Świątynia zyskała monopol na sprawowanie kultu. Arcykapłani i kapłani Świątyni zyskali na pozycji. Stało się to też wedle wskazań Księgi Powtórzonego Prawa. Tylko w tej spośród wszystkich ksiąg Mojżeszowych znajdziemy zapewnienia i nakaz, by wielość ośrodków kultowych zastąpić jedną Świątynią.

Jeruzalem musiało się stać miejscem wielkich mesjańskich nadziei. Oczekiwano, że król przywróci czasy rządów Dawida i Salomona. Lud gotował się do odbudowania zjednoczonego królestwa Izraela. Nowe prawo nakazywało, by władcy stanęli na czele całego ludu hebrajskiego. Sytuacja międzynarodowa zaczęła sprzyjać tym nadziejom.

Ale o tym już za tydzień.

©

O. WACŁAW

Oszajca: Smak rzeczy duchowych



PROROK JEREMIASZ MÓWI: „BIADA PASTERZOM, którzy gubią i rozpraszają owce mojego pastwiska – wyrocznia Pana. (...) Dotknę was karą za wasze złe czyny. (...) Ja sam zgromadzę resztę owiec ze wszystkich krajów, dokąd je wypędziłem, i przyprowadzę je na pastwisko”. Mówi do każdego, ale przede wszystkim do duchownych. Czyli do kogo? Czym się

charakteryzuje duchowny? To pytanie szczególnie głośno wybrzmiewa, gdy np. parafianin albo diecezjanin odkrywa, że jego proboszcz czy biskup jest całkiem podobny do tych spośród „starszych i uczonych w Piśmie”, którzy z wrogością podchodzą do Jezusa, upatrując w Nim jedynie zagrożenie. Tak są mocno przekonani o słuszności swoich przekonań, omotani pragnieniami i planami, że wszystko, co nie mieści się w ich głowach, uważają za herezję, a głoszących takie rzeczy mają za pozbawionych czci i wiary potępieńców.

Takie podejście do rzeczywistości zagraża również świeckim. Przecież pasterzami, których napomina Jeremiasz, a następnie Pan Jezus i apostołowie, są nie tylko duchowni, świeccy też. Nie tylko kapłaństwo jest sakramentem, przed nim jest chrzest, jest małżeństwo i wszystko, co z nim jest związane. Wspólnota małżeńska i rodzinna, wychowywanie dzieci i opieka nad starcami, zarabianie na chleb i dach nad głową, służba społeczeństwu i państwu. Ten świecki sposób życia uchodził, i często nadal uchodzi, za mniej ważny od tzw. całkowitego poświęcenia się Bogu, czyli życia w celibacie. Najlepiej w klasztorze kontemplacyjnym. Chrześcijańska asceza miałaby więc polegać na jak najdokładniejszym odgródnieniu się od spraw tego świata. Ale taką postawę nazywamy klerykalizmem.

Profesor Stefan Świeżawski tak o tym mówi w swoim „Alfabcie duchowym”: „Klerykalizm polega na tym, że świeccy nie są dostatecznie zaangażowani w Kościół. (...) Klerykalizm jest skutkiem bardzo głęboko sięgającego dualizmu, który łączy się z gnozą. W gnozie pierwszych wieków ludzie dzielą się na dwie kategorie: na pneumatyków i somatyków, ludzi ducha i ciała. Pneumatykami są – tak się utarło – duchowni, a somatykami świeccy. Mówi się duchowieństwo, a czy my, świeccy, nie jesteśmy duchowni? Tak więc już sama nazwa »duchowieństwo« jest gnostyczna”. A więc heretycka. Jak temu zaradzić?

Współpracownik Ignacego z Loyoli, o. Hieronim Nadal mówi, że Ignacy miał szczególny dar od Boga „w każdych warunkach, w pracy i rozmowie” odczuwania „obecności Boga, a także smakowania rzeczy duchowych, bycia kontemplatywnym nawet pośrodku działania; zwykł był nazywać to szukaniem Boga we wszystkich rzeczach”. Da się więc połączyć *sacrum* z *profanum*.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Błogosławieni, którzy nie widzieli...

Jeśli pokora i miłość,
prostota i dobroć nie
będą towarzyszyć
naszej modlitwie, to
będzie ona pozorem
modlitwy i nie
przyniesie pożytku.
A dotyczy to nie tylko
modlitwy, ale każdego
wysiłku i trudu.

Z APOFTEGMATÓW
OJCÓW PUSTYNI



Nie trzeba
wyrafinowania,
by służyć Bogu.
Wystarczy prostota,
szczerść i wiara.

NACHMAN Z BRACŁAWIA



EWANGELIA ZE ŚW. TOMASZEM w roli głównej. Jezus mówi: „ponieważ Mnie zobaczyłeś – uwierzyłeś; błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli” (por. J 20, 24-29).

Co znaczy: zaznać błogosławieństwa – szczęścia tego, który nie widział, a uwierzył? O jaką wiarę chodzi? Na czym ona polega?

Odpowiedź przychodzi z tekstem Pierwszego Listu św. Piotra. Zaraz w pierwszym jego rozdziale czytamy: „Którego – choć nie widzieliście – kochacie” (grec. *agapate*; łac. *diligitis* – zob. 1 P 1, 8).

Właśnie tak: wiara jest tożsama z miłością – wyborem w miłości (łac. *diligo* znaczy zarówno „kochać”, jak i „wybierać”).

Wierzyć w Chrystusa Zmartwychwstałego nie znaczy jedynie przyjąć abstrakcyjne stwierdzenie o tym, że wyszedł z grobu lat temu dwa tysiące.

Wierzyć w Chrystusa Zmartwychwstałego znaczy wybrać Go w miłości – pokochać Go żyjącego tu i teraz.

Wiara nie jest jedynie postawą intelektu; jest również wyborem serca i woli, i rezonans w uczuciach. Wiara obejmuje całego człowieka. Jak miłość.

Taka jest również wiara odzyskanego przez Jezusa apostoła Tomasza. Wyznaje ją w słowach: „Pan mój i Bóg mój!”.

To nie jest przecież jedynie rezygnacja z intelektualnego oporu, odrzucenie wcześniejszych wątpliwości na zasadzie: „zgadzam się; mieliście rację: zmartwychwstał”.

Tomasz, uznając Go za zmartwychwstałego, natychmiast oddaje Mu siebie. Jego wiara jest wyborem, wyborem osobistym: „Pan mój!”.

Jest oddaniem/poddaniem własnej osoby. Jest deklaracją przynależności – takiej, jaką człowiek może wybrać jedynie w wolny sposób.

Tu widać, jak wiara i niewiara Tomasza jest dla nas budująca. Jest nam bardzo potrzebna. Ojcowie Kościoła nie wahali się mówić, iż ta niewiara była nam potrzebna być może bardziej niż wiara pozostałych.

Błogosławieni, którzy nie widzieli, a... ukochali.

Czytam ostatnio niewielką biografię Karola de Foucaulda, która ma się niedługo ukazać w języku polskim. To bardzo piękna książeczka. Równie skromna, co fascynująca. Myślę także, że bardzo nam potrzebna na polskim rynku książki religijnej.

Potrzebna nie tylko dlatego, że coraz więcej wokół nas będzie – już jest – ludzi, którzy wszystkiego mają pod dostatkiem i doświadczają w samym środku tej obfitości po prostu nudy i pustki.

I nawet nie dlatego, że pokazuje nam świętego, którego nawrócenie tuż przed 30. rokiem życia zaczęło się od spotkania pobożnych mużulanów.

Potrzebna nam jest ona przede wszystkim z racji na powracający w niej refren – zdanie, w którym wieloletni ojciec duchowny Karola, ks. Huvelin, zawarł precyzyjny klucz do zrozumienia jego wiary: „On przemienia religię w miłość”.

Religia, dokąd nie jest miłością (a więc spotkaniem Osób), jest ideologią. Kto wie, czy nie jedną z najniebezpieczniejszych. Jeśli nie dla innych, to z całą pewnością dla samego wyznawcy. Staje się też łatwym źródłem podziałów między ludźmi.

Wierzyć w Jezusa Chrystusa Zmartwychwstałego znaczy kochać Go. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (15 – 22 VII)

15. niedziela zwykła: Am 7, 12-15;
Ps 85; Ef 1, 3-14; Mk 6, 7-13;

Poniedziałek: Iz 1, 10-17; Ps 50; Mt 10, 34 – 11, 1;

Wtorek: Iz 7, 1-9; Ps 48; Mt 11, 20-24;

Środa: Iz 10, 5-7. 13-16; Ps 94; Mt 11, 25-27;

Czwartek: Iz 26, 7-9. 12. 16-19; Ps 102; Mt 11, 28-30;

Piątek: Iz 38, 1-6. 21-22. 7-8; Iz 38, 10-12. 16; Mt 12, 1-8;

Sobota: Mi 2, 1-5; Ps 110; Mt 12, 14-21;

16. niedziela zwykła: Jr 23, 1-6;

Ps 23; Ef 2, 13-18; Mk 6, 30-34.

Wybrał PIOTR SIKORA



SZPAGAT NAD ATLANTYKIEM

Bilans dwóch lat Trumpa jest dotąd dla Polski pozytywny.
Czy więc po raz kolejny udało nam się znaleźć niszę,
w której przetrwamy polityczną zawieruchę? Niekoniecznie.

OLAF OSICA



Powitanie Wielonarodowej Batalionowej Grupy Bojowej NATO, poligon w Orzyszu, kwiecień 2017 r.

KRYZYS FINANSOWY, KTÓRY WYBUCHŁ w 2008 r. i stopniowo pogrążył polityki i gospodarki świata zachodniego, Polska przeszła prawie suchą stopą. Czy sztuka ta uda się nam także teraz, gdy prezydent Trump nakręca spiralę sporu handlowego, twierdząc, że NATO jest tak

samo złe jak łącząca Meksyk, USA i Kanadę strefa wolnego handlu NAFTA, ale za to nie wyklucza uznania Krymu za rosyjski? Szczyt NATO, odbywający się 11-12 lipca w Brukseli, a kilka dni później spotkanie Trump-Putin, mogą nas przybliżyć do odpowiedzi.

Nowy (dla nas) spór

Historia ostatnich dwóch dekad uczy nas, że kłótnie atlantyckie tworzyły szczeliny, przez które polska polityka nie tylko w miarę sprawnie się przeciskała, ale potrafiła ugrać przy tym kilka punktów. Przykładem spór o cel i zasadność rozszerzenia NATO o Polskę, Czechy, Słowację i Węgry. Mimo ogromnej opozycji – nie tylko w Europie, ale też w administracji ówczesnego prezydenta USA Billa Clintona – udało się nam wyjść z niego podwójnie zwycięsko: członkostwo w NATO i opinia konia trojańskiego Waszyngtonu w Europie nie stanęły na drodze do przystąpienia do Unii Europejskiej. Finałny akt procesu negocjacji dokonywał się już w cieniu narastającego sporu o sens interwencji zbrojnej w Iraku.

Dzisiejszy spór jest dla nas nowy, bo łączy kwestie bezpieczeństwa z kwestiami handlowymi. Dotyka więc po raz pierwszy dwóch kluczowych sfer państwa, nie zostawiając wiele miejsca na robienie politycznych uników. Zarazem po raz pierwszy jesteśmy jego pełnoprawnymi uczestnikami jako członkowie NATO i Unii, co wzmacnia poczucie dyskomfortu.

Co gorsza, jego istotą nie są odmienne opinie w sprawach dotyczących międzynarodowego bezpieczeństwa, lecz zasadnicza różnica w podejściu do kształtowania przyszłości. Inaczej niż jego poprzednicy, Trump otwarcie i świadomie dąży do pogrzebania dotychczasowego modelu stosunków atlantyckich i zastąpienia go formułą szerszą, w której wypracowany historycznie, oparty na bliskości kulturowej, podział na sojuszników, partnerów i wrogów traci na znaczeniu. Dla Europy oznacza to zarówno problemy, jak i kolejny etap układania sobie relacji z Ameryką jako „zewnętrznym mocarstwem”, a nie „prawie europejską potęgą”.

„F...ck the EU!”

Na razie słowa i działania Trumpa pod adresem Europy i sojuszników są szokujące bardziej w formie niż w treści – tak samo jak europejska krytyka jego działań nie odbiega na razie od normy znanej nam z historii.

Robiący ogromną karierę w czasie kryzysu irackiego esej Roberta Kagana „Potęga i raj. Ameryka i Europa w nowym porządku świata” do dziś jest aktualnym katalogiem transatlantyckich skarg i zażaleń, z których można zbudować ważną część historii powojnia. A także ➔

→ współczesności. Ironią losu jest bowiem aneks, który do eseju Kagana dopisała... jego żona Victoria Nuland. W czasie starć na Majdanie w lutym 2014 r. Nuland – wówczas asystentka sekretarza stanu – dała się podsłuchać rosyjskim służbom podczas rozmowy z ambasadorem USA w Kijowie Geoffreyem Pyattem. Na pytanie Pyatta, czy ma on konsultować się z przedstawicielami Unii, Nuland odparła „F...ck the EU!” [w łagodnym tłumaczeniu: „Pieprzyć Unię!” – red.] – dając tym samym dowód, że sceptycyzm wobec możliwości Unii nie był obcy także urzędnikom administracji Obamy.

To, co obserwujemy dziś, to apogeum sporów i irytacji, których nikt nie ma już ochoty ukrywać w imię wspólnoty atlantyckiej. Strategiczna nonszalanca Europy zderzyła się z przekonaniem Trumpa i ogromnej części społeczeństwa USA, że *Pax Americana* w obecnej postaci nie opłaca się Stanom, a polityka międzynarodowa musi być oparta na regułach biznesu: jak coś się nie opłaca finansowo, to się tego nie robi. Taka postawa może równie dobrze przynieść otrzeźwienie, jak i wywołać kryzys, który wymknie się spod kontroli.

Przy całej kontynuacji w wielu sprawach Trump idzie o krok dalej niż jego poprzednicy. Po pierwsze, w jego percepcji NATO jest kosztem, którego ponoszenia nie rekompensują już zyski polityczne. Jego poprzednicy krytykowali stan armii sojuszniczych, ale doceniali fakt, że obok flagi USA powiewały flagi ich partnerów, dając większą legitymację działaniom nadzorowanym przez Waszyngton. Trump nie wydaje się przekonany, że tak rozumiana sojuszniczość ma sens, gdyż Amerykanie nie będą już prowadzić wojen na obszarze, gdzie miałyby ona istotne znaczenie. Z kolei tam, gdzie by miała – czyli w Azji i na Pacyfiku – potrzebni będą inni partnerzy, którzy mają prawdziwe budżety obronne.

NATO jak firma ubezpieczeniowa?

Nie oznacza to porzucenia NATO, ale raczej przekształcenie go w coś na kształt wielostronnego funduszu ubezpieczeniowego, w którym zakres świadczeń na wypadek nieszczęśliwych wydarzeń jest uzależniony od składki.

Tą składką może być zarówno 2 proc. PKB na obronność, inicjatywa sekretarza obrony Mattisa „4x30” (do roku 2020 so-

Pax Americana
w obecnej postaci nie opłaca
się Stanom, a polityka
międzynarodowa musi być
oparta na regułach biznesu:
**jak coś się nie opłaca
finansowo, to się tego
nie robi.**

jusznicy zobowiązują się wystawić 30 batalionów sił lądowych, 30 eskadr lotniczych i 30 okrętów bojowych, które byłyby zdolne podjąć działania w ciągu 30 dni), jak i lista zakupów uzbrojenia w USA. Transakcyjność, która zawsze jest jednym z elementów polityki, teraz stałaby się jej fundamentem – otwierając drogę tym, którzy nie godzą się na taką zmianę formuły, do szukania alternatywnych rozwiązań sojuszniczych.

Po drugie, stałym elementem polityki Trumpa jest ogromna niechęć do szukania rozwiązań na poziomie instytucji wielostronnych, które traktuje on jako formaty wrogie. Dobitym przykładem jest zakończony fiaskiem szczyt G7 w Kanadzie, na którym Trump ustawił się w opozycji do reszty partnerów, nie proponując żadnych rozwiązań, mimo gotowości pozostałych do negocjacji. To też tłumaczy jego niechęć do Unii Europejskiej jako organizacji. Podczas mityngu w Dakocie Północnej stwierdził że „kocha państwa Unii Europejskiej, ale sama Unia powstała, aby wykorzystywać Stany Zjednoczone”.

Jednak archiwa nie pozostawiają wątpliwości. Integracja europejska nie tylko cieszyła się aprobatą Waszyngtonu, ale była przezeń aktywnie wspierana. Kolejni prezydenci akceptowali przez dekady nierównowagę w sojuszu, gdyż Stany rekompensowały ją sobie dostępem do rynku europejskiego, w którego stworzeniu po 1945 r. kluczową rolę odegrał plan Marshalla. Tymczasem w kwietniu prezydent Francji Emmanuel Macron miał usłyszeć od Trumpa zachętę do jej opuszczenia, by uzyskać lepsze warunki handlowe niż te, które Paryż ma w ramach Unii.

Renesans izolacjonizmu

Jeśli zderzymy to ze spotkaniem z Kim Dzong Unem w Singapurze – gdzie Trump nie tylko ochoczo zgodził się na *tête-à-tête*,

mimo braku jakichkolwiek wcześniejszych ustępstw, ale czuł się wprost znakomicie dyskutując m.in. o rynku nieruchomości w Korei Północnej – możemy zaryzykować tezę, że mamy do czynienia z pierwszym po 1945 r. pełnokrwistym izolacjonistą w Białym Domu.

Istotą koncepcji izolacjonizmu USA nie jest odgradzanie się od świata, lecz unikanie zaangażowania w zamorskie konflikty i układy międzynarodowe, które ograniczają pole manewru Stanów. Pamiętając, że izolacjonizm w USA zrodził się w latach 30. XX w. trauma wielkiej depresji i udziału w I wojnie światowej, Trump działa w sprzyjającym klimacie wewnątrzpolitycznym w USA, napędzanym kryzysem gospodarczym oraz pamięcią o własnych ofiarach w Afganistanie i Iraku. Jakkolwiek krytycznie ocenialibyśmy więc jego postawę, ma ona głębokie uzasadnienie i poparcie w samych Stanach.

A to otwiera mu drogę do porozumienia zarówno z Putinem, jak też z każdym innym przywódcą, który zechce zaakceptować nowe reguły gry oparte na dwustronnych układach w miejsce wielostronnych instytucji, funkcjonujących w ramach uzgodnionych przez wszystkich norm i procedur. W końcu uznanie Krymu za rosyjski może usunąć jedną z przeszkód dla zniesienia sankcji, a nowe porozumienie handlowe z Rosją może skłonić ją do obniżenia napięcia militarnego, tym samym uwalniając NATO od koncentracji na wschodniej flance.

Ponieważ światy polityki i gospodarki są dziś ze sobą ściśle powiązane – w stopniu niewystępującym w okresie 1918-39 – Trumpowi nie uda się kilkoma prostymi zabiegami poprawić bilansu handlowego USA ani zmniejszyć kosztów funkcjonowania w NATO. Ale może on skutecznie utorować drogę kolejnym prezydentom, którzy – może w lepszym stylu – będą kontynuować jego linię – przy założeniu o końcu wspólnoty atlantyckiej i potrzebie bardziej realistycznej polityki zagranicznej (uwzględniającej rachunek zysków i strat).

Polski bilans

Dla Polski bilans dwóch lat Trumpa jest do tej pory pozytywny. Nie tylko nie staliśmy się celem jego personalnej krucjaty (jak Niemcy), ale usłyszeliśmy wiele ciepłych słów podczas wizyty pary prezydenckiej w Warszawie. Jego polityka wobec obecności wojsk USA na wschod-

niej flance NATO jest nie tylko kontynuacją działań Obamy, ale uległa wzmocnieniu. Budżet Europejskiej Inicjatywy Wzmocnienia (European Reassurance Initiative) – zapoczątkowanej przez Obamę – został na prośbę Trumpa zwiększony o 1,4 mld dolarów, czyli prawie 40 proc. Niedawno media donosiły, że Stany rozważają przesunięcie części wojsk stacjonujących w Niemczech do Polski, co poprzedziły doniesienia o polskiej propozycji sfinansowania części kosztów pobytu sił USA w Polsce.

Nie odczuliśmy też na razie skutków ceł zaporowych dla europejskiej stali i aluminium (choć w razie nałożenia ceł na auta już tak dobrze nie będzie). Mamy też otwartą drogę do robienia interesów gazowych. Zgrzytem, choć ważnym, była ustawa o IPN, której strona amerykańska użyła m.in. do przypomnienia nam miejsca w hierarchii i tego, co jest, a co nie jest akceptowane przez elity waszyngtońskie. Z dobrym skutkiem, jeśli pominąć pozostawienie w ustawie „paragrafów ukraińskich”.

Dotatnią stroną bilansu jest też wybór amerykańskiego dostawcy systemu przeciwrakietowego (rakiety „Patriot”), który jest nam niezbędny, a zarazem stanowi istotną składkę do wspomnianego „funduszu ubezpieczeniowego” USA w ramach NATO. W Waszyngtonie wszyscy zainteresowani wiedzą, że nasze 2 proc. PKB na obronę, którym od lat się chwalimy, nie jest wydawane racjonalnie (mówiąc delikatnie), mimo wzrostu PKB Polski i potrzeb sił zbrojnych.

A zatem, skoro ten bilans jest pozytywny, czy po raz kolejny udało nam się znaleźć niszę, w której przetrwamy rozpadającą się zawieruchę polityczną? Niekoniecznie.

Największym problemem nie jest to, co Trump powie Putinowi. Nawet jeśli usłyszymy rzeczy bulwersujące lub po prostu niemądre, będziemy bogatsi o kolejne doświadczenie. „Reset” Obamy był przemyślany i zaplanowany, ale skończył się agresją na Ukrainę i decyzją o obecności armii USA w naszej części Europy. „Reset” Trumpa – jeśli do niego dojdzie – może nie przetrwać kilku minut na Twitterze. Ale może też przynieść problemy, których dziś nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Podobnie jest z wojną handlową: jeśli się rozkręci, możemy boleśnie odczuć fakt – wciąż ignorowany w Polsce – że nasza gospodarka jest mocno związana z gospodarką globalną, a zwłaszcza z gospodarką Niemiec.

Kryzys założycielski

Warto to sobie uświadomić: obecny kryzys amerykańsko-europejski nie jest kolejnym sporem o wydatki w NATO czy o strategię wobec globalnych problemów. To spór założycielski w ramach świata zachodniego – o to, kto zyska większy wpływ na ład międzynarodowy, który w swojej pozimnowojennej odsłonie już nie istnieje; kto pozyska więcej partnerów do jego budowy i kto będzie miał tytuł do występowania w imieniu innych.

Ameryka Trumpa odrzuca zasady liberalnego porządku, uważając je za naiwne

i szkodliwe tak dla samych Stanów, jak i świata. Europa stara się przy nich trwać, mimo ich głębokiego kryzysu i konserwatywnej kontrrewolucji.

Polska wciąż czerpie garściami z obu światów, ale przychodzi nam to coraz trudniej. Może się więc okazać, że choć jesteśmy dziećmi obu stron Atlantyku, które – złączone liberalną wizją świata – dały nam szansę na powrót do grupy możliwych i szanowanych, to nasz instynktowny atlantycyzm jest już nie do pogodzenia z chęcią budowy nowej Europy. Że nie da się „zjeść ciastka i mieć ciastko”, bo obu stron sporu takie rozwiązanie już nie satysfakcjonuje, a reguły obu klubów się wykluczają. Z kolei wybór między dostępem do rynku i instytucji w Europie a obecnością armii USA w Polsce i amerykańskim gazem skroplonym nie jest wyborem, którego ktokolwiek chciałby dokonywać.

To oczywiście daleko idąca sugestia. Dziś takiego dylematu nie ma. Ale nie powinno to nas zwalniać z myślenia, czy międzynarodowe uwarunkowania wykorzystujemy dla zwiększania naszej pozycji (której probierzem jest zdolność kształtowania polityki innych państw), łagodząc pojawiające się nowe dylematy, czy też raczej pogłębiając nasze zależności w nadziei, że błędy zostaną wybaczone, a sukcesy docenione.

© OLAF OSICA

Autor jest dyrektorem projektu „Rynki Zagraniczne” w Polskim Towarzystwie Wspierania Przedsiębiorczości w Katowicach. Stale współpracuje z „TP”.

REKLAMA

Polska Akcja Humanitarna buduje studnie w Sudanie Południowym od 2006 roku.



pah

Polska Akcja Humanitarna

Ludzie w Sudanie Południowym mają utrudniony dostęp do wody i żywności. Zbuduj studnię z PAH!

WPLAĆ online: www.pah.org.pl/wplac lub na konto:
Alior Bank 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772

dopisek **WODA**

Lotnisko dla samolotów, nie dla patriotów

SEBASTIAN MIKOSZ, BYŁY PREZES LOT-U:

Potrzebujemy nowego portu przesiadkowego, ale trzeba go budować z głową.

ADAM PUCHEJDA: Centralny Port Komunikacyjny ma sens?

SEBASTIAN MIKOSZ: To konieczność. Jeśli nie zbudujemy nowoczesnego, taniego portu przesiadkowego w Polsce, nie wyrwiemy się z marginesu lotniczego Europy, w którym tkwiliśmy przez lata i z którego dopiero od niedawna udaje się nam wydostawać.

Tylko czy potrzebujemy nowego lotniska na 100 mln pasażerów?

Nie, potrzebujemy nowego portu przesiadkowego, który trzeba oczywiście budować z głową. Zgadzam się, że cała ta retoryka wokół CPK jako jednego z dziesięciu najlepszych portów świata, portu dla Polski, kolejnego srebra rodowego, nie wytrzymuje krytyki. Poziom debaty na ten temat jest godny pożałowania. Ale rozumiem też, że dyskusja o CPK nie ma charakteru lotniczego, tylko polityczny.

Trudno, by inwestycja za 40-50 mld złotych nie miała charakteru politycznego. Zwłaszcza jeśli jest to projekt właściwie bez planu.

Zgoda, CPK może nie jest dobrze przygotowany, a już na pewno nie mówi się o nim w sposób merytoryczny, np. w tej dyskusji kompletnie pominięto to, jak rozwój technologii lotniczych zmieni potrzeby, wielkość i kształt lotnisk. Ale to nie zmienia faktu, że porządne lotnisko przesiadkowe jest nam po prostu potrzebne.

Dlaczego? Okęcie nie wystarczy?

Absolutnie nie. Jest za małe i moim zdaniem już teraz pęka w szwach. Poza tym ma szereg innych ograniczeń – nie można tam lądować ani startować nocą ze względu na hałas i duże skupiska ludzi wokół, nie można też go rozbudować. To zresztą „zasługa” polityków, którzy już dawno temu postawili na rozwój portów

regionalnych (w regionach jest sporo głośów), które nie wiedzieć dlaczego za punkt honoru postawiły sobie rywalizowanie z Warszawą. To wtedy też Hanna Gronkiewicz-Waltz zgodziła się na zabudowanie Okęcia autostradą i na dobre przypieczętowała los tego lotniska.

Pojawiła się też koncepcja tzw. duoportu.

Kto to wymyślił? To się lotniczo nie broni. Różne miasta mają dwa lub więcej portów, ale to nie znaczy, że funkcjonuje w nich duo- lub wieloport. Paryż ma Roissy i Orly, ale te lotniska powstały w innym czasie i nikt nie planował, że będą miały tę samą siatkę połączeń. Te porty nie są ze sobą połączone, bo to nie ma sensu. Tak samo jest w przypadku Modlina i Okęcia. Bo niby jak to miałyby działać? Wysiadam na jednym lotnisku i jadę 20-30 minut pociągiem na drugie, żeby się przesiąść na kolejny samolot? To przypomina trochę budowanie bloku chirurgicznego w jednej dzielnicy miasta, a anestezjologii w innej. Usypia pan klienta w jednym miejscu, a potem wiezie go na operację do innego.

W Warszawie próbowano dokonać podziału ruchu. Modlin dla tanich linii lotniczych i jako pomoc dla zapychającego się Okęcia, a Okęcie jako główny port przesiadkowy.

Twórcy Modlina tak to sobie wymyślili. Tylko co z tego, skoro to nie działa? Dziś Modlin jest portem tylko jednej linii lotniczej – Ryanaira. Zresztą, wie pan, dlaczego Lotnisko Chopina jest tak popularne i spełnia się w roli hubu? Bo ma dobre tzw. MCT (*minimum connectivity time*), czyli czas potrzebny na przesiadkę, wynoszący ok. 40 minut, podczas gdy w takich portach jak Monachium czy Londyn to półtorej, a nawet dwie godziny.



Czy nowy port ma jednak sens przy otwartym Okęciu i Modlinie? Ruch pasażerski będzie tak duży, żeby obsłużyć te trzy lotniska?

Pytanie grubo przedwczesne. Rozstrzygnięcie dziś, czy zamykać Okęcie za dziesięć lat, kiedy wstępnie CPK zostanie otwarte, nie ma sensu. Od tego czasu dzielą nas dwie kadencje prezydenckie i prawie trzy kadencje rządowe.

Istnieje obawa, że pasażerów będzie w Polsce za mało. Wyłożymy gigantyczne pieniądze na CPK, które będą puste, bo wszyscy będą woleli latać z blisko położonego Okęcia.

To mit, że decydują pasażerowie. Decydują linie lotnicze. Lotnisko Chopina nie przyjmuje samolotów w godzinach 23-6, a po zbudowaniu CPK będzie można jeszcze bardziej ograniczyć te czasy i np. wprowadzić zakaz lotów w godzinach 22-7. Będzie można też wprowadzić limit startów i lądowań na Okęciu dla samolotów do 150 foteli. Z tych powodów wszystkie loty cargo automatycznie przejdą na nowe lotnisko. Przewoźnicy nie będą mieli żadnej zachęty, żeby latać z Okęcia. Chyba że upodobnimy Chopina do lotniska London City, gdzie lądują mniejsze samoloty. Dla biznesu to idealne rozwiązanie. Za wygodę płacicie więcej.

A co z regionalnymi portami? Sami twórcy CPK nie mogą się zdecydować. Raz twierdzą, że CPK weźmie tych



Port Lotniczy im. Chopina,
Warszawa-Okęcie, maj 2017 r.

Brzmi dobrze, tylko jak LOT ma zwiększyć swoją flotę do tych 100-120 samolotów, o których Pan mówi? Jest przecież linią, która ledwo uszła z życiem i dopiero zaczyna zarabiać.

Nie wątpi się już dziś w sens istnienia firmy, nie wątpi się też w możliwości rozwoju. A powiększenie floty nie jest problemem. Samoloty się dziś wynajmuje – i to na coraz krótsze okresy czterech lub sześciu lat – a nie kupuje za gotówkę.

Mówi Pan, jakby to było tak łatwe jak wynajęcie samochodu.

Bo jest, tylko za większe pieniądze.

No właśnie. Skąd LOT ma je wziąć? Rząd nie może dokładać do firmy ciągle, a inwestora nie widać.

Nie wiem, czy LOT potrzebuje dodatkowych pieniędzy na rozwój floty, bo nie mam dostępu do bieżących raportów finansowych. Ale wiem, że LOT nie powinien jako linia pozostawać sam. Żeby wskoczyć na długoterminową ścieżkę rozwoju, będzie musiał stale obniżać koszty. A tego nie da się zrobić bez wejścia do większej grupy lotniczej. British Airways, Iberia, Vueling i Aer Lingus są razem jako AIG właśnie po to, żeby zyskać synergii i rozwijać się kapitałowo. Sama jest np. Alitalia i ma kłopoty.

LOT bez inwestora może znaleźć się w podobnej sytuacji?

Tak. Prędzej czy później trzeba będzie wrócić do kwestii prywatyzacji, ale bez odruchu patriotycznego, obrony narodowego przewoźnika. Wzorem może być tu Aer Lingus, który też – podobnie jak LOT – był ratowany przez rząd irlandzki przed upadkiem, a potem został sprzedany za dobre pieniądze grupie AIG. Dodatkowo Irlandczycy zapewnili sobie, że Dublin pozostanie portem przesiadkowym. W przypadku LOT-u też strategicznie warto byłoby się połączyć z AIG, czyli grupą British Airways, która nie ma dobrze rozwiniętej flanki środkowoeuropejskiej.

Może by miało to sens, ale zdaje się, że LOT ma dziś inne rzeczy na głowie: groźbę strajku stewardess i stewardów, problemy z pilotami

pasażerów, raz, że oni nie są CPK potrzebni.

To nieporozumienie. Z lotniczego punktu widzenia porty przesiadkowe ani nie widzą, ani nie słyszą portów regionalnych. Te lotniska obsługują po prostu innych pasażerów. Linie międzynarodowe latają do portów regionalnych, żeby przewieźć pasażerów do swoich portów przesiadkowych. W tym sensie Lufthansa dalej będzie latała do Krakowa, Katowic, Gdańska itd. Tu się nic nie zmienia. Ale jeśli powstanie CPK i to lotnisko stanie się bazą dla LOT-u, to wybór połączeń będzie większy. Nikt nie będzie kazał latać Polakom z CPK, jeśli nie skusi ich do tego cena i jakość przewoźnika. Zresztą, dlaczego LOT lata do ośmiu miast w Niemczech? Po to, żeby ściągnąć niemieckich pasażerów do Warszawy i zabrać ich w dalszą podróż do Azji lub Ameryki. To normalna praktyka.

CPK nie zagrozi więc portom regionalnym?

W ogóle. Polscy pasażerowie będą mieli tylko większy wybór. Za dziesięć lat LOT będzie woził – powiedzmy – 20 mln pasażerów. To oznacza, że zwiększy swoją flotę o połowę, do 100-120 maszyn. To brzmi odważnie, ale nie jest absurdalne. A wówczas Polacy będą mogli latać z Warszawy kilka razy dziennie do Nowego Jorku, do Chicago i do innych miast, w tym do Azji. To zwiększy też ruch z portów regionalnych, bo po pierwsze, LOT będzie chciał dowozić coraz więcej pasażerów do swojego hubu, a inne linie, np. Lufthansa, będą rywalizować z LOT-em poprzez zwiększenie liczby połączeń właśnie do portów regionalnych, żeby zrobić coś analogicznego, czyli przewieźć tych pasażerów do Monachium lub Frankfurtu.



STANISŁAW KOWALCZUK / EAST NEWS

SEBASTIAN MIKOSZ jest prezesem Kenya Airways, byłym prezesem LOT-u. Jedyny Polak w Radzie Dyrektorów Międzynarodowego Stowarzyszenia Transportu Lotniczego IATA.

Twierdzi Pan, że LOT będzie mógł skutecznie konkurować z liniami bliskowschodnimi, takimi jak Qatar lub Emirates, o rynek azjatycki?

Moim zdaniem już to robi i wygrywa. Otwiera kolejne połączenia – do Pekinu, Singapuru. Zawsze znajdzie się grupa pasażerów, która będzie gotowa zapłacić więcej za połączenie bezpośrednie. A LOT na szczęście lata dreamlinierami, które są małe i które łatwo wypełnić. Oczywiście, to inna skala niż przewoźnicy z Zatoki, ale konkurować można.

→ protestującymi przeciwko zatrudnianiu na kontrakt.

Też miałem konflikt ze związkami i nadal uważam, że to jedna z najbardziej nierozsądnych grup pracowniczych w Locie. Oni nie myślą o dobru całej firmy i nie domagają się, np. żeby dzielić się z nimi jakimś procentem wspólnie wypracowanego zysku. Oni chcą, żeby wrócić do zasad sprzed ośmiu lat, które LOT prawie zabiły, i jeszcze chcą rekompensat za ten okres. To niepoważne.

A piloci na kontraktach? Niektórzy alarmują, że latają nawet chorzy, bo na samozatrudnieniu nie mają urlopu.

Piloci są jedną z grup zawodowych, która ma najlepsze warunki zatrudnienia w Polsce i na świecie. Proszę nie porównywać pilota do zwykłego pracownika. Pilot nie może pracować dłużej niż 90 godzin miesięcznie. A w Locie na pewno tyle nie latają, bo nawet w Ryanairze to 80-85 godzin. Z tego powodu mówienie, że piloci latają chorzy lub przemęczeni, to nieporozumienie. Piloci dużych samolotów latają dwa lub trzy razy w miesiącu. Lecą dziesięć godzin, na miejscu odpoczywają dobę, a po powrocie mają cztery dni odpoczynku.

Na kontrakcie nie mają jednak bezpieczeństwa zatrudnienia, ubezpieczeń.

To prawda. Tylko wie pan co, kiedy wprowadzaliśmy nowe umowy, oni byli zachwyceni, bo korzyści podatkowe, które z tego mieli, wielokrotnie przekraczały wszelkie zyski, jakie mogli czerpać z umowy o pracę. Bo też elastyczny czas pracy oznacza, że piloci – jeśli chcą, a chcą – mogą latać więcej i więcej zarabiać.

LOT nie powinien się obawiać, że piloci np. wyjadą do Azji i będą zarabiać nawet 100 tys. miesięcznie?

To nie takie proste. Przeszkodą jest tzw. czynnik ludzki. Nie każdy chce wyjechać z rodziną z Polski. Ale najważniejsze jest to, że piloci w Polsce naprawdę mogą żyć bardzo dobrze. Praca w Locie to nadal prestiż, dobre samoloty. W ogóle przyszłość latania w Polsce rysuje się bardzo dobrze.

Wszystko jest dobrze, tylko brakuje CPK?

Powtórzę, potrzebujemy nowego przesiadkowego portu lotniczego. To konieczne. Ale to musi być projekt lotniczy i biznesowy, nie patriotyczny. Musi być też dobrze policzony. Realistyczny, ale bez kompleksów. No i to po winien być projekt ponadpartynny. Lotnisk nie buduje się dziś za kadencji jednego rządu.

© Rozmawiał ADAM PUCHEJDA

Wirtuozi nocy letniej

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Osiem kilometrów od pustynnego centrum jestem gościem państwka, które otoczyły ciasno osiedlowe ulice. Stoję pośrodku zjednoczonego królestwa wrotczya i nawłoci.

KIEDY PRZYCHODZĄ JASNE, NIEKOŃCZĄCE się dni, żal mi się robi nocy. Stale kluta złotymi włóczniami słońca musi uciekać, kryć się jak zaszczute zwierzę. Dzień tryumfuje, upaja się zwycięstwem, a mnie denerwuje ta jego pycha. Wszędzie go pełno. Ledwie, tuż przed jedenastą, zgasły na zachodzie ostatnie refleksy, a trzy godziny później widzę na wschodzie dwie fiołkowe chmurki, które przekradają się w ciemności. Nie ma jeszcze drugiej, ale coś narasta, przemoc już wisi w powietrzu. Wiem, że pożałuję, ale dziś się cieszę, że za parę miesięcy to noc weźmie srogi odwet.



MARTIEN BRAND / WIKIPEDIA

W GĘSTWINIE TRWA MONOTONNA DYSKUSJA TRZCINNICZKÓW. Brzęczą jeden przez drugiego, jakby ktoś tu, na bagnie, ukrył stare, niepotrzebne nikomu telefoniczne modemy. Jakie to dziwne – był dźwięk, nie ma dźwięku – dzieci już go nie znają. W nocy trzeba się zdać na słuch i dotyk. Czasem na ten nasz marny, ludzki węch. Idę powoli, nie zakłócam ciemności reflektorem czołówki, ale moja ścieżka raptownie urywa się na murze trzcin.

Zwartym i nieprzejeźdnym. Kończy się? Nie, biegnie teraz nisko, zupełnie niewidoczna, na wysokości dziczego grzbietu. Odpycham wysokie, szorstkie łodygi i wchodzę niepewnie. Nie wiem, gdzie idę, ale pod nogami czuję dobrze ubitą ścieżkę. Codziennie wydeptują ją twarde, czarne racice. W trzcinach jest chłodno, wilgotno, podnosi się niewidoczna tropinka. Rozchyła się kotara trzcin.

Na łące bucha tropikalny zaduch, trawy oddają ciepło słonecznego dnia. Z łąki patrzę na mrugające światła na moście i masywne sylwetki śpiących bloków. Trzy niemrawe kleszcze już rozpoczęły wspinaczkę w górę spodni. Nie chodźcie ścieżkami dzików. Podobno tam, gdzie wędrują dzikie zwierzęta, tam, gdzie łagodnie kładzie się przydeptana trawa, a w błocie trafia się rozmazany trop czy sterta bobków, kleszczy jest nawet siedem razy więcej. Dowiódł tego polsko-słowacki zespół naukowców. Wbrew temu, co nakazywałyby rozsądek, wybierzcie przedzieranie się i brnięcie. Wybierzcie brak ścieżki.



KAREN ARNOLD / PIXABAY

SWÓJ KONCERT ROZPOCZYNA TAJEMNICZY RODZAJ LOCUSTELLA. Drobne, niepozorne, brązowe ptaki, których głos do złudzenia przypomina letnie cykanie

koników polnych. Locustelle trudno zobaczyć. Trwają bez ruchu z szeroko otwartym dziobem, a ich ciało rezonuje w rytm rytmicznego grzechotania. Dla mnie strumieniówka dzwoni jakby blaszanym dekielkiem, jak najszybsze na świecie kastaniety, a niektórzy słyszą w jej głosie odległą maszynę do szycia. Świerszczak każdego amatora wyprowadzi w pole. Śpiewa w długich sekwencjach, szybkie, monotonne i całkiem nieptasie piosenki. Żadnych fletów, kłasków czy rozwibrowanych treli. Zero słowiczych hysterii. Wyłącznie sucha, owadzia mantra.



FRANK VASSEN / WIKIPEDIA

SŁOWIK ZAMILKŁ W POŁOWIE CZERWCA. „Na święty Wit – słowik cyt!” sprawdziło się i tym razem. Mija dwadzieścia minut i za czarną ścianą olsu różowieje. Teraz stoję pośrodku zjednoczonego królestwa wrotczyca i nawłoci, na północy zostawiłem zasieki trzciny i palisadę wielkich, starych topoli. To wszystko osiem kilometrów od pustynnego centrum, szklanych ścian i zatłoczonych, chorych arterii miasta. Tu jestem gościem państewka, które opasły cia-

sno osiedlowe ulice i wielka głośna trasa, która powarkuje spalinowymi silnikami. Ależ ten wrotycz obłędnie pachnie, teraz, w apogeum zieloności, jest najpiękniej. Gołą prawdę widać wiosną, kiedy stoi tu ciemna woda, a trawa ma kolor spalonych perhydrolem włosów. Rdzawe, bezlistne badyle nie ukryją, że to także wielkie wysypisko. Zderzaki samochodowe i opony, które pięknie obrosną mchem. Połamane krzesła i nadpalone kanapy. Glazura i terakota. RTV i AGD. Śmieci pospolite. Butelki, kubeczki po jogurtach, flaszki po wódce i puszkę po piwie. Atrybuty naszej cywilizacji. Żałosna kultura materialna.

Gdzieś parę kroków przede mną wybucha niespodziewanie ekstatyczna, szalona improwizacja łożówki. Szalona płatanina zgrzytów, treli, gwizdów, terkotów. Rozpędza się i gaśnie. Tylko na moment. Słyszę mazurka, nieznany głos, zaniepokojoną bogatkę, pliszkę siwą, nieznany głos, szczebiot dymówki. Sekunda przerwy. I tak całą noc. Łóżówka to mistrz naśladownictwa, wirtuoz, który łączy cudze głosy w niepowtarzalne, zawrotne kombinacje dźwięków. W przyszłym roku upłynie 40 lat od publikacji badań Françoise Dowsett-Lemaire, która poddała analizie piosenki tego ptaka. Okazało się, że każda z podsłuchiowanych 30 łożówek ma w swoim repertuarze głosy średnio 76 gatunków ptaków. Każda przetwarza je na swój unikalny sposób. Ogółem zidentyfikowano głosy 212 gatunków ptaków, z czego przeszło połowę stanowiły gatunki afrykańskie.

ŁOŻÓWKA SPĘDZA W EUROPIE NIEWIELE CZASU. Przylatuje w maju, wychowuje potomstwo, wyposaża je w niezbędną życiową wiedzę – jak złapać komara i nie dać się złapać błotniakowi – i już w sierpniu rusza z powrotem, do Afryki. Leci daleko, za równik, gdzieś w południowo-wschodni róg kontynentu. Łóżówka lubi sawanny i podmokłe łąki. Zresztą wcale tego nie ukrywa, w jej piosence słychać

wyraźnie głosy tamtejszych ptaków, drobnych, zaroślowych wróblowatych i długonogich brodziec. Moja łożówka ciągle śpiewa, i pozostaje niewidoczna, siedzi gdzieś nisko, wczepiona jak kleszcz w sierści zielonych łodyg.



MAREK SZCZEPANEK / WIKIPEDIA

Nieprzerwanie woła derkacz, cały czas, bez wytchnienia. Po polsku „der-der”. Po niemiecku „rerrp-rerrp”. Po łacinie „crex-crex”. Wyobrażam sobie, jak zwinnie przemyka w trawie, jak przekrzywia śmiesznie swoją kurzą główkę i drze się jak stare prześcieradło. Na drugim końcu łąki odpowiada mu inny kogucik. A może to już tylko echo w uszach gra? Przed czwartą jest już zupełnie jasno, słońce jeszcze nie weszło, ale już odbija się złotem w ciemnych skrzydłach jerzyków. Polują w skupieniu, w ciszy. Dopiero wieczorem, w miękkim świetle zachodu, pozwolą sobie na chwilę zapomnienia, na radosne, pełne świdrujących okrzyków gonitwy nad dachami Warszawy. ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

MICHAŁ OKOŃSKI **Futbol jest okrutny**



Komentarze mundialowe czytaj na stronie „TP” i na blogu „Futbol jest okrutny”: okonski.blog.tygodnikpowszechny.pl ➔

Szpital na końcu drogi

KRZYSZTOF STORY

Ponad 11 tys. prób samobójczych – to bilans roku 2017. Osiem lat temu rozpoczęto reformę psychiatrii, która miała poprawić stan zdrowia psychicznego Polaków. Pilotaż rusza dopiero teraz. Na znacznie mniejszą skalę.

Z PROFESOREM ANDRZEJEM CECHNICKIM z Katedry Psychiatrii UJ CM spotykam się w hotelu. Trzygwiazdkowy pensjonat na cichych krakowskich Dębnikach, w neorenesansowej willi z 1890 r. Recepcja, restauracja, 14 pokoi z białymi zasłonami zakrywającymi przestronne okna. Gościom się podoba. Ocena w internecie: 8,9/10 i setki komentarzy z komplementami dla personelu.

Ogrodem opiekuje się Wojtek Wzorek. – Skończyłem technikum budowlane, pracowałem w wielu miejscach, byłem koordynatorem robót – mówi. – Teraz trafiłem tutaj.

Wojtek lubi pracę w pensjonacie. Walka z trawą wyrastającą pomiędzy płytkami chodnika to nieustające zmaganie. Przypomina mu walkę ze schizofrenią paranoidalną, którą zdiagnozowano u niego 20 lat temu. W pensjonacie U Pana Cogito cierpiący na zaburzenia psychiczne stanowią ponad 70 proc. personelu.

Dlaczego? Profesor Cechnicki zaprasza do namiotu rozstawionego przed hotelikiem. Wewnątrz gra muzyka, jest tort, ale właśnie tam będzie mi to ponoć najłatwiej zrozumieć. Cogito znaczy właśnie „rozumieć”.

Sojusz z pacjentem

Opowieść profesora Cechnickiego składa się z czterech wątków. Pierwszy: – Popelniliśmy błąd. Oddzieliliśmy psychiatrię od pomocy społecznej. Rozeszły się drogi leczenia i oparcia społecznego. A przecież celem psychiatrii nie jest jedynie pokonywanie objawów, skuteczna farmakoterapia, tylko pełny udział, w różnych rolach, w życiu społecznym. Prawdziwy sukces na drodze do zdrowienia jest wówczas, gdy po kryzysie umiemy żyć ze sobą.

Myśl druga: – Skuteczna psychiatria wymaga integracji różnych form pomocy. Mamy pięć rodzajów opieki: doraźna, ambulatoryjna, środowiskowa, dzienna i szpitalna. Ta ostatnia powinna być ostatecznością, gdy inne zawodzą.

Myśl trzecia: – 70 procent budżetu na ochronę zdrowia psychicznego trafia dziś do wielkich szpitali. Mamy w Polsce ciągle system „szpitalocentryczny”. Psychiatria nie bez powodu kojarzy się głównie z wielkimi, zamkniętymi placówkami. Są one bardzo potrzebne w fazie ostrego kryzysu psychicznego, która jednak z czasem przemija, a zmaganie o zdrowie, przyjaźń, pracę i akceptację – pozostaje. Nie może być tak, żeby chory opuszczał szpital i trafiał w społeczną pustkę.

Myśl czwarta: – Za drzwiami szpitala musi na niego czekać system opieki, który odpowiada na różne potrzeby pacjenta i jego rodziny. System opieki w jego środowisku, w najbliższym otoczeniu, łatwo dostępny. Potrzebujemy psychiatrii środowiskowej działającej we współpracy z pomocą społeczną, organizacjami pozarządowymi, lokalnym samorządem. W bliskiej współpracy z pacjentem i jego rodziną. Potężną bronią jest edukacja. Musi powstać kompleksowy system, który spojrzy na niego nie jak na chorobę, ale jak na osobę. System działający w najbliższym otoczeniu, oparty na budowaniu wspólnego języka, na sojuszu z pacjentem i rodziną.

– To może się udać? – pytam

– Proszę się rozejrzeć. I proszę przekazać dalej – zachęca profesor.

Lawenda

Wojtek ogrodnik:

– Miałem różne problemy, ale długo uciekałem od lekarzy – mówi szybko. – W 1998 r. trafiłem do szpitala. Czasami tak bywa. Nie wszystko musi wyjść w życiu.

Poza leczeniem chodził na warsztaty terapii zajęciowej. Raz było lepiej, raz gorzej. W 2005 r. trafił do Cogito.

– Bałem się, że nie dam rady w pracy. Lubię naturę, więc zająłem się ogrodem, przycinaniem kwiatów. Do dziś biorę leki, rozmawiam z lekarzami. A goście przychodzą i doceniają, że ładny ogród, że lawenda pachnie i że ptaki słyszą. Cieszy mnie to.

U Pana Cogito od 2003 r. funkcjonuje jako Zakład Aktywizacji Zawodowej. – Na wolnym rynku nie ma tolerancji na słabość – tłumaczy Agnieszka Lewonowska-Banach, dyrektorka pensjonatu. – A my staramy się stworzyć odrobinę innego świata. Organizujemy warsztaty, wyjazdy, terapię. Warunki są łatwiejsze, ale nie wchodzimy w rolę opiekunów, nie wyręczamy. Dzięki temu osoby po kryzysach starają się, szanują pracę. Wychodzą z roli chorego.

Na 35 pracowników Cogito 25 to osoby chore psychicznie. Informacji o tym nie ma ani na stronie hotelu, ani w folderach. Tylko krótka wzmianka: „Wszystkie zyski z naszej działalności przeznaczamy na rehabilitację osób niepełnosprawnych”.

– Niektórzy goście w ogóle nie orientują się, że coś jest inaczej – zaznacza Lewonowska-Banach.

– To model psychiatrii, który mi się marzy – dodaje Andrzej Cechnicki. – Psychiatria otwarta, skoncentrowana na zdrowieniu, nie na chorobie. Psychiatria, w której szpital jest na samym końcu drogi. A często przestaje być potrzebny.

Niepotrzebne skreślić

– Nawet nie wiesz, jak to jest potrzebne. Bogdan de Barbaro nazwał to kiedyś „romantyczną psychiatrią” – śmieje się Dorota.

Jej mieszkanie jest całe zastawione rzezbami, obrazami i rysunkami. Część z nich namalowała sama. Pomalowała też meble i drzwi na wszystkie kolory tęczy. Na drzwiach wypisała wiersz ks. Twardowskiego. O samotności. – Zachorowałam 37 lat temu. Choroba afektywna-dwubiegunowa. Raz wpada się w manię, w nadpobudliwość, w przesadną łatwość nawiązywania kontaktów, zaczepianie ludzi na ulicy. Człowiek wyrządza wtedy mnóstwo szkód, rani bliskich, bo wszystko, co pomyśli, musi wymagać. Gdy mania się kończy, przychodzi depresja i poczucie winy. Ta może trwać miesiącami.

Pijemy herbatę.



JACEK TARAN DLA „IP”

Wojtek Wzorek opiekuje się ogrodem pensjonatu U Pana Cogito

– Miałam wszystko, próby samobójcze też. To nie takie oczywiste. Człowiek w depresji nie zawsze jest w stanie się zabić, bo depresja to jest totalna niemoc, zaprzeczenie życia. U mnie nie wchodził w grę ból, cięcie się, więc trulałam się tabletkami.

– Rodzina? – pytam.

– Mój mąż czasem nie wiedział: czy to już choroba, czy jeszcze ja? Ja też nie wiedziałam. Od nowa to wszystko wymyślałam. Dlatego terapia środowiskowa jest tak ważna, nie tylko dla ciebie. Bliscy też powinni iść po pomoc. On wytrzymał przy mnie do końca. Zmarł trzy lata temu. Młodo.

Dziś Dorota Dużyk-Wypich działa w Stowarzyszeniu Otwórzcie Drzwi, jest redaktorką pisma „Dla Nas”. Edukuje ludzi, tłumaczy, czym jest choroba i jak sobie z nią radzić. Ostatni raz w szpitalu była osiem lat temu.

– Polubiłam siebie ze swoimi ograniczeniami. To jest klucz, żeby przestać się nienawidzić. Dużo dała mi wiara, dużo dały mi przyjaźnie. Środowisko, poczucie, że ktoś się mną opiekuje. Szkoda, że to zdarza się tak rzadko.

Na warsztatach wydały z koleżanką tomik poezji. Jola Janik napisała wiersze, Do-

rota zrobiła przepiękne ilustracje czarnym tuszem. „Zwierzenia wierszem”, zielona okładka.

– Wiesz... to był mój pierwszy sukces w życiu.

Istnieć

Jak to dobrze

Jak to jednak jest dobrze

Urodzić się

Pod przekłętą/błogosławioną

(niepotrzebne skreślić)

Gwiazdą

Fiasco zdrowia psychicznego

„Niepotrzebne” już raz zostało skreślone. 28 grudnia 2010 r. weszło w życie rozporządzenie ministra zdrowia sankcjonujące Narodowy Program Ochrony Zdrowia Psychicznego na lata 2011-15. Nowoczesny, oparty na doświadczeniach innych państw, obejmujący cały kraj. Program miał przenieść psychiatrię do najbliższego otoczenia pacjenta. Zaoferować mu system powiązanych jednostek (w tym samorządowych) odpowiedzialnych za konkretny obszar i jego mieszkańców zamiast dużego, odległego szpitala.

Nigdy nie zaoferował. Tytuł raportu NIK o realizacji NPOZP brzmi: „Fiasco Naro-

dowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego”. Przez cztery lata program został zrealizowany w 10 proc. Do obowiązującego prawa nie dostosowały się nie tylko samorządy – były minister zdrowia Bartosz Arłukowicz nie wykonał 29 z 33 przewidzianych zadań. Nie rozpiął też kolejnej edycji programu na lata 2016-20. Najpoważniejszą przyczyną według NIK był brak pieniędzy zagwarantowanych rzekomo na realizację NPOZP. Ministerstwo z obiecanego miliona złotych wypłaciło tylko 114 tys. W raporcie czytamy: „samorządy województw nie wdrożyły m.in. planu stopniowego zmniejszania i przekształcania dużych szpitali psychiatrycznych”. Był to kluczowy element programu ze względu na panujące w nich warunki – skontrolowane przez NIK w 2012 r. Na 14 badanych szpitali uchybienia znaleziono w każdym.

Marek Balicki, psychiatra, były minister zdrowia i jeden z autorów reformy: – Chyba za mocno uwierzyliśmy, że w jeden dzień jesteśmy w stanie zmienić całą psychiatrię w Polsce na lepsze.

Andrzej Cechnicki mówi wprost: – Nie wykorzystaliśmy pierwszych pięciu lat. Zabrakło jasnego określenia →

→ odpowiedzialności za program i jego sprawiedliwego finansowania.

Pilotaż

Powstał pomysł pilotażu nowego programu o ograniczonym zasięgu. – Niczego nie narzucaliśmy. Same ośrodki, kliniki, szpitale musiały zdecydować, czy chcą spróbować nowej formy – mówi Marek Balicki.

W lipcu 2017 r. zgłosiło się 147 placówek. Ostatecznie rozporządzenie ministra zdrowia z 27 kwietnia 2018 r. pozwala uruchomić trzyletni program pilotażowy w 29 placówkach. Co dokładnie się zmieni?

Zmiana pierwsza: rejonizacja. Powstaną Centra Zdrowia Psychicznego. CZP musi zapewniać kompleksową (wszystkie pięć form terapii, od doraźnej po szpitalną) opiekę na wyznaczonym obszarze. Jedno centrum nie będzie odpowiedzialne za więcej niż 200 tys. mieszkańców.

Zmiana druga: większy nacisk na terapię środowiskową. Poza szpitalami cała infrastruktura CZP musi znajdować się na obszarze jego działania.

Zmiana trzecia: centra mają intensywniej współpracować z organizacjami pozarządowymi, będą mogły też zatrudniać podwykonawców.

Wreszcie: sposób finansowania. Centrum będzie otrzymywać zryczałtowaną kwotę zależną tylko od liczby mieszkańców w jego rejonie, nie zaś od liczby chorych czy wykonanych zabiegów.

Marek Balicki: – Ochrony zdrowia psychicznego nie można przeliczać na punkty, zabiegi i osobodni, tak jak to się dzieje teraz. To musi być stałe finansowanie, które pozwoli utrzymywać sprawny system opieki środowiskowej.

Pustynia

Andrzej Cechnicki: – Na nowym programie nikt nie straci, tylko psychiatrzy częściej przejdą za swoimi pacjentami do pracy w środowisku. Ci, którzy w ostatnich dziesięcioleciach już to zrobili, nigdy nie cofną się do dawnego stylu pracy. Duże szpitale muszą stopniowo ulec decentralizacji, przejąć odpowiedzialność za opiekę jedynie nad najbliższym rejonem. Powstające CZP jest ograniczone do 200 tys. osób zamieszkujących dane terytorium. Jeśli duży szpital będzie chciał funkcjonować w nowym systemie, będzie musiał się przekształcić.

Największy w Małopolsce Szpital im. J. Babińskiego nie weźmie udziału w pi-

lotażu. Ze złożonego wcześniej wniosku wycofał się, gdy okazało się, że opiekę nad krakowskim Śródmieściem dostanie inna placówka.

– Aktywnie uczestniczyliśmy w przygotowaniu tego programu – mówi Stanisław Kracik, dyrektor szpitala. – Nie chcę go krytykować, bo założenia były słuszne. My ideę pilotażu realizujemy od dawna, poza szpitalem leczymy osiem razy więcej pacjentów niż w naszych murach. Nie jesteśmy Choroszczą czy Kościerzyną, gdzie wokół wielkiego szpitala rozciąga się wielka pustynia.

Problem w tym, że takie pustynie istnieją. – Całe województwo podlaskie nie ma ani jednego psychiatry dziecięcego przyjmującego na NFZ – stwierdza Agnieszka Lewonowska-Banach. – A wielkie szpitale, kafelki na ścianach i lino-leum na podłodze? To nie jest miejsce do prawdziwego zdrowienia. Byłam kiedyś pielęgniarką w szpitalu w Choroszczy. Długo obiecywałam sobie po tym, że nigdy nie wrócę do psychiatrii.

Dorota w wielkim szpitalu była nieraz: – Pamiętam kaftany bezpieczeństwa. Ja dawno nie miałam, ale pewnie dalej się używa. Pamiętam toalety bez drzwi i przeszklone łazienki. Zero prywatności, miejsce jak z horroru. Tu, w Krakowie. W Babińskim.

– Szpital Babińskiego przez ostatnie lata bardzo się zmienił, ale nadal jest ogromną, mało przyjazną instytucją – twierdzi Marek Balicki.

– To prawda, teraz wygląda zupełnie inaczej – potwierdza Dorota. – Ale porównanie wielkiego szpitala do terapii we własnym otoczeniu, gdzie możesz być z terapeutą na „ty”, pojechać dokąś, zatańczyć, bo i to się zdarzało? Nie ma porównania.

Pustynie wynikają z braku pieniędzy. Z każdych 100 zł wydanych w Polsce na służbę zdrowia psychiatria dostaje tylko 3,60 zł. Dla porównania w Niemczech byłoby to ponad 8 zł, w Szwajcarii prawie 12.

– Dlatego brakuje nam około tysiąca psychiatrów. Pod względem kadry jesteśmy na przedostatnim miejscu w Europie, przed Bułgarią – przyznaje Andrzej Cechnicki.

Wyżej plasujemy się w innej statystyce – na trzecim miejscu w Europie. W 2017 r. w Polsce doszło do 11 139 prób samobójczych. Cztery lata wcześniej było ich 2 500 mniej. Co roku z powodu samobójstw znika małe miasteczko.

22 czerwca 2018 r. prezes NFZ, Andrzej Jacyna, podpisał rozporządzenie gwarantujące finansowanie trzyletniego pilotażu Centrów Zdrowia Psychicznego. Koszt programu to 80 mln zł rocznie.

Andrzej Cechnicki: – To jest pilotaż, a nie lekarstwo na wszystko. Pierwszy znaczący krok naprzód.

Agnieszka Lewonowska-Banach: – Jeśli nie przeprowadzimy takiej reformy, to psychiatria zostanie, jaka jest: słaba finansowo, nieludzka, nieskuteczna. A dzisiaj potrzebujemy psychiatrii skutecznej i ludzkiej bardziej niż kiedykolwiek.

Jest taki głos

Dzisiejsza impreza w U Pana Cogito jest szczególna. Hotel obchodzi 15. urodziny. Dlatego tort, dlatego szwedzki stół, dlatego mnóstwo pracy. Gdy tylko kończy się przygotowanie, obsługa dołącza do gości.

Andrzej Cechnicki: – Przez 15 lat było tu 80 tysięcy gości z całego świata. I oni wszyscy rozmawiali z ogrodnikiem Wojtkiem. Oni wszyscy jedli schizofreniczną zupę. I wie pan co? Smakowała im!

Agnieszka Lewonowska-Banach: – Może pracujemy tu wolniej, ale nie uważam, że Cogito został w tyle. Raczej to świat za szybko biegnie w złą stronę.

Wojtek Wzorek: – Może poradziłbym sobie na wolnym rynku pracy. Ale ja tu jestem potrzebny.

Dorota Dużyk-Wypich: – Największa wada Cogito? Że jest tylko jedno.

Marek Balicki: – W Niemczech po wprowadzeniu podobnej reformy średni czas pobytu na oddziale zamkniętym spadł ponad dwukrotnie. Oczywiście, nawet rolls-royce'a można zepsuć. Ale ta reforma jest skazana na sukces. I dobrze, bo jest potrzebna.

Dorota Dużyk-Wypich: – Od lat biorę leki, chodzę do psychołożki. I coraz częściej od niej słyszę: „czas już chyba kończyć tę terapię”. Wiesz, że ja już chyba mogę powiedzieć, że jestem zdrowa?

Jola Janik, koleżanka Doroty. Ta od wierszy:

*Jest taki głos
Który śpiewa cichutko we mnie
Kiedy zrobię coś dobrego
Kiedy przemożę sama siebie
Na przekór wszystkiemu
Jestem wtedy słoneczna.*



„TP” 27/2018

Wędrowka brata Roberta

„Twarz Boga można zobaczyć w najzwyklejszych rzeczach”, a już na pewno w najzwyklejszych ludziach. Czytając numer „Tygodnika” sprzed dwóch tygodni, omijałam tekst o ikonografii „Wszyscy święci brata Roberta” Doroty Bidzińskiej – teraz taka moda, że wszyscy tworzą ikony i piszą o ikonach... Gdy jednak doczytałam numer do końca, zabrałam się za ten tekst, i to właśnie on zrobił na mnie ogromne wrażenie. „Czy obrazy Roberta Lentza można nazwać ikonami? Ikona to coś więcej niż obraz religijny. Ikona jest miejscem objawienia. W założeniu ma być nośnikiem dogmatu. I choć obrazy Lentza w estetyce nawiązują do stylu ikon, a nawet zawierają elementy kanonu, to wyrażają bardzo indywidualne doświadczenie Boga, a nie objawioną i obiektywną prawdę o nim” – mówi cytowany w ar-

tykule o. Jan P. Strumiłowski, mnich z klasztoru cystersów w Jędrzejowie. A Nadia Miazhevich dodaje: „Autorem ikony nie jestem ja jako osoba pisząca ikony ani żaden ikonograf. Autorem ikony jest Kościół. Ja tylko wyrażam tę prawdę, która w Kościele została już odkryta i ukształtowana”. Trudno mi się zgodzić z takim widzeniem prac brata Roberta, bo czy poszukiwanie Boga w drugim człowieku nie jest właśnie tą ugruntowaną prawdą Kościoła? Czy nie jest nią piękno i prawda zrozumienia, że Chrystus może mieć twarz Apacza, a modlitwy niekoniecznie trzeba się wyuczyć, bo można ją odnaleźć w rytuale pozdrowienia słońca? „Poczet niekanonizowanych świętych” brata Roberta może być najgłębszym zrozumieniem świętości. Takim, które do mnie przemawia. Tak, ikona to coś więcej niż obraz religijny, i dlatego właśnie zamykana w utartym kanonie będzie miała sens wyłącznie ludzkiej kreacji, a nie wyrażania autentycznej prawdy, która kreację powinna wyprzedzać i zmieniać. Trzeba tylko tę prawdę umieć zobaczyć. Może właśnie przez odkrywanie Boga w swoim indywidualnym,

ludzkim doświadczeniu, nawet jeśli czasem „omylnym”. To, co robi brat Robert, zachwycam mnie: zarówno jego życiową wędrowkę od rodzinnych inspiracji, klasztoru franciszkanów, prawosławia i życia na ulicach San Francisco, jak i powrót za klasztorne mury. Jest wypełnieniem ludzkiej misji poszukiwania bez strachu przed nieznanym, przed błędzeniem i łamaniem konwenansów. Jest rozumieniem przesłania nauki Jezusa, umiejętnością zobaczenia Go wcielonego w tym innym: wykluczonym, zagubionym lub heroicznym człowieku, i odwagą przekazania tego nawet na zardzewiałym kawałku blachy. Gdybyśmy tylko mieli zdolność zobaczenia złotej aureoli świętości nad głowami naszych bliźnich, nie bali się błogosławieństw szamana, niekonwencjonalnych wyborów i przekraczania utartych kanonów!

STAŁA CZYTELNICZKA

„TP” 28/2018

Wiara nie słabnie

Proces odwracania się od Kościoła nie wynika z tego, że ludzie tracą wiarę, lecz

z funkcjonowania Kościoła jako instytucji. Jestem świeżo po obejrzeniu filmu „Papież Franciszek – człowiek słowa”, w którym mówi właśnie o tym, że Kościół, który zabiega o zabezpieczenie finansowe, nie jest domem Chrystusa. Liczba ludzi szukających Prawdy poza „mainstreamowym” Kościołem wzrasta. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć rosnące w tym czasie zainteresowanie np. „TP”. Kościół nie jest po to, by kontrolować, lecz by pomagać i prowadzić, ale mądrze. Ludzie wierzący to nie stado owiec, które czeka na podanie gotowych odpowiedzi. Prawdziwa wiara polega na szukaniu i zadawaniu pytań – nawet najtrudniejszych. A tych dzisiejszy Kościół w Polsce boi się jak ognia.

AGATA MAŁECKA

(na facebookowym profilu „TP”)

Przepraszamy!

Autorem zdjęcia ks. Adama Bonieckiego, które znalazło się na okładce poprzedniego wydania „Tygodnika” (28/2018) jest Maciej Zienkiewicz. Za pomyłkę w podpisie serdecznie przepraszamy Autora i Czytelników.

REDAKCJA

REKLAMA



MAZEL TOW

WYDAWNICTWO
CZARNE
POLECA!

J.S. MARGOT

Tł. M. Diederer-Woźniak

Świetnie nakreślone postaci i doskonale oddana codzienność.

„Mazel tow” to o wiele więcej niż tylko dobra książka.

Cutting Edge

Piękna opowieść o przyjaźni pokonującej podziały i różnice kulturowe.

Mappa Libri

SZCZEGÓŁY WRZEŚNIOWEJ TRASY AUTORSKIEJ W POLSCE NA CZARNE.COM.PL

lubimyczytac.pl

Nidra

PANI CHCE DLA NAS DOBRZE

Nauczycielka tańca klasycznego: Proszę państwa, proszę mi wierzyć, od tylu lat pracuję z dziećmi – na dziewczynki w tym wieku najlepiej działa strach.

TEKST ANNA GOC ILUSTRACJA MAGDA WOLNA

PANI CÓRKA MA ZA KRÓTKIE RĘCE. Po tym zdaniu Agata, matka Olgi, będzie zapamiętywała obrazy, cudze głosy i własne myśli.

Obraz

Olga mówi tylko o szkole baletowej. Kończy trzecią klasę podstawówki, chce podejść do egzaminów. Popołudniami chodzi na zajęcia do studium tanecznego.

Agata, ekonomistka, o balecie wie niewiele. Po występie kończącym studium podchodzi do nauczycielek Olgi. Jedna z nich była uczennicą rosyjskiej szkoły baletowej, uważanej za najlepszą na świecie. Pyta: Czy moja córka się nadaje?

Głosy

Nauczycielka pierwsza: Pani córka ma za krótkie ręce. I za słabe podbicie.

Nauczycielka druga: Balet to piękny zawód. Kto go pokocha, da radę.

Obraz

Trzydniowe egzaminy Agata i jej mąż spędzają na korytarzu szkolnym. Za drzwiami komisja sprawdza: ułożenie kręgosłupa – czy dziecko nie ma skoliozy albo lordozy, czy potrafi dotknąć dłońmi stóp, czy stopa nie jest koślawą, jak zbudowane są nogi, jaki jest układ żeber. Dalej: jak reaguje na komendy muzyczne, czy ma poczucie rytmu.

I jeszcze: czy jeżeli już tańczyło – potrafi zejść do szpagatu albo przegiąć się do tyłu.

Agata analizuje ciało córki. Być może pierwszy raz w ten sposób: jak coś niedziecięcego, obcego.

Myśl

Pewnie odpadnie przez to, że ma wygięte do tyłu łydki. *(po chwili)* Może i dobrze, byłaby tu jak koń wyścigowy – liczyłoby się, co zje, jak długo śpi, czy rośnie, ile waży. A jeśli się dostanie? Jeśli coś będzie nie tak?

Zawsze będę mogła ją stąd zabrać.

Olga zostaje przyjęta.

Obraz

Zaczyna się lato. Olga strzyże włosy. Są krótkie, do uszu. Wakacyjny pomysł, wakacyjna radość.

Głos

1 września, nauczycielka zwraca Agacie uwagę: Jak to możliwe, że pozwoliła jej pani to zrobić? Przecież tu wszystkie dziewczynki mają mieć koka.

Agata mówi, że jeszcze tylko miesiąc wsuwek i włosy będzie można spiąć. Przypomina sobie, jak podczas tych wakacji Olga po raz pierwszy na widok białej czekolady powiedziała: Nie, ja nie mogę.

Obraz

Pierwszy tydzień w szkole. Pierwsze zasady. Nauczycielka tańca klasycznego wyjaśnia, jak wyglądają najlepiej skrojone baletki: mają mieć dwie oddzielne skórki, jedna wyszta pod śródstopiem, druga – na pięcie. Troczki, które się do nich wszywa: rypsowe albo bawełniane, nie atlasowe.

Strój: ma być kostium baletowy z domieszką bawełny; tuniczki – jednakowe; baletki – tylko firmy Grishko, kolor – pudrowy róż; pointy, do stania na palcach – należy kupić dopiero pod koniec roku.

Strój mają być dwa. Każdego dnia po powrocie ze szkoły uczeń pierze strój, kolejnego bierze drugi, i tak na zmianę. To ma go nauczyć dbałości. Ćwiczy tylko w stroju, bez bielizny.

Zajęcia: obowiązują wszystkie przedmioty, tak jak w zwykłej podstawówce, dodatkowo są zawodowe.

W zależności od etapu są to: taniec ludowy, współczesny, charakterystyczny, historyczny, hip-hop. Niezmiennie – od pierwszej klasy szkoły baletowej, czyli czwartej podstawówki, do klasy maturalnej – taniec klasyczny: dwie godziny lekcyjne codziennie. Każdy semestr kończy się egzaminem z tańca klasycznego. Warszawska szkoła baletowa jest placówką ogólnokształcącą, takich jak ta są w Polsce jeszcze cztery – w Gdańsku, Poznaniu, Bytomiu i Łodzi.

Agata wie, że w zwykłej podstawówce Olga wracałaby do domu o 14.00, tu – o 17.00.

Drugiego dnia, gdy rodzice odprowadzają dzieci do sali, zaczepiają je dziewczynki ze starszych klas.

Głosy

Starsze uczennice: Kogo macie do tańca klasycznego?





→ Nazwisko nauczycielki podaje któryś z rodziców.

Starsze uczennice: Ojej, najostrzejsza pani w szkole.

Obraz

Olga wychodzi z zajęć ze studium tanecznego. Ma dziewięć lat, rumieńce i uśmiech na buzi. Chwilę wcześniej, z sal obok należących do warszawskiej szkoły baletowej, wychodzą uczennice. Mają kilkanaście lat i rumieńce. Agata zapamiętuje, że są zmęczone, idą bezgłośnie, znikają w ciemnym korytarzu.

Obraz

14 października: ślubowanie. Wychowawczyni daje dzieciom dzwoneczki, by czuły się częścią stada i nie bały, że się zgubią.

Szybko się okazuje, że po zajęciach z tańca dzieci nie mogą wziąć prysznic. Zdarza się, że nie zdążą zjeść. W starszych klasach będą odrabiały lekcje między próbami. Nie odpuszczają. Bo powszechne jest przekonanie, że tancerki mają braki w wiedzy podstawowej.

Koniec października, pierwsza lekcja pokazowa dla rodziców. Sala z lustrami, drążki, rodzice siedzą pod ścianą, akompaniaturka gra, nauczycielka tańca klasycznego daje kolejne ćwiczenia do wykonania. Dwie dziewczynki płaczą. Agata widzi, że Olga ma mokrą buzię i plamy potu na stroju.

Po lekcji pyta nauczycielkę, jak córka sobie radzi.

Głosy

Nauczycielka: Jest wesoła, chętna do pracy. Ale rozkojarzona. Nie ma idealnych proporcji, ale w tej grupie właściwie żadna dziewczynka nie ma. Proszę się nie przejmować. Na razie.

Jedna z dziewczynek z klasy Olgi rezygnuje ze szkoły w październiku.

Agata: Co się stało?

Olga: Ania woli jeździć na łyżwach.

Po kilku tygodniach Agata spotyka się z inną matką: Ania zrezygnowała, bo pani z tańca uszczypnęła ją pod łopatką.

Agata nie wraca do tej rozmowy z Olgą. Nie potrafi spytać.

Myśl

Czy takie rzeczy mogą się zdarzać? Nie, Olga by mi o tym powiedziała. Jest zachwycona szkołą, koleżankami. Mamy dobry kontakt. Powiedziałaaby.

Obraz

Lekcje tańca klasycznego zaczynają się o ósmej. Dziewczynki muszą być w pełnej gotowości.

6.00: Olga wstaje, robi sobie sama śniadanie, chce zdążyć ze starszym o dwa lata bratem na autobus. Jego podstawówka jest po przeciwnej stronie ulicy. Boi się, że się spóźni. A spóźnieniem jest już 7.55. Dla nauczycielki tańca klasycznego najlepiej być o 7.50. Mama chce Olgę odwiedzić, ale to może oznaczać korki, a korki – niepewność.

18.00: Wracając ze szkoły, Olga zasypia na tylnej kanapie samochodu matki.

Koniec pierwszej klasy szkoły baletowej. Olga wraz z innymi koleżankami kupuje pani z tańca klasycznego dodatkowy – poza tym z pieniędzy klasowych – bukiet i wazonik.

Składają się po 8 złotych. Po egzaminie z tańca klasycznego robią sobie z panią zdjęcie. Przytulają się do niej.

Obraz

Zaczyna się druga klasa. Dzieci wiedzą, że aby od września być w formie, do ćwiczeń najlepiej wrócić w połowie sierpnia.

Głosy

Nauczycielka tańca klasycznego, pierwszy dzień otwarty dla rodziców: pani córka dostała jedynkę z matematyki. A to oznacza, że ma problemy z logiką i planowaniem pracy. Musi pani wiedzieć, że to się przekłada na taniec klasyczny. Ma problemy z powtarzaniem ruchów. Poza tym powinna więcej pracować nad rękami.

Myśl

Nie zgadzam się. Moje dziecko jest zmęczone i ma do tego prawo.

Głosy

Olga: Mam, nie przejmuj się, każdy ma coś nie tak ze swoim ciałem. Żadna z nas nie jest idealna.

Obraz

Nauczycielka tańca klasycznego wzywa Agatę kilka dni przed egzaminem. Olga jest pewna, że nie zda. Tym bardziej że usłyszała to, podobnie jak kilka innych uczennic, podczas lekcji od nauczycielki tańca klasycznego.

Prosi na rozmowę do pokoju nauczycielek tańca. Mówi, że dziecku trzeba poświęcić dużo czasu i uwagi. I że ona już swój obowiązek rodzicielski wypełniała.

Agata pyta, czy Olga może nie zdać. Nauczycielka: Mocna trójka będzie.

Agata nie wie, po co ją wezwano. Wraca do domu, myje ręce w łazience. Jest na tyle wyprowadzona z równowagi, że uderza głową o szafkę nad zlewem.

Myśl

Chce mnie wystraszyć? Czegoś ode mnie i od mojej córki chce, ale czego?

Obraz

Na zakończenie drugiej klasy szkoły baletowej (piąta podstawówki) rodzice organizują dyżur w sąsiedniej kawiarni podczas egzaminu z tańca klasycznego.

Agata myśli o Oldze. Nie należy do dziewczynek najdrobniejszych. Zawsze była mocna, wysportowana, wcześniej jeździła konno, pływała. Teraz już nie może, bo każdy sport zmienia ciało. Olga się martwi tym, że się poci. Widać plamy na kostiumie. Mam więcej pić czy mniej jeść? – pyta mamę.

Agata w tle słyszy, jak dzieci obstawiają, kto zda, a kto nie. Dużo ćwiczyły na pointach, by przygotować się do egzaminu, muszą zaleczyć otarcia na palcach stóp. Olga występuje z otartymi palcami, jako opatrunek przykleja plaster. To tylko pogarsza sytuację. Zdaje na trójkę.

W tym roku już nie ma mowy o prezenciku za kieszonkowe dla nauczycielki tańca klasycznego. Jest za to problem, kto ma jej wręczyć kwiaty.

Idą rodzice. Ustalają, że za dużo było strachu podczas egzaminu. Czekają w piątkę, ale nauczycielka spóźnia się, więc wręczają jej kwiaty w trójkę. I proszą, by próbowała motywować dzieci chwaląc je.

Głos

Nauczycielka tańca klasycznego: proszę państwa, proszę mi wierzyć, od tylu lat pracuję z dziećmi, a mam dobre rezultaty, na dziewczynki w tym wieku najlepiej działa strach.

Myśl

Strach? Przyjęty jako zasada? Tak po prostu, oficjalnie?

Obraz

Agata wraca do domu, namawia córkę, by odeszła ze szkoły. Wystarczy. Może dla niej zrobić, co zechce. Podwójne, potrójne urodziny. Zaprosić wszystkie koleżanki ze szkoły baletowej. Ale przed Olgą jest ostatnia klasa podstawówki. Odejdzie teraz, wróci do starej podstawówki, znaczy – nie udało się jej. Jeszcze nie wie, że odejście z każdym rokiem jest tylko trudniejsze.

Agata słyszy więc znaną odpowiedź: Mam fajne koleżanki. Wiesz, że chcę tańczyć.

Myśl

Jeśli ją przeniosę, zrobię to wbrew niej, jeśli ją zostawię, to będzie wbrew mnie. Może uwierzyć zapewnieniom, że jest wszystko dobrze?

Obraz

Agata wymyśla z mężem, że córce będzie łatwiej, jeśli do szkoły baletowej do-

łączy jej brat. Właśnie skończył zwykłą podstawówkę, szuka gimnazjum. Składa dokumenty do szkoły baletowej, przechodzi egzaminy. Dostaje się pod warunkiem, że w wakacje zacznie nadrabiać za ległości.

W trzeciej klasie (szósta podstawówki) Olga i Agata rozmawiają coraz rzadziej. Olga więcej czyta, zaczyna pisać opowiadania. Agata poświęca czas młodszym dzieciom.

Kiedy mama pyta, jak było na lekcji tańca klasycznego, dziewczynka odpowiada: normalnie.

Od początku nowego roku szkolnego Olga dostaje coraz mniej uwag od nauczycielki tańca klasycznego. Ćwiczy jak wszystkie dzieci, ale pani przechodzi obok niej obojętnie. Stara się, nie wie, czy wychodzi jej dobrze. Pani nie reaguje.

Agata pyta nauczycielkę, dlaczego jej dziecko nie dostaje uwag.

Głos

Nauczycielka: Gdy dziecko nie dostaje żadnych uwag, ani pozytywnych, ani negatywnych, czuje niepokój. Dzięki temu angażuje się w ćwiczenia bardziej.

Obraz

Dziewczynki w strojach przy drążku. Pani prosi, by powtórzyły ćwiczenie. Akompaniorka gra. Jeszcze raz. Akompaniorka gra. Nauczycielka rzuca krzesłem. Nikt nawet nie drgnie.

O rzucaniu krzesłem Agata dowie się od innej matki. Pyta o to córkę.

Głosy

Olga: Tak, jeśli jest z nami bardzo źle, to pani rzuca krzesłem.

Obraz

Brat Olgi radzi sobie coraz lepiej. Jest jednym z nielicznych chłopców w szkole. Podczas pierwszej lekcji pokazowej jest chwalony. Olga widzi, że jest motywowany przez swojego nauczyciela tańca. Wie, że chłopców w szkole jest mniej. Że panuje zasada: nie ta solistka, to inna.

Olga gaśnie.

Nauczycielka tańca klasycznego podczas każdego spotkania z Agatą ma coraz więcej uwag do pracy Olgi.

Głosy

Nauczycielka: Pani córka nie może się skoncentrować. Wie pani, tak to jest z dziećmi z wielodzietnych rodzin. Bywają zaniedbywane. Proszę o tym pomyśleć. Bo Olga przynosi czasem przepocony strój.

Później powie to publicznie – przed rodzicami i częścią grona pedagogicznego: Olga jest dzieckiem zaniedbanym.



Odpowiedź jest
zawsze ta sama:
państwo nie rozumieją,
**jak dochodzi się do
doskonałości w tańcu.**

Agata zaczyna dzwonić do innych rodziców. Pyta, czy ich dzieci także nie chcą rozmawiać o tym, co dzieje się w szkole.

Głos

Rodzic: Dziewczynki się zmówiły. Boją się, że nasze interwencje im zaszkodzą. Po ostatnich nauczycielka podobno się obraziła.

Obraz

Co dzieje się na lekcjach? Na pewno jest już podział na drążki. Przy tym, na którym skupiony jest wzrok nauczycielki, ćwiczą trzy-cztery najlepsze uczennice. To one są przygotowywane na konkursy. To one mają szansę być solistkami. Przy bocznych – pozostałe. Ale i tam jest podział na te, które nauczycielka koryguje, i te, na które nie zwraca uwagi. Tak codziennie przez półtorej godziny.

To nauczycielka staje się osobą, z którą spędzają codziennie najwięcej czasu. To ona decyduje, które dzieci szkoła wysyła na konkurs. To ona wybiera dzieci, gdy

proszą o to choreografowie współpracujący z teatrem lub operą. To ona wie, kiedy mają miesięczkę, i czy ją straciły. To ona kontroluje, co jedzą, a czego nie mogą.

Głosy

Wyżej nogę. Ile razy mam ci tłumaczyć. Wciągnij brzuch. Duża pupa. Wyglądasz jak kluska.

Rodzice wysyłają do dyrekcji szkoły list. Piszą, że brakuje warunków do indywidualnego rozwoju, że dzieci są zastraszane, że stosowana jest wobec nich przemoc. Pod listem podpisuje się tylko część rodziców, nawet nie połowa. Ale odpowiedź jest zawsze ta sama: państwo nie rozumieją, jak dochodzi się do doskonałości w tańcu.

Olga zaczyna się coraz bardziej martwić tym, że rosną jej piersi. W szkole chwalone są tylko chude uczennice. Zasada krążąca między dziećmi: Ile masz ważyć? Odejmij 120 od wzrostu, to się dowiesz.

Pod hasłem „Jem mniej i zdrowiej” Olga zaczyna ukrywać zaburzenia jedzenia. Głodzi się.

Głosy

Olga: Mamo, ty nie rozumiesz tego świata. Wy nie wiecie, o co w tej szkole chodzi. Ta pani chce dla nas dobrze.

Myśl

Dlaczego nie słuchałam głosu, który odzywał się od początku? Dlaczego myślałam, że moje dziecko jest silne?

Olga odeszła ze szkoły trzy lata temu, na początku drugiej klasy gimnazjum (jej brat też odszedł, choć nadal tańczy).

11 czerwca samobójstwo popełnia 16-letnia uczennica. To nie musiała być wina szkoły, Agata o tym wie. Ale i tak myśli: To mogła być moja Olga.

...

Olga ma za sobą próbę samobójczą. Cierpi na bulimie. Przemoc stosowaną wobec uczniów w warszawskiej szkole baletowej potwierdziły przeprowadzone pod koniec roku szkolnego 2016/2017 ankiety. Wynika z nich, że z przemocą psychiczną spotkało się 67 proc. uczniów. Psycholożka, która widząc patologiczne zachowania już wcześniej, przeprowadziła ankietę, odeszła ze szkoły. Wcześniej o sytuacji powiadomiła Centrum Edukacji Artystycznej i Rzecznika Praw Dziecka. Dyrekcja zarzuciła jej, że ankieta była źle konstruowana.

Dyrektorka szkoły nie zgodziła się na rozmowę. © ANNA GOC

Imiona uczennic zostały zmienione.



DEKALOG DO PRZEMYŚLENIA

Doktrynę etyczną Kościoła trzeba uwolnić od skostnienia – to jeden z celów, które wyznaczył sobie papież Franciszek. Przyjrzyjmy się, jak chce to zrobić.

KS. ANDRZEJ SZOSTEK

ZŁOŚLIWI ALBO MAŁOSTKOWI OSKARŻAJĄ go o chęć zniszczenia Kościoła, bo w ich mniemaniu zmienia niezmiennie nauczanie. Zostawiając na boku absurdalne oskarżenie, zapytajmy: czy papież rzeczywiście zmienia nauczanie moralne?

Mamy dobrą okazję, by spróbować na to pytanie odpowiedzieć. W czerwcu Franciszek rozpoczął nowy cykl katechez środowych, których tematem uczynił Dekalog. Przed wakacyjną przerwą usłyszeliśmy trzy katechezy, daleko więc do końca, ale już te pierwsze nauki zasługują na komentarz. Papież bowiem nie odnosi się jeszcze do poszczególnych przykazań Dekalogu, ale skupia uwagę na tym, jak wszystkie te przykazania – i całe Prawo – należy rozumieć. W tym sensie Franciszek przedstawił klucz, którym „zamek Prawa” należy otwierać. I trzeba powiedzieć, że jest to klucz nowy, oryginalny, pobudzający do przemyślenia na nowo, czym jest Prawo Boże zawarte już w Starym Przymierzu, a swoiście zradyzalizowane przez Jezusa Chrystusa.

Wypełnić Prawo

Pierwsza katecheza nawiązuje do rozmowy Chrystusa z bogatym młodzieńcem. Na jego pytanie, co ma czynić, aby osiągnąć życie wieczne, Pan Jezus najpierw przypomina mu przykazania, a następnie dodaje: „Jednego ci brakuje. Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną” (por. Mk 10, 17-22). W katechezie, adresowanej głównie do młodych i nawołującej do ducha młodości, jaka powinna cechować każdego człowieka, a zwłaszcza chrześcijanina, papież przypomina słowa Chrystusa z Kazania na górze: „Nie sądzicie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić” (Mt 5, 17).

Co to znaczy „wypełnić Prawo”? W potocznym rozumieniu wypełnia prawo ten, kto stosuje się do jego liter. W tym duchu powiada się, że co nie jest zakazane, jest dozwolone. I trudno się z tym nie zgodzić w odniesieniu do prawa stanowionego. Zawiera ono, zwłaszcza w kodeksie karnym, katalog czynów prawnie zabronionych, których popełnienie pociąga za sobą skutki karne. Rzeczą prawodawcy jest tak to prawo skonstruować, by →

Audycja generalna na placu św. Piotra, Watykan, 22 czerwca 2016 r.

→ chroniło skutecznie człowieka i konstytucją wskazane jego prawa, a także ważne dla rozwoju człowieka i państwa instytucje (np. rodzinę) i cały ład społeczny. Nie dziw więc, że prawo potocznie kojarzy się z zakazem: normą negatywną chroniącą określone dobra. Ale intencja Pana Jezusa wyrażona w Kazaniu na górze zdaje się iść zdecydowanie w przeciwnym kierunku. Zbawiciel nie poprzestał na ogólnej zapowiedzi, że przyszedł Prawo wypełnić, ale zilustrował to pięcioma przykładami (por. Mt 5, 21-48). Każdy z nich zdaje się przepisy Prawa wręcz zaostriżać. Sądowi podlega Jego zdaniem nie tylko ten, kto dopuścił się zabójstwa, ale już ten, kto się gniewa na swego brata; cudzołóstwa dopuszcza się nawet ten, kto pożądliwie patrzy na kobietę – i tak dalej.

Czy Pan Jezus tymi słowami domaga się zaostriżenia sankcji karnych i objęcia nimi czynów dotąd prawem niekaranych? Nie sądzę. Raczej sięga do korzeni, z których to prawo pisane wyrasta. Dlaczego powiedział: „Nie zabijaj!”? Ponieważ życie człowieka jest cenne, sam człowiek jest cenny – a skoro tak, to także gniew na brata „podlega sądowi”, ponieważ uderza w niego, sprzeciwia się podstawowemu prawu miłości bliźniego. Dlaczego „Nie cudzołóż!”? Ponieważ miłość małżonków jest święta i wobec tego także pożądlive spojrzenie na żonę brata (lub męża siostry) stanowi dla tej miłości zagrożenie, jest już naruszeniem szóstego przykazania. Wypełnia Prawo ten, kto – na wzór Jezusa Chrystusa – sięga do dobra prawem chronionego, dobro to stara się poznać i wspierać. Tak oto Zbawiciel odsłania – poprzez swoistą radykalizację (czyli: sięgnięcie do korzeni!) Prawa – jego zasadniczo pozytywny wymiar. Kto poprzestaje na literze prawa, ten deklaruje przeciwny jego istocie legalizm, o który oskarża Pan Jezus duchowych przywódców Izraela, gdy ostrzega: „Jeśli wasza sprawiedliwość nie będzie większa niż uczonych w Piśmie i faryzeusów, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego” (Mt 5, 20).

Z całą mocą przypomina to papież Franciszek. I to jest pierwszy powód, który nie pozwala mu sprowadzić przykazań Dekalogu do zbioru nakazów, których aż sześć ma literalną formę zakazów. W drugiej katechezie papież przywołuje scenę kuszenia pierwszych rodziców, w której kusiciel – kłamca i ojciec kłamstwa – podpowiada im fałszywą wizję Boga jako zazdrośnego i zaborczego Pana i skłania ich, by

Poprzez sięgnięcie do korzeni
prawa Zbawiciel odsłania jego
pozytywny wymiar.

Kto poprzestaje na literze prawa,

ten deklaruje przeciwny
jego istocie legalizm, o który
oskarża Pan Jezus duchowych
przywódców Izraela.

sprowadzili miłość Stwórcy do zakazów. A Bóg jest nade wszystko Ojcem, nie Panem, Jego słowo ma człowieka wyzwalać i otwierać przed nim drogę do pełni człowieczeństwa i pełni szczęścia, a nie do zniewolenia. „Czy pierwsza norma, jaką Bóg dał człowiekowi, jest podejściem despoty, który zabrania i zmusza, czy też troską ojca, który opiekuje się swoimi dziećmi i chroni je przed samozagładą?” – pyta retorycznie, ale i dramatycznie papież.

Dodajmy: także prawo stanowione przez człowieka nie może być sprowadzone do katalogu zakazów. Owszem, sprawiedliwość ludzka musi się odwoływać do prawa pisanego, do „literary prawa”, ale ona także ma swe źródło w dostrzeżeniu i ochronie dobra, na którego strażą prawo stoi. Nie miejsce tu, by rozwijać temat, zaznaczyć jednak trzeba, że źle rozumie prawo ten, kto zatrzymuje się na jego literze i nie dostrzega głęboko wychowawczego sensu jego stanowienia. Prawo, także ludzkie, ma uwrażliwić obywateli na te dobra, które przynależą człowiekowi i społeczeństwu, pomóc je dostrzec i respektować, wspierać w ten sposób proces osobistego i społecznego rozwoju. Jeszcze wyraźniej ten sens prawa dochodzi do głosu, gdy mowa o Prawie Bożym.

Posłuszeństwo czy dialog?

Papież idzie dalej. Przypomina, że „tradycja żydowska będzie zawsze nazywała Dekalog »Dziesięcioma słowami«, choć mają one »formę praw, są obiektywnie przykazaniami«. Ale nie po prostu nakazami. »Nakaz jest przekazem, który nie wymaga dialogu. Natomiast słowo jest

podstawowym środkiem relacji jako dialogu. Bóg Ojciec stwarza za pośrednictwem swojego słowa, a Jego Syn jest Słowem, które stało się ciałem. (...) Przykazania są słowem Boga: Bóg przekazuje siebie w tych dziesięciu słowach i oczekuje naszej odpowiedzi”.

To głęboka myśl, którą trzeba jednak dobrze rozumieć. Potocznie mówimy o dialogu wtedy, gdy dwie strony szukają porozumienia, przewyciężenia konfliktu interesów, odnalezienia konsensusu, który jest efektem ustępstw z obu stron. To ważne rozumienie dialogu – ale nie taki dialog ma chyba papież na myśli. Jemu chodzi o dialog Boga z człowiekiem, dialog, którego inicjatorem jest Bóg wypowiadający swoje słowo niejako z wysokości, a zarazem z zamiarem wyzwolenia człowieka z niewoli. W trzeciej katechezie papież przypomina, iż „Dziesięć Słów zaczyna się w następujący sposób: »Ja jestem Panem, twoim Bogiem, który wyprowadził cię z ziemi egipskiej, gdzie byłeś niewolnikiem« (Wj 20, 2). (...) Dekalog zaczyna się od wielkoduszności Boga. Bóg nigdy nie wymaga, wcześniej nie dając. Najpierw zbawia i daje, a następnie żąda. Taki jest nasz Ojciec”.

Kiedy więc Izraelita słyszy wypowiedziane normy negatywne: nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij – to nade wszystko musi pamiętać, kto to mówi: mówi to Bóg, który najpierw objawił swemu wybranemu ludowi swoją miłość, mądrość i moc, wyzwalał go z domu niewoli. Okazał swoją wyzwalającą miłość, okazał ją jeszcze dobitniej i niejako „do końca” w swoim Synu – i oczekuje odpowiedzi na tym poziomie, na poziomie doświadczenia Bożej miłości i wdzięczności za nią. „Wdzięczność jest cechą serca nawiedzonego przez Ducha Świętego. Aby być posłusznym Bogu, musimy najpierw pamiętać o Jego dobrodziejstwach”. Tak ma przebiegać dialog pomiędzy Bogiem a człowiekiem. Owszem, bywa, że człowiek tego dobrodziejstwa Boga nie dostrzega – i wtedy narzeka na swój los. Papież i tę sytuację uwzględni, przypominając skargi ludu wybranego w drodze do ziemi obiecanej i podkreślając, jak Bóg na te skargi odpowiadał: „I wysłuchał Bóg ich jęku (...). Spojrzał Bóg na Izraelitów i ulitował się nad nimi”, dając im mannę, przepiórki i wodę, choć był to lud knąbrny, o twardej karku. Wyłąk bywa, że nakazy Boże zdają się człowiekowi twarde, może on wtedy narzekać, skarżyć się i wołać o po-

moc. I otrzyma ją, choć niekoniecznie tak, jak tego oczekiwał. „Bóg o mnie myśli” – przypomina papież.

Taki jest więc ten dialog: nie jak równego z równym, a jednak autentyczny, do głębi angażujący i Boga, i człowieka. Jego celem nie jest kompromis pomiędzy wymaganiem Boga a oczekiwaniami człowieka. Jego celem jest wyzwolenie człowieka, choć drogą do tego wyzwolenia jest Dziesięć Słów, których Bóg z człowiekiem nie negocjuje, ale które wypowiada jako wskazanie na drogę ku jego wolności prowadzącej do domu Ojca. Znamienne, że w swych katechezach o Dekalogu papież stale mówi o wolności.

Czy papież podważa Dekalog?

Już z tego, co dotąd powiedziano, wynika, że Franciszek nie podważa obowiązującej mocy przykazań – choć można oczekiwać podobnych krytycznych komentarzy, jakie zgłaszane były wcześniej, zwłaszcza po ogłoszeniu adhortacji „Amoris laetitia”. Papież Franciszek nie chce podważać ważności norm, które sam Bóg człowiekowi w swoim słowie przekazał, ale chce wskazać na ich zasadniczy sens, inny niż się potocznie uważa. Te normy, w rozumieniu papieża, to nade wszystko tropy wiodące do wyzwolenia człowieka ku pełni jego wolności i szczęścia. A co z tymi, którzy je naruszają? Którzy zabijają (na przykład nienarodzonych), cudzołożą (wiążąc się z inną kobietą lub mężczyzną niż ta czy ten, z którymi zawarli sakrament małżeństwa), kradną, mówią fałszywe świadectwa przeciw bliźniemu (moim zdaniem,

Biblijne Dziesięć Przykazań przedstawia raczej **kierunki naszego myślenia i działania** niż bariery, których nigdy przekroczyć nie wolno – pokazuje Franciszek w swoich katechezach o Dekalogu.

to szczególnie częsty w naszym społeczeństwie grzech)?

Poczekajmy na kolejne katechezy. Ale przypuszczam, że papież w interpretacji tych przykazań-słów będzie szedł tropem dotąd wyznaczonym. Będzie podkreślał wyzwalającą ich moc, licząc się zarazem z ludzką słabością i grzesznością, na którą lekarstwem nie jest twarde stawianie nakazów-zapór odgradzających grzeszników od Kościoła, ale pełna zrozumienia i miłości troska o to, by człowieka ku akceptacji tych norm doprowadzić. I jeśli tak, to będzie wierny także tradycji rozumienia Dekalogu. Przypomnijmy: powiedziano w nim krótko i stanowczo: „Nie będziesz zabijał” (Wj 20, 13). Ale w kolejnych rozdziałach Księgi Wyjścia poszczególne przykazania są odnoszone do konkret-

nych przypadków. I co czytamy? „Jeśli kto tak uderzy kogoś, że uderzony umrze, winien być sam śmiercią ukarany. (...) Kto by uderzył swego ojca albo matkę, winien być ukarany śmiercią. (...) Kto by złorzeczył ojcu lub matce, winien być ukarany śmiercią” (por. Wj 21).

To tylko niektóre zbrodnie, za które Prawo Mojżeszowe nakazywało karać śmiercią. Czy piąte przykazanie zostało w tych przepisach uchylone? Nie, ponieważ jego sens nie zamyka się w dosłownym i bezwyjątkowym zakazie zabijania, ale wskazuje na zasadniczą normę wskazującą na cennosc człowieka i jego życia; normę, która jednak w imię sprawiedliwości przewiduje karę śmierci. Mniejsza z tym, czy dziś skłonni byłibyśmy karać śmiercią tego, kto złorzeczy ojcu lub matce. Chodzi o to, że przykazania-słowa Dekalogu przedstawiają raczej kierunki naszego myślenia i działania niż bariery, których nigdy przekroczyć nie wolno.

Oto kierunek myślenia o Dekalogu, który proponuje Franciszek. I niech nikt nie mówi, że jest on tylko duszpasterzem, a nie teologiem. Jego nowe spojrzenie na Dekalog to spojrzenie głęboko teologiczne.

© KS. PROF. ANDRZEJ SZOSTEK MIC

Autor (ur. 1945) jest etykiem, marianinem, pracownikiem Katedry Etyki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, w latach 1998–2004 był rektorem tej uczelni. Pracę magisterską z filozofii napisał pod kierunkiem kard. Karola Wojtyły, potem był jego współpracownikiem.

Franciszek: Nie wykorzystujemy moralności przeciwko człowiekowi!

Kiedy przepowiadanie jest wierne Ewangelii, wyraźnie widać centralny charakter niektórych prawd i staje się jasne, że chrześcijańskie przepowiadanie moralne nie jest stoicką etyką; jest czymś więcej niż jakąś ascezą, nie jest zwykłą filozofią praktyczną ani katalogiem grzechów i błędów. Ewangelia zaprasza przede wszystkim, byśmy odpowiedzieli Bogu, który nas kocha

i nas zbawia, rozpoznając Go w innych i wychodząc poza samych siebie, by szukać dobra wszystkim. To zaproszenie nie może być przysłonięte w żadnych okolicznościach! Wszystkie cnoty pozostają na służbie tej odpowiedzi miłości. Jeśli to zaproszenie nie jaśnieje mocno i pociągająco, moralnej budowl Kościoła grozi, że stanie się zamkiem z papieru, a to jest naszym najgorszym niebezpieczeństwem. Wówczas bowiem nie będzie głoszona Ewangelia, lecz niektóre akcenty doktrynalne lub moralne wywodzące się z określonych opcji ideologicz-

nych. Orędziu grozić będzie utrata jego świeżości i nie będzie już miało „zapachu Ewangelii”.
(z „*Evangelii gaudium*”)

Byłoby czymś małostkowym zatrzymywanie się, by rozważać jedynie, czy działanie danej osoby odpowiada, czy też nie jakiemuś prawu czy normie ogólnej, bo to nie wystarczy, by rozpoznać i zapewnić pełną wierność Bogu w konkretnym życiu ludzkiej istoty. (...) To prawda, że normy ogólne stanowią pewne dobro, którego nigdy nie powinno się ignorować lub zaniedbywać, ale w swoich sformułowa-

niach nie mogą obejmować absolutnie wszystkich szczególnych sytuacji. (...) W związku z tym duszpasterz nie może czuć się zadowolony, stosując jedynie prawa moralne wobec osób żyjących w sytuacjach „nieregularnych”, jakby były kamieniami, które rzuca się w życie osób. Tak jest w przypadku zamkniętych serc, które często chowają się nawet za nauczaniem Kościoła, aby zasiąść na katedrze Mojżesza i sądzić, czasami z poczuciem wyższości i powierzchowności, trudne przypadki i zranione rodziny.

(z „*Amoris laetitia*”) ©

Czekanie na Świętego Patryka

TERESA STYLIŃSKA

Czy Kościół w Europie umiera? Czy on również przypomina „niepłodną babcię”, jak nasz kontynent nazwał papież Franciszek? Poszukując odpowiedzi, pisaliśmy już o Włoszech. Dziś – o Irlandii.

DUBLIN, DÁIL ÉIREANN – IRLANDZKI parlament. Deputowani szykują się do obrad. Prawie wszyscy, poza kilkoma osobami, wstają. *Speaker*, przewodniczący izby, odmawia krótką modlitwę. Po angielsku i po gaelicku. Gdy kończy, zapada cisza. Na 30 sekund. To czas na refleksję.

Irlandia przez wieki uchodziła za ostoję wiary katolickiej w Europie – ale czy nadal tak jest? Katolicy ciągle mają znaczącą przewagę nad przedstawicielami innych wyznań, ich liczba jednak spada, za to szybko rośnie liczba niewierzących. Z informacji zebranych podczas ostatniego spisu powszechnego w 2016 r. wynika, że do wiary katolickiej przynajmniej 78 proc. mieszkańców republiki, podczas gdy w 2011 r. było to 83 proc., a w 1991 r. – 91 proc. Protestanci stanowią 6 proc., ateści i agnostycy – blisko 10 proc. (w 2011 r. 6 proc.). Irlandzki Kościół katolicki obejmuje również Irlandię Północną (gdzie znajduje się Armagh, siedziba prymasa), tam jednak proporcje wyznaniowe są z przyczyn historycznych odmienne: katolicy stanowią 41 proc. ludności.

Przed rokiem kilkoro deputowanych lewicy (to ci, którzy nie wstają), wystąpiło z wnioskiem, by z modlitwy zrezygnować. Ponieśli dotkliwą porażkę. Modlitwa nie tylko pozostała, ale postanowiono też odmawiać ją na stojąco i dodano chwilę na refleksję.

Refleksja będzie potrzebna, zwłaszcza teraz, gdy pod obrady izby wejdzie projekt ustawy dopuszczającej przerywanie ciąży. Zadaniem parlamentu będzie przełożenie woli Irlandczyków – jasnej, bo w niedawnym referendum 66 proc. głosujących poparło uchylenie zakazu aborcji – na język prawa. Dotychczasowe irlandzkie przepisy zezwalają na aborcję tylko wtedy, gdy zagrożone jest życie matki.

Dwaj najważniejsi irlandzcy hierarchowie wyniki referendum odbierają jako klęskę Kościoła. Są zgodni w ocenie: religia i Kościół katolicki straciły wpływ na poglądy i postępowanie ludzi. Irlandia całkowicie przyjęła zasady demokracji liberalnej, stwierdził z żalem prymas Eamon Martin, arcybiskup Armagh. Diarmuid Martin, arcybiskup Dublina, ubolewał, że Kościół został zepchnięty na margines.

Usunąć się w cień

Jeszcze niedawno Irlandia uchodziła za kraj zawsze wierny Bogu i religii. Kościół z wielu powodów (o których dalej) przez wieki miał tu mocną pozycję, sprawował rząd dusz. Ale to już przeszłość. Teraz w opisach sytuacji pojawiają się słowa „upadek”, „rozkład”, „koniec dominacji”, „brak autorytetu”, „stan zaniku” – a nawet „śmierć”. Jedna z dziennikarek „Irish Times” stwierdziła nawet, że „Kościół katolicki to najbardziej toksyczna instytucja w historii Irlandii”.

Pozornie stoi to w sprzeczności ze wspomnianymi danymi ze spisu. Spadek liczby wierzących na przestrzeni ostatnich stu lat jest niewątpliwy, bo według spisu z 1926 r. katolicy stanowili aż 93 proc. społeczeństwa, ale nie jest on jeszcze na tyle dramatyczny, by należało bić na alarm. Zresztą na tle innych krajów Europy Zachodniej Irlandia i tak prezentuje się dobrze. Gdyby we Francji czy we Włoszech na niedzielnej mszę przychodziło 40 proc. mieszkańców parafii, a tyłu, jak wynika z badań, pojawia się w kościołach Irlandii, żaden ksiądz nie miałby powodu, by narzekać na brak wiernych.

Wszystkie dane dowodzą, że Kościół irlandzki ma nadal swe miejsce w życiu katolików. I nie tylko katolików – skoro ma znaczący udział w sferze społecznej,

szczególnie w oświacie, ochronie zdrowia i pomocy społecznej. Kościół prowadzi np. 90 proc. szkół podstawowych i choć stowarzyszenie Atheist Ireland wzywa, by z tym skończyć, większość Irlandczyków akceptuje obecny stan rzeczy.

W uwagach o śmierci Kościoła jest więc trochę przesady. Faktem jest jednak, że Kościół sam usuwa się w cień. Poza obszarem jego zainteresowania pozostaje np. tak aktualna kwestia jak kryzys imigracyjny. Ostatnie wypowiedzi na ten temat, zamieszczone na stronie internetowej Konferencji Episkopatu Irlandii, pochodzą z 2014 r.

To nie dzieje się bez przyczyny. Biskupi boją się, że jeśli wypowiedzą swą opinię, osiągną efekt odwrotny do zamierzonego i sprawie, której chcieliby pomóc, raczej zaszkodzą. „Referendum to akt apostazji społeczeństwa irlandzkiego. Ale Kościół był bezsilny i nie mógł się temu sprzeciwić. Znalazł się bowiem w pułapce: wiedział aż za dobrze, że jeśli zabierze głos, niezdecydowani postąpią odwrotnie, niż zaleca” – oceniał Ed Condon, specjalista od prawa kanonicznego, na łamach magazynu „Catholic Herald”.

Kościół irlandzki obawia się, że zostaną mu wypomniane winy i grzechy: obecne i przeszłe.

Kryzys

Dlatego Kościół właściwie nie zabierał głosu przed ostatnimi referendum, choć trudno przecenić ich wagę. Chodzi o wspomniane głosowanie torujące drogę zalegalizowaniu aborcji oraz, przed trzema laty, referendum w sprawie wprowadzenia małżeństw osób tej samej płci (62 proc. je poparło). Wierni wręcz dowiedzieli się, że mogą głosować za związkami osób tej samej płci, jeśli są szczerze przekonani, że postępują słusznie. Tę wypowiedź Donala McKeowna, biskupa diecezji Derry, odebrano jako rozgrzeszenie z głosowania „za”. Na wyrażenie sprzeciwu zdecydował się tylko jeden biskup – Kevin Doran z diecezji Elphin. I tylko w okręgu częściowo obejmującym jego diecezję związki jedнопłciowe wyborcy odrzucili.

– Trudno ocenić, jaki mógłby być rezultat głosowania, gdyby Kościół zaangażował się bardziej – mówi o. Cezary Binkiewicz, dominikanin, wikariusz w parafii St. Saviour’s w centrum Dublina, który pracuje w Irlandii od 10 lat. – I tak zabierał głos częściej niż w poprzedniej kam-



CATHAL MCNAUGHTON / REUTERS / FORUM

panii. Kościół jest w trudnej sytuacji, ponieważ nadal odmawia mu się prawa do wypowiedzi. Wszystkie zarzuty, jakie na początku tego wieku postawiono irlandzkim duchownym, pozostawiły wyraźny ślad.

Zarzuty, o których mowa, to sprawa stara i zarazem aktualna. Stara – bo ujrzała światło dzienne kilkanaście lat temu, na przełomie tysiącleci. Aktualna – bo fatalnie zaciążyła na miejscu Kościoła w życiu Irlandii. Zarzuty dotyczą stosowania surowych kar, przemocy fizycznej i psychicznej oraz molestowania seksualnego wobec przede wszystkim dzieci, ale także kobiet w parafiach i w rozmaitych instytucjach prowadzonych przez Kościół – sierocińcach, ochronkach, warsztatach pracy, pralniach i szkołach. Pod pręgierzem znaleźli się nie tylko sprawcy, ale również ich przełożeni, którzy mieli tuszować występkę podległych sobie księży, przenosząc ich do innych parafii i instytucji. Jeden z najgłośniejszych przypadków to sprawa ks. Brendana Smytha, któremu za-

rzucono wykorzystanie seksualne ponad 140 dzieci; udowodniono 20 przypadków. Smyth, skazany na 12 lat, zmarł w więzieniu.

Dochodzenie było długie i skomplikowane ze względu na mnogość inkryminowanych instytucji, ale także na zasięg czasowy – od lat 50., a nawet 40. Sytuację w różnych diecezjach, zakonach i instytucjach badały liczne, odrębne komisje. Kościół wyraził żal, przeprosił i wypłacił odszkodowania na łączną sumę ponad 120 mln euro.

Na fali oburzenia

W podbitej przez Anglików Irlandii, jak w wielu krajach poddanych obcej władzy, Kościół łączył różne funkcje, nie tylko religijne, reprezentując naród i zastępując ludziom państwo. Był instytucją zaufania publicznego, instancją, do której w razie potrzeby można było się zwrócić. Kościół tak bardzo wrósł w życie ludzi i tak mocno zrosł się z państwem, że to, co się stało, wywołało wstrząs.

Irlandzki ksiądz Pierre Pepper z miasta Banagher w hrabstwie Offaly i mini-strantki. Ks. Pepper, ps. „Jalapeno”, zyskał popularność, gdy w marcu 2015 r. wziął udział w jednym z 13 charytatywnych meczów bokserskich – cały dochód zasilił miejscowy szpital. Ks. Pepper przygotowywał się do walki przez dwa miesiące. Dodatkowo sam mecz poprzedziły „walki medialne”: jedna – zgodnie z bokserskim zwyczajem – na obelgi, druga na cytaty biblijne. Trwające trzy minuty starcie w ringu zakończyło się zwycięstwem kapłana.

W Irlandii zakres zadań Kościoła był wyjątkowo szeroki. Od dawna prowadził on szkoły i szpitale – najpierw dlatego, że władze brytyjskie chętnie scedowały nań to zadanie, później – po 1921 r., bo wyręczał powstałe, ale biedne Wolne Państwo Irlandzkie. W ten sposób pracował na swą pozycję. A Irlandczycy słuchali jego głosu w sprawach wielkich i małych. Jednym z autorów konstytucji z 1937 r., przyznającej Kościołowi katolickiemu „specjalne ➔

→ miejsce” – choć nie status Kościoła państwowego – był John Charles McQuaid, późniejszy arcybiskup Dublina. Konstytucja obowiązuje do dziś, ale słychać głosy, że nawet tak ogólnie sformułowany związek państwa i Kościoła należy wreszcie rozzerwać.

Tę bliskość ludzi, religii i Kościoła doskonale pokazują irlandzkie filmy. Udział w mszy jest czymś oczywistym. Pojawienie się księdza w najbardziej gorących sytuacjach działa jak oliwa wyłana na wzburzone fale. Największe zabijaki witają go z szacunkiem i pokorą. Bohaterka „Agnes Browne”, zwykła mieszkanka Dublina, codziennie rano zagląda do kościoła, by powiedzieć Panu Bogu dzień dobry. Filomena, kobieta, której nieślubnego synka bezduszne zakonnice oddają amerykańskiej rodzinie do adopcji, ma do nich żal, ale wiary nie traci, a siłę odzyskuje dzięki spowiedzi (choć „Filomena”, oparta na autentycznej historii, to jeden z filmów, które powstały na fali oburzenia skandalami). Rodziny są duże, wielodzietne i nie ma takiej – to już nie film, lecz fakt – w której nie byłoby Patricka i Mary, obowiązkowych katolickich imion. Oczywiście, powstało też sporo dzieł, które na instytucjach kościelnych nie zostawiają suchej nitki, ale one również pośrednio pokazują siłę więzów Kościoła i narodu.

Zresztą tak długą tradycją, jaką ma Kościół irlandzki, może się pochwalić niewiele Kościołów Europy. Francji, najstarszej córce Kościoła, Irlandia ustępuje tak minimalnie, że właściwie zasługuje na miano jej młodszej siostry. Celtyccy mieszkańcy Irlandii już w V wieku przyjęli chrześcijaństwo za sprawą św. Patryka, mnicha, który przybył z Brytanii z misją nauczania i krzewienia wiary.

Już tylko niedobitki

To prawda, że wielu ludzi zniechęciły do Kościoła skandale obyczajowe, ale stanowiły one raczej zwieńczenie procesów, które zaczęły się o wiele wcześniej. Jak w „Irish Times” pisał Mark Patrick Hederman, benedyktyn i pisarz, „skandale dodały rozpędu już zachodzącym zmianom i przyczyniły się do tego, że katolicka Irlandia stała się krajem postkatolickim”.

Kościół irlandzki zamilkł.

Biskupi boją się,
że jeśli wypowiedzą
swą opinię, osiągną efekt
odwrotny do zamierzonego.
Sprawie, której chcieliby
pomóc, raczej zaszkodzą.

Laicyzacja przyszła do Irlandii wraz z dobrobytem, który rozkwitł z nienacką, po latach niedostatku. Znamienne, że w nowej, zamożnej Irlandii na plan dalszy zeszły nie tylko sprawy wiary, ale także kwestie narodowe.

Na początku lat 90. w Irlandii było biednie i skromnie. Na ulicach widywało się matki otoczone gromadką dzieci, dominowały sklepy irlandzkie, rozmawiano o sprawach rodziny, pracy, kobiet, religii. – Gdy rozstałam się z mężem, moja matka mówiła znajomym, że wyjechał za granicę, tak bardzo się wstydziła – opowiadała mi Fionnuala, pracownica jednego z urzędów.

W roku 2000 zobaczyłam inny świat: sznury samochodów, światła, korki, sklepy światowych sieci i imigrantów z różnych stron świata, których wcześniej prawie nie było. Za sprzedaż domu w centrum można było mieć dom na obrzeżach i pieniądze na resztę życia. Kto by tam myślał o wierze? A jeśli, to raczej źle – bo już wtedy na jaw wyszło, że Eamonn Casey, bardzo popularny i lubiany biskup Galway, miał kochankę i dziecko w Ameryce.

Na pytanie o przyszłość irlandzkiego Kościoła nie ma prostej odpowiedzi. Kościół próbuje otrząsnąć się z kryzysu i wyjść wiernym naprzeciw, ale działa trochę po omacku, miesząc PR, popkulturę i pomysły rodem z gospodarki. Oto rada parafii św. Patryka w miasteczku Glenamaddy w diecezji Galway sięgnęła po metodę z powodzeniem stosowaną przez sieć McDonald's: *drive-thru*. W środę popielcową przed kościołem ustawili się długi kolumna samochodów. Kierowcom ta-

śmowo posypywano głowy popiołem i udzielano błogosławieństwa. Nie musieli wysiadać z aut. Inny pomysł to spowiedź w centrach handlowych przed Bożym Narodzeniem, gdy życie przenosi się do galerii. Na korytarzach, przy stolikach, bo nie w konfesjonałach przecież, chętni wyznają grzechy wśród dźwięków „Jingle bells”. Taką spowiedź zorganizowano już trzy razy, wobec, jak pisał portal Catholic Ireland, dużego zainteresowania. Czy takie zabiegi przybliżą Kościół do ludzi?

Prymas abp Eamon Martin ze względu na stosunek do wiary dzieli Irlandczyków na trzy grupy. Pierwsza to głęboko wierzący – „już tylko niedobitki”, jak mówi. Druga – formalnie katolicy, lecz niepraktykujący. Trzecia wreszcie – to ludzie wrodoży Kościołowi. Kim są? Prymas Martin nie wyjaśnia, czy są tu tylko wojujący ateści, czy także ci, którzy pragną zredefiniować miejsce Kościoła.

Do stowarzyszenia Atheist Ireland, które chce wymazać Kościół i wiarę z życia Irlandii, należy zaledwie 500 osób – hałaśliwych, ale chyba mało groźnych. Ateści domagają się na przykład zmiany nazw historycznych nawiązujących do religii i zbojkotowali obchody stulecia powstania wielkanocnego właśnie ze względu na nazwę. Postulują też zniesienie zakazu sprzedaży alkoholu w Wielki Piątek.

Ale gdy na plac boju wkracza premier Leo Varadkar, ogłaszając, że spod ustawy aborcyjnej nie będą wyłączone szpitale prowadzone przez Kościół, staje się jasne, że Kościół czekają trudne czasy. To wiedzą wszyscy. Jak stwierdził William Crean, biskup diecezji Cloyne, „Kościół stoi na drodze do przekształcenia Irlandii w społeczeństwo postępowe, dlatego politycy i media chcą usunąć go z życia publicznego”.

Czy Kościół to przetrzyma? O. Binkiewicz przyznaje, że obraz widziany z Dublina jest inny niż na prowincji, bo stolica jest najbardziej zlaicyzowanym miejscem Irlandii.

W sierpniu do Dublina na Światowe Spotkanie Rodzin papież Franciszek. Czy ta wizyta coś zmieni?

© TERESA STYLIŃSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



Bóg wie lepiej

MACIEJ MÜLLER

Najgorszą herezją wszech czasów jest traktowanie Boga jako tematu, mówienie o Nim, zamiast mówienia do Niego – pisze s. Małgorzata Borkowska w autorskim przewodniku po teologii.

W SWOJEJ POPRZEDNIEJ KSIĄŻCE „Oślica Balaama” – w której boleśnie chłostała kaznodziejów przyjeżdżających na rekolekcje do jej klasztoru i oznajmiających, że nawet się specjalnie do nich nie przygotowywali, bo „wiadomo, że zakonnikom wszystko dobre” – benedyktynka z Żarnowca zwróciła uwagę na problem traktowania dogmatyki jako nieżywej „teorii”, zakłócającej „prawdziwy” kontakt z Bogiem (zob. powszech.net/oslica). Dlatego, idąc za ciosem, przygotowała poradnik dogmatyczny; książkę ważną i dla księdza, i dla zakonnicy, a może najbardziej dla świeckiego.

Nie jest to systematyczny wykład dogmatyki. Czytelnik, zapoznając się z kolejnymi rozdziałami, szybko zauważy (to nie jest zarzut!), że wszystkie są niejako...

o tym samym. O świecie, „nie przez nas stworzonym ani nie dla naszych małych celów”, o Bogu, któremu cześć po prostu się należy, bo jest Bogiem. I ten Bóg, mimo że „to nie On istnieje dla nas, ale my dla Niego”, staje na głowie, żeby nas zbawić.

Szkoda może, że s. Borkowska nie wyjaśniła, dlaczego postanowiła uporządkować treść, sięgając akurat po kontrowersyjny schemat „sześciu prawd wiary” (charakterystyczny tylko dla polskiej katechezy, nieobecny w powszechnym nauczaniu Kościoła). Bardziej logiczny wydawałby się porządek zbudowany np. na Credo. Podczas lektury traci to jednak znaczenie. Książka benedyktynki to nie przewodnik po dogmatach, ale raczej napisany typowym dla autorki zaangażowanym stylem esej o tym, że w wierze

wszystkie elementy tworzą całość. I że w gruncie rzeczy chrześcijaństwo to opowieść o nieskończonej i niepojętej miłości Boga do człowieka.

Nie religia, tylko Bóg

S. Borkowska chciała się rozprawić nie tyle z teologicznym niedoucstwem katolików, co z rozłącznym traktowaniem wiary i moralności. Etyka oderwana od wiary – podkreśla benedyktynka od pierwszych kart książki – jest intelektualną refleksją nad dobrem i złem i niczym więcej. Nie stanowi treści życia. Aby się nią stała, etyka musi być owocem relacji z Bogiem. Pierwsza jest miłość Boga, potem ludzka odpowiedź na nią – wtedy odpowiedź na pytanie „jak żyć” zrodzi się naturalnie – przekonuje autorka. (Podobnie jest w małżeństwie, dodałby pewnie w tym miejscu inny członek zakonu benedyktyńskiego, o. Włodzimierz Zatorski – jeśli mężczyzna i kobieta się kochają, to z ich relacji wynika cała wzajemna moralność).

Gdy poznajemy Boga, żyjąc z Nim i dla Niego, wtedy „nasza znajomość ewangelicznej nauki moralnej nie jest wymuszoną zgodą na jakieś narzucane nam ramy czy arbitralne ustanowione zasady, ale jest wiedzą dziecka Bożego o drodze do Ojca i o swoim naturalnym żywiole” →

→ – pisze s. Borkowska. Nie myślimy bezosobowo o religii – zachęca – tylko osobowo o Bogu. Wtedy zrozumiemy, dlaczego On oczekuje od nas takiego, a nie innego postępowania.

Jak to powiązanie wiary z etyką wygląda w narracji s. Borkowskiej? Na przykład kiedy tłumaczy, na czym polega objawienie, podkreśla, że to, co mówi Bóg o sobie i o nas, jest zawsze prawdą. Z tego wynika, że skoro jesteśmy zobowiązani do naśladowania Boga, to w relacjach z innymi musimy posługiwać się wyłącznie prawdą. A co wynika z dogmatu o Bogu Jedynym? Że „skoro Bóg jest jeden, to Jemu należy się nasza niepodzielna miłość i służba. Nie ma drugiego do wyboru, ani żadnej porównywalnej z Nim wartości, którą by można postawić przed Nim”.

Ze strony człowieka potrzebne jest zaufanie, że ostatecznie to Bóg go prowadzi. Należy więc stanąć przed Nim „w postawie Jego dzieci, ufnych i szczerych, a nie w postaci przerażonych niewolników. Ani też w postawie handlarzy, którzy balansują rachunki i starają się wytargować jak najwięcej zysku”. Życie wiary na ogół odbywa się w ciszy, poza budzącymi emocje doświadczeniami. Na przykład w Eucharystii „nie ma ognia ani obłoku, jest kompletna cisza doznań zmysłowych. Rozum

ludzki, jeżeli ufa objawieniu Bożemu, wie, w czyjej jest obecności, ale w żaden sposób tego nie czuje. I naraża się na błąd, jeśli sobie takie odczucie próbuje wmówić, albo je jakoś wywołać”.

Mikro-szczęście

Każdy rozdział kończy się przemyśleniami na temat zastosowania omówionej nauki do życia mniszego. Szkoda pomijać te fragmenty w lekturze: są bardziej, niż wskazywałby nagłówek, uniwersalne i pasujące do życia świeckiego. Choćby ten: „Ciągłe odzywa się w nas odwieczna skłonność człowieka do gubienia się w drobiazgach, w małych mikro-szczęściach. Zaczynamy szukać ludzi – pocieszycieli; gromadzimy na własność różne rzeczy, wyłamujemy się na różne sposoby spod posłuszeństwa (...) i w końcu okazuje się, że nie Boga kochamy, a naszą wygodę”.

Kilka praktycznych podpowiedzi co do życia duchowego autorka zawarła w aneksie, w którym przeczytamy m.in. o aktualności nauczania Ojców Pustyni (zob. ramka poniżej), o wartości milczenia i o tym, że Katechizmu bać się nie trzeba, bo może być ważnym przewodnikiem na drodze modlitwy i poznania Boga.

Jeden jest może moment, w którym s. Borkowska dotyka ryzykownej teolo-

gicznie granicy. Zastanawiając się nad mechanizmem zbawienia, pisze o Synu, który jako Bóg mógł oddać swojemu Ojcu z miłości wszystko, poza jednym: jako nieśmiertelny nie mógł umrzeć. I dlatego stał się człowiekiem, z miłości do Ojca umarł, a przy okazji pociągnął za sobą do zbawienia całą ludzkość. Opowieść to niezwykle pociągająca, lecz ryzykowna. Ks. Grzegorz Strzelczyk, pytany o nią podczas naszej rozmowy wielkanocnej, powiedział: „Trzeba bardzo uważać na ten rodzaj myślenia. Bo relacja między Ojcem i Synem jawi się w nim jako relacja dwóch umysłów i dwóch woli. A to herezja. W środoku Trójcy jest jedna wola i jeden umysł – współdzielone. Osoby Trójcy nie mają nic, co mogłyby sobie dać, bo wszystko jest wspólne i zrealizowane”. Odpowiedzieć na to można takim może zdaniem benedyktynki: „Nigdzie w Ewangelii nie jest napisane »Błogosławieni, którzy mają rację«”.

© P MACIEJ MÜLLER



S. Małgorzata Borkowska OSB, **SZEŚĆ PRAWD WIARY ORAZ ICH SKUTKI**, Wydawnictwo Benedyktynów, Tyniec 2018.

S. MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB:

HERETYCKA MĄKA

„Jak daleko można zająć w dziele ludzi na MY (dobrzy) i ONI (źli), pokazuje ciekawa historia. Lat temu nie tak znów wiele, kiedy ze Związku Radzieckiego zrobiła się Rosja, a jej granice otwarły się dla zagranicznych gości, do pewnego klasztoru mnichów prawosławnych na północy kraju dotarł transport darów, przysłany przez luteran niemieckich. Zajechało parę ciężarówek, wyładowanych żywnością, proszkiem mydlanym itd. Mnisi transport przyjęli, a kiedy wszystko zniesiono do magazynu, poszli na naradę i po powrocie oznajmili Niemcom, że nie mogą im podziękować. Bo po rosyjsku »dziękuję« brzmi »spasibo«, co znaczy: »Niech cię Bóg zbawi«;

a oni przecież nie mogą życzyć zbawienia heretykom. Mogli jeść heretycką mąkę i cukier, mogli się myć heretyckim mydłem i okrywać heretyckimi kocami – ale życzyć zbawienia heretykom nie mogli, to by już była zdrada. (...) Przeciw potępieniu Ojcowie Pustyni protestują bardzo mocno. (...) Skoro skrucha prowadzi do zbawienia, to należy odrzucić wszystko to, co nas od niej odwodzi; a doświadczenie nauczało Ojców, że zajmowanie się cudzymi winami prowadzi do zrzucania swoich własnych win na bliźnich i zaciemnia spojrzenie duszy”.

CZEKOLADA Z AUTOMATU

„Wyobraźmy sobie dwoje dzieci. Jedno i drugie chce dostać ta-

bliczkę czekolady. Pierwsze podchodzi do automatu i naciśka odpowiedni guzik; drugie się zwraca z prośbą do mamy. (...) Istotny jest fakt, że jedno dziecko usiłowało swój problem rozwiązać przez przedłużenie własnego »ja« o mechanizm, drugie zaś – przez osobowy kontakt swojego »ja« z czyimś »ty«. (...) Istnieje taki sposób modlitwy, w którym postawa modlącego się niczym istotnym się nie różni od metody pierwszego dziecka. (...) Prosić można rozmaicie: albo jak osoba osobę, albo tak mechanicznie, że to się właściwie równa naciskaniu guzika. Jeśli nie działa, człowiek mruży ze złością, że automat zepsuty, i co za porządku, i więcej tu nie przyjdzie. (...) Do osoby mówi się dalej; jest się z nią w relacji, choćby się od niej akurat czekolady nie dostało. (...) Powinni-

śmy raczej żarliwie dziękować Bogu, kiedy nas w czymś nie wysłuchał, bo tym samym został potwierdzony porządek bytów: Bóg jest nadal Bogiem i nadal wie lepiej”.

DIABEŁ I DOBRO

„Są ludzie, nawet wśród księży, którzy głoszą, że najbezpieczniej jest nie pełnić dobra, gdyż ono zawsze musi być »ukarane« przez szatana; tacy ludzie najwyraźniej nie wierzą, że to Bóg, a nie szatan rządzi światem. Bóg zawsze swój cel osiąga i nie opuszcza człowieka. Tak było i w sprawie grzechu pierworodnego: po dziele stworzenia nastąpiło dzieło zbawienia. Bóg nie opuszcza nas z powodu grzechu, ale z grzechu podnosi i prowadzi – jak zamierzał od początku – na wyżyny zjednoczenia ze Sobą, do synostwa Bożego”.

SZYMON

Hołownia:

Pozbawieni wolności



SIEDZĄC W POCZEKALNI DLA ODWIEDZAJĄCYCH w zakładzie karnym na warszawskim Służewcu, przypominam sobie słowa Franciszka, którymi podobno często zwraca się do odwiedzanych lokatorów tego rodzaju placówek: „Nie wiem, jak to się stało, że wy jesteście tu, a ja tam”. To nie chrześcijańska kokieteria („Ach, jaki jestem grzeszny! Ach, jaki wszystkiego niegodny!”), lecz twardy realizm. Na kapelana, z którym byłem tu umówiony, trzeba chwilę poczekać, utknął gdzieś między kolejnymi warstwami zdalnie otwieranych krat, mam więc dość czasu, by wyobrazić sobie, że któregoś dnia na tym krześle siądzie moja rodzina. Nie dlatego, że nagle powziąłem ideę zostania krwiożerczym potworem, który gwałtem i śmiercią pokala batalion ludzkich losów. Nie, wystarczy może chwila nieuwagi za kółkiem, za którym spędzam znaczną część mojego życia komiwojażera spraw – przynajmniej w moim odczuciu – ważnych. Może podsunęta w chwili słabości, i przyjęta, pokusa.

Miałem w życiu okazję rozmawiać ze skazanymi za morderstwo. Ale za kratami spotykałem też ludzi, którzy jadąc za szybko, odbili się od krawężnika i w ciągu sekundy z zabieganych biznesmenów czy studentów zmienili się w zabójców paru osób. Którzy kradli dla swoich – łkających i obiecujących, że oddadzą – najbliższych. Którzy robili przekręty, racjonalizując sobie, że przecież państwo i tak ma dość, a oni odpalą coś „na biedne dzieci”.

Podobnie jak każdy z nas jest potencjalnym pacjentem onkologicznym, każdy z nas jest też potencjalnym złoczyńcą. Nie ma ludzkiej duszy wolnej od ryzyka, że zacznie się w niej moralna kancerogeneza. Najbardziej demoniczne postaci ubiegłego i tego stulecia? Prowincjonalni akwareliści, wychowankowie seminariów duchownych, sprawni dziennikarze, naukowcy, służbiści żołnierze, wielcy miłośnicy dzieci.

Opowieści o świętych chrześcijańskich starcach, nawet tych, co całe życie przeżyli na pustyni, często obracają się wokół tego samego wątku: jak pilnować siebie, by jutro nie stać się swoją karykaturą. Ta idea trwa we wschodnim chrześcijaństwie, w którym co chwila słychać westchnienie ulgi, dziękczynienie Panu, który uchronił od grzechu. Chrześcijaństwo zachodnie skłonność do zła często każe przepracowywać (jak – to jeden z moich ulubionych eklezyjnych szmoncesów: pewien znany dominikanin, który formując młodzież do walki z pokusami nieczystymi, zwykł ponoć wznosić bojowy okrzyk: „Wolą w gruczoł!”).

To zachodnie podejście owocuje, bywa, frustracją – bo grzeszyć pewnie i tak się zdarzy, jak nie w tej branży, to w innej. To wschodnie otwiera pole do – właśnie – wdzięczności. A wdzięczność to przecież uznanie, że jest ktoś, kto dał, a więc ktoś, kto ma więcej niż ja. Więcej mocy, by przeholować mnie na sznurku przez ciemność, by wyciągnąć z bagna, w które już po kokardkę wpadłem.

Każda wizyta w więzieniu to rekolekcje dla mnie, nie dla więźniów. W pierwszym zakładzie karnym, jaki odwiedziłem w życiu, dostałem laurkę od „kobiet pozbawionych wolności”. Właśnie tak: nie „osadzonych”, „skazanych”, „aresztowanych”. Dotarło do mnie, że w tej machinalnie wypowiadanej, kodeksowej formule jest cała istota tej kary: sparaliżowanie człowieka całej tej części „narządu” wolnej woli, który odpowiada za decydowanie o tym, gdzie iść, co zjeść, czym się zająć i kiedy, z kim. Dla większości z nas, po tej stronie krat, podejmowanie takich decyzji to oczywistość, taka jak oddychanie. Nie doceniamy wolności i powietrza, bo wagę obydwójga poznaje się w ich braku.

Każda wizyta w więzieniu, a mam ich za sobą pewnie sześć czy siedem, uczy mnie szacunku do tych, którzy mają odwagę powiedzieć: „Siedzę, bo okazałem się słaby”, a nie z miejsca atakują niekończącą się feerią opowieści o jednym celu: bym po wyjściu z krat natychmiast zadzwonił do TVN, TVP, Polsatu, Radia Wrocław, ministra sprawiedliwości, prezydenta... i powiedział: „Ej, tam jest taki gość, co siedzi za zupełną niewinność!” – i oni wszyscy następnego dnia wpadną do ciurmy, by natychmiast go stamtąd uwolnić. Jaką ją przyjmuje postawę wobec mojej osobistej biedy?

Mam hipotezę, że tylko zmierzenie się z tym, co się zrobiło złego, może być fundamentem tego, by nigdy nie przegapić okazji do zrobienia czegoś dobrego. A warto, bo ludzie z zasady częściej i głębiej żałują tego, czego nie zrobili, niż tego, co zrobili. W więzieniu to szczególnie trudne zadanie, bo tu – choć dawno nie są to już carskie kazamaty: są świetlice, terapie, przeróżne zajęcia, pomoc w tysiącu spraw – większość myśli nie o tym, co może zrobić teraz, tylko co robi, gdy wyjdzie. Dużo łatwiej jest snuć wizje o pomocy biednym dzieciom za pięć lat, niż dziś bezinteresownie dać coś koledze spod celi. W warunkach wolnościowych – choć nie ma cel, są biura, domy, sklepy – działa to przecież dokładnie tak samo.

Trzeba się modlić za więźniów. Ale trzeba też prosić, żeby oni modlili się nie tylko za siebie, bliskich i tych, których skrzywdzili, ale i za mnie. Bo o felietonistach – podobnie zresztą jak o np. księżach – nie ma za wiele w Ewangelii, a o więźniach jest. Bóg ma z nimi jakieś swoje specjalne sprawy. To ludzie, których wyraźniej stawia nam przed oczy. Bo zostali (czasowo) przez nas wykluczeni ze wspólnoty i dlatego On musi się nimi specjalnie zająć. Bo „gdzie wzmógł się grzech, tam jeszcze obficie rozlała się łaska”. A może – bo nigdy dość przypominania starszym braciom z opowieści o Synu Marnotrawnym, że mogą stać się braćmi młodszymi. I że obaj byliby żałośni, gdyby to na nich kończyła się obsada tej historii. Że ich obu od nich samych może uratować tylko ich Miłosierny Ojciec.

©



SCENY GRANICZNE

Oto, co się dzieje w strefie buforowej między Jordanią a Syrią:
miejsku, gdzie w minionym tygodniu
trwał najszybciej się rozwijający kryzys humanitarny świata.

TEKST **MARCIN ŻYŁA**, ZDJĘCIA **GRAŻYNA MAKARA**
Z GRANICY JORDAŃSKO-SYRYJSKIEJ

JEST TAKIE MIEJSCE W MIASTECZKU DŻABIR, z którego widać wszystko. Po tamtej, syryjskiej stronie: bombardowania i wybuchy, drogę, którą samochody wywożą uchodźców, oraz ich namioty pod granicą. Po tej, jordańskiej – szpital polowy i ambulanse transportujące rannych do szpitali.

Stoi też kramik, więc kto chce, może napić się herbaty. Tutaj, na wzgórzu, kilkadziesiąt metrów od granicy z Syrią, wojna jest atrakcją. Są tacy, którzy patrzą na nią do trzeciej nad ranem. A gdy jakaś bomba eksploduje głośniejsze od innych, dzieci podskakują i głośno krzyczą.

– Nie z radości, tylko z ekscytacji – mówi Ahmad, jeden z obserwatorów. – Bo coś się dzieje.

Dara, czyli symbol

Oglądane ze wzgórza w Dżabir walki to fragment wspomaganej przez Rosjan ofensywy armii syryjskiej, której celem jest odbicie południowo-zachodniej prowincji Dara. Dotąd pozostawała pod kontrolą opozycji. Region graniczy z Jordanią oraz okupowanymi przez Izrael Wzgórzami Golan, ma więc znaczenie strategiczne. A miasto Dara, stolica regionu, to także symbol: tutaj, 7 lat temu, od aresztowania

nastolatków wypisujących na murach hasła przeciw prezydentowi Baszarowi al-Asadowi, zaczęła się syryjska rewolucja.

Kampania trwa od końca czerwca. Jej humanitarny koszt jest ogromny. ONZ twierdzi, że wojna wygnała z domów ponad 320 tys. osób. Wielu ruszyło w kierunku granic, ale Jordania i Izrael odmawiają ich wpuszczenia. Tylko wzdłuż granicy z Jordanią znajduje się ok. 75 tys. Syryjczyków. Staffan de Mistura, wysłannik ONZ ds. Syrii, ostrzegł w minionym tygodniu: jeśli walki będą się przedłużać, skala cierpienia cywilów z prowincji Dara może przewyższyć tragedię Aleppo i wschodniej Ghuty.



– Żona jednego z naszych sąsiadów, Syryjka, jest ranna i czeka na granicy – Ahmad wskazuje ręką na wschód, na ogrodzony wysokim murem teren międzynarodowej strefy gospodarczej, gdzie przed wojną Syryjczycy i Jordańczycy handlowali bezcłowo. Teraz zgromadzili się tam uchodźcy – może ich być nawet 30 tysięcy.

Dalej, za strefą, horyzont zasłania wielki obłok dymu. Czy to uchodźcy podpalają trawy, bo chcą tak oczyścić teren z węży i skorpionów? A może patrzymy na pożar wzniecony po to, aby utrudnić ludziom orientację przy granicy? Płonie magazyn?

Ahmed i jego znajomi mają kolejny temat do rozmów.

W szpitalu polowym

Nożyk do rozcinania ubrań jest tak mały, że w dłoni doktora trudno zobaczyć jego ostrze. Rozpruwana metalem tkanina nie wydaje dźwięku, gdyż zawilgła – jest cała we krwi.

Ledwie przed minutą ułożono tego mężczyznę na polowym łóżku. Ale sześciu lekarzy i ratowników wojskowych natychmiast podzieliło się zadaniami: gazikiem czyszczą klatkę piersiową, osłuchują, podłączają kroplówkę... Zapadło się lewe płuco i do środka trzeba wprowadzić

*Jordańczycy obserwują bombardowania po syryjskiej stronie granicy.
5 lipca 2018 r.*

Po lewej: syryjska rodzina przeprowadzona na stronę jordańską czeka na pomocy lekarzy, 4 lipca 2018 r.

rukę, która wytworzy w nim podciśnienie. Jęków Syryjczyka nie zagłusza nawet parkująca obok karetka. Za chwilę lekarze podadzą mu morfinę.

Ten człowiek – to jedna z ofiar ofensywy w prowincji Dara. Jesteśmy już wewnątrz kordonu jordańskiego wojska, które szczelnie obstawiło teren wokół Dżabir, tworząc polowe ambulatorium. Za betonowymi barykadami z materiałem maskującym, wzdłuż ostatnich metrów drogi po stronie jordańskiej, stanęły dziś polowe namioty i karetki.

15 metrów dalej są już pick-upy z karabinami maszynowymi i żołnierze z pełnym wojennym wyposażeniem. I drut kolczasty, za którym widać Syryjczyków. Tam czekają na pomoc.

Ci, którzy są najbliższej, zorganizowali się: wybrali porządkowych i skrzyknęli lekarzy, którzy wybierają najcięższe przypadki. Co kilka minut na stronę jordań-

ską przechodzą kolejni ludzie. Jak na przykład ta starsza kobieta, prowadzona przez młodszą, może córkę. Słania się na nogach, zatacza. Dłużej już nie da rady, musi kucnąć na skraju asfaltu, położyć głowę na kolanach opiekunki.

Albo chłopczyk – chyba w szoku, bo leży na noszach nieruchomo, cicho. Nosze podskakują na asfalcie, dziecku od tego falują włosy. Ten człowiek obok, czy to jego ojciec? Za kilka minut okaże się, że chłopca wyznaczono do ewakuacji, do jordańskiego szpitala.

Kilka minut później znowu dziecko, niesione w ramionach przez jordańskiego żołnierza.

I ojciec z córką, którzy cały ten czas siedzieli w milczeniu, przytuleni, tuż obok karetki. Obok tak dużo się dzieje – lecz oni chyba nie widzą, nie słyszą, jakby już nie czuli.

Tymczasem mężczyzna na noszach przestaje jęczeć, morfina już działa. Ratownicy wnoszą go do karetki – jego stan jest na tyle poważny, że trafi do szpitala w Jordanii. Do minionego czwartku rano ewakuowano w ten sposób ok. 90 osób. Wszystkie oddziały intensywnej opieki w szpitalach publicznych na północy Jordanii są już pełne i ministerstwo zdrowia ➔



→ w Ammanie zaapelowało o przyjmowanie Syryjczyków do szpitali prywatnych.

Jednak zanim karetka odjedzie, podejście do niej żołnierz z plikiem dokumentów. Pacjent nie zostanie bowiem w Jordani: w szpitalu będzie pod strażą, a gdy jego stan się poprawi, zostanie tutaj przywieziony z powrotem. Jordanijski żołnierz odprowadzi go do Syrii.

Kraj uchodźców

Dlaczego, mimo apeli organizacji humanitarnych, Jordania nie wpuszcza Syryjczyków z Dary? Tłumaczenie dla zagranicy brzmi: więcej już się nie pomieści. Od początku wojny zarejestrowano tu ok. 666 tys. uchodźców, ale rząd twierdzi, że jest ich co najmniej 1,2 mln. W przeliczeniu na jednego mieszkańca więcej uchodźców mają tylko Liban i Afganistan. Co więcej, jordańskie statystyki nie uwzględniają przybyłych tu po powstaniu państwa Izrael Palestyńczyków, którzy stanowią jedną trzecią mieszkańców kraju.

Dla 10-milionowej Jordanii to spore obciążenie. Przy zwiększonym popycie – rosną ceny. Oto przykład: zanim zaczęła się wojna w Syrii, w Zarze, 400-tysięcznym mieście niedaleko Ammanu, za wynajem

Ranny przewożony do szpitala w głąb kraju – potem będzie musiał tu wrócić.

Po prawej: jordański żołnierz przenosi syryjskie dziecko do strefy buforowej z pomocą medyczną. 4 lipca 2018 r.

mieszkania dla całej rodziny płacono ok. 100 dinarów (równowartość 520 zł) – dziś czynsz wynosi ok. 170 dinarów (890 zł). Narzekają Syryjczycy, którym pomoc otrzymywana z UNHCR, oenzetowskiej agencji ds. uchodźców, rzadko wystarcza na utrzymanie. Narzekają też Jordańczycy, gdyż w niektórych miejscach standard życia wyraźnie się obniżył.

Tyle oficjalne powody zamknięcia jordańskich granic przed uchodźcami. Słychać jednak i o innych. Dowódca północnego okręgu wojskowego gen. Khalid al Massaid przyznał, że władze obawiają się obecności wśród uciekinierów, jak się wyraził, „infiltratorów”. Wśród Jordańczyków słychać opinie, że uchodźcy, których przyjmowali kilka lat temu, uciekali przed rozpoczynającą się wojną. Natomiast ci, którzy w tych dniach czekają na granicy, mieszkali wcześniej na terenie kontrolowanym przez tzw. Państwo Islamskie. Już samo to brzmi jak zarzut, gdyż dla wielu tutaj oznacza współpracę z dżihadystami.

Dymy nad Syrią

Jordańska armia czuwająca nad granicą z Syrią jest w stanie pełnej gotowości bojowej. Wykorzystuje kamery, które są w stanie „zaglądać” w głąb Syrii na odległość wielu kilometrów. To stąd orientacyjnie wiadomo, ilu uciekinierów zgromadziło się po drugiej stronie granicy.

Ale kamery monitorują też sytuację militarną, ponieważ tuż na zachód od Dżabir znajduje się kluczowe w tych dniach miejsce frontu. Syryjską armię, wbitą klinem w terytorium bronione przez opozycyjną Wolną Armię Syryjską, od granicy z Jordanią dzieli już tylko kilkanaście kilometrów. Gdyby ją osiągnęła, terytorium kontrolowane przez opozycję w prowincji Dara zostałoby podzielone na pół. Może to być kluczowy moment tej kampanii.

Kiedy w minioną środę już trzeci raz zerwano rozmowy o wstrzymaniu ognia, które prowadzili Rosjanie i przedstawiciele Wolnej Armii Syryjskiej, wieczorny ostrzał był wyjątkowo intensywny. Bombardowano wsie al-Nejemeh, al-Tajbah i al-Majadin – to ich światła widać właśnie z Dżabir.

Jest pora wieczornych wiadomości i spod ambulatorium na żywo nadaje jordańska telewizja. Ekipa rozstawiła reflek-



tory, krzyczy, żeby odsłonić widok na namiot szpitalny. Lampy ładnie oświetlają teraz wnętrze. W środku troje lekarzy i jedna matka – wszyscy trzymają małe dziecko, wbijają mu igłę. Na drugich noszach mężczyzna w białej koszuli – już mu lepiej, zaciekawiony przygląda się teraz całej sytuacji.

Obróćmy się: linia graniczna, drut kolczasty, tłum uciekinierów, żołnierze, dymy nad horyzontem, karetki, ludzie w kamizelkach z nazwami organizacji charytatywnych, a po stronie jordańskiej miasto. Słychać muezzina wzywającego do meczetu oraz – jak przez cały dzień – wybuchy. Zachodzi słońce. Sceneria jak z niskobudżetowego filmu, lecz tak naprawdę tu jest. Na żywo, w czasie rzeczywistym.

Zapada już noc. W nocy znów dobrze widać wojnę. Na horyzoncie – języki ognia po wybuchach bomb, czerwone flary pocisków, które, zanim osiągną celu, zdają się nienaturalnie długo lecieć nad ziemią. Bliżej, na pierwszym planie podskakują cztery białe światła latarek. To zapewne jakaś kolejna grupa Syryjczyków biegnie w stronę granicy.

Zostawiamy w tyle uciekinierów, wojskowe namioty, pick-upy z karabinami

Polska Misja Medyczna

która ze wsparciem polskiego MSZ realizuje w północnej Jordanii projekty pomocowe, apeluje o wpłaty na konto
08 1240 4650 1111 0010 4607 7315

Pieniądze ze zbiórki przeznaczy m.in. na dalszy wynajem karettek do ewakuacji z granicy w Dżabir najczęściej rannych ofiar wojny w prowincji Dara.

maszynowymi i granicę z drutu kolczastego. I samotny znak drogowy, który stoi zaledwie pięć metrów od niej.

Nawet tu rzeczywistość bywa ironiczna: to zakaz zatrzymywania.

Pułkownik Jayousi się śmieje

W tych krótkich chwilach, gdy w namiocie-ambulatorium nie ma rannych, trzeba go posprzątać. W żółtej torbie foliowej lądują gaziki, wata, fragmenty bandażu i plastikowe rurki po kroplówkach. Z wgniecenia na pomarańczowym materacu z łóżka polowego pracownik sanitarny zmywa ciemny płyn – to woda, która gromadziła się w pęcherzach po oparzeniach.

Materac trzeba jeszcze wytrzeć ze strzępów skóry.

Przed chwilą na tym polowym łóżku leżał mężczyzna. Cztery godziny wcześniej, w Syrii, wybuch bomby lub pocisku oparzył go tak, że nawet po tym, gdy w ambulatorium udzielono mu pierwszej pomocy, przewracał się na łóżku z bólu. Kiedy tylko z namiotu wychodzili lekarze, krzyczał. Ewakuowano go karetką do szpitala.

– Od niedzieli pomogliśmy ok. 1250 osobom – mówi płk Mohammad Jayousi, dowódca oddziałów medycznych jordańskiego Północnego Okręgu Wojskowego. – Tylko dzisiaj mieliśmy ok. 120 pacjentów. Wiele przypadków to oparzenia i rany zagrażające życiu. Większość pacjentów trafia do nas po południu i wieczorem – to efekt wzmożonego bombardowania i ostrzału. Ale nas, lekarzy, sytuacja na froncie nie interesuje. Cięższe przypadki przekazujemy do szpitali w Jordanii. Pacjentami, którzy nie wymagają hospitalizacji, zajmujemy się na miejscu i potem odsyłamy ich z powrotem przez granicę. Niektórym mówimy, aby kolejnego dnia wrócili do nas na kontrolę.

Potem pułkownik dodaje: – Nie mamy kontaktu ze stroną syryjską. Nie wiem, czy



→ są tam lekarze. Dowodzi obrona cywilna, która przekazuje nam pacjentów. Tu, na miejscu, decydujemy, do którego namiotu ich skierować – na chirurgię, pediatrię czy do miejsca, gdzie udzielamy konsultacji. Dziś do dyspozycji mamy siedem karetek do ewakuacji. Ale sami się z tej strefy nie ewakuowaliśmy i nie zrobimy tego nawet wtedy, gdy bomba spadnie o, tutaj – dowódca pokazuje na miejsce, w którym stoimy.

Niektórzy z jego podwładnych, lekarze wojskowi, są w strefie buforowej już czwartą dobę i prawie każdy ma przekrwione białka oczu. Pułkownik Jayousi się śmieje: – Jeśli nie jesteś zmęczony, to znaczy, że nie jesteś dobrym lekarzem.

Teraz chwila oddechu, bo od strony syryjskiej akurat nie nadchodzą ranni. Sanitariusz popycha puste metalowe nosze. W powietrzu unosi się zapach środków antyseptycznych.

Z przodu, za graniczną linią z drutu kolczastego, przepycha się między sobą kilku mężczyzn.

Pod „ochroną”

Na froncie w południowej Syrii rządzą Rosjanie: to oni rozmawiają z przedstawicielami Wolnej Armii Syryjskiej, a kiedy

Jordańczycy obserwują – w dzień i w nocy – bombardowania po syryjskiej stronie granicy. Dżabir, 5 lipca 2018 r.

rozmowy się załamują, wzmagają bombardowania. To do Moskwy podróżował w minionym tygodniu jordański minister spraw zagranicznych, aby rozmawiać o sytuacji na granicy. I to właśnie Rosja mogła najbardziej wygrać na porozumieniu między walczącymi w prowincji Dara stronami, które zawarto dzień po naszej ostatniej wizycie w strefie buforowej.

Zgodnie z układem, który dotyczy wyłącznie wschodniej części prowincji, rosyjskie konwoje wojskowe pojawiły się na drogach w pobliżu Dżabir – miały monitorować przejmowanie kontroli przez syryjską armię nad przejściami granicznymi. Członkom opozycyjnej Wolnej Armii Syryjskiej dano możliwość ewakuacji do północnej części kraju, gdzie mogliby kontynuować walkę z władzą Baszara al-Asada. Ciężki sprzęt miał zostać oddany pod kontrolę armii.

Źródła zbliżone do syryjskiej opozycji informowały, że uciekinierzy z Dary, którzy chcieliby wrócić do swoich domów, mieli mieć zagwarantowaną „rosyjską ochronę”

(Jordania szybko oświadczyła, że powrót cywilów do ich domów jest dla niej priorytetem).

Niecałe dwie godziny od ogłoszenia wiadomości o porozumieniu czołg T-72 nazwany „Córka Eufratu” miał być pierwszym, który pojawił się na głównym przejściu granicznym z Jordanią.

A jak wygląda rzeczywistość? Żołnierze armii Baszara al-Asada tuż po przybyciu nad strefę buforową w Dżabir zaczęli dokładnie sprawdzać tożsamość znajdujących się tam ludzi – prawdopodobnie w celu zidentyfikowania walczących w szeregach oddziałów opozycji. Po stronie jordańskiej cywilnych pracowników strefy ewakuowano na kilometr w głąb kraju, a na samej granicy zamknięto i wzmocniono zasieki. Była obawa, że uzbrojeni członkowie opozycyjnych oddziałów spróbują przedostać się na południową stronę granicy.

Choć porozumienie wydawało się przełomowe, nikt nie był pewien, jak długo się utrzyma. O powrocie cywilów do miejscowości w prowincji Dara nikt nie mówił.

Ani Rosjanie, ani prorządowe media w Syrii nie wspominały przecież, że wielu spalono domy.

©© MARCIN ŻYŁA

Tekst ukończono 6 lipca

Meksykański zwrot

JAN SMOLEŃSKI

López Obrador startował z programem, który łączy stare hasła latynoskiej lewicy – krytykę neoliberalizmu i nierówności – z postulatami równości płci i rozliczenia „mafii władzy”. Ale czy nowy prezydent Meksyku jest w stanie go zrealizować?

WYSŁUCHAMY WSZYSTKICH, POMOŻEMY wszystkim, będziemy szanować wszystkich, ale w pierwszej kolejności najbardziej upokorzonych i zapomnianych, zwłaszcza rdzenne ludy Meksyku” – mówił do swych zwolenników, zebranych na głównym placu stolicy Meksyku, Andrés Manuel López Obrador (zwany w skrócie AMLO) po ogłoszeniu jego zwycięstwa w wyborach prezydenckich.

Wygrana lewicowego Obradora jest bezapelacyjna: zdobył ponad 50 proc. głosów, przy frekwencji ponad 60 proc. Jego główny rywal Ricardo Anaya z konserwatywnej Partii Akcji Narodowej (PAN), podejrzany o pranie brudnych pieniędzy, otrzymał mniej niż 23 proc., a José Antonio Meade z prawicowej Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej (PRI) odchodzącego w niesławie prezydenta Enrique Peña Nieto – niecałe 17 proc. Bezpartyjny Jaime Rodríguez Calderón, który obiecał wypalenie korupcji przez obcinanie rąk „tym, co kradną”, dostał 5 proc.

Tak jednoznacznego wyniku – mimo prób oszustw wyborczych i bezprecedensowej liczby zamordowanych lokalnych działaczy politycznych – nie było w Meksyku od upadku 70-letniego monopolu władzy PRI w 2000 r., gdy wybory wygrał Vicente Fox z PAN. Popierająca Obradora koalicja Razem Tworzymy Historię zdobyła też najwięcej mandatów w obu izbach parlamentu (Kongresu).

Skala wygranej daje mu mandat na głębokie reformy. Jednak AMLO nie będzie miał łatwego zadania, bo kraj jest w głębokim kryzysie.

Między biedą i kartelami

Choć Meksyk odnotowuje niewielki wzrost, nie przełożył się on na sytuację większości mieszkańców. Spośród 127 mln mieszkańców aż 55 mln żyje w biedzie, która jest szczególnie dojmująca wśród Indian na południu kraju. Do tego dochodzi strukturalny brak możliwości awansu dla młodych, ludzi zwłaszcza z dołów społecz-

nych – jeden z powodów, dla których część z nich zasila kartele narkotykowe.

Wielu Meksykanów uważa, że te problemy to efekt 30 lat neoliberalizmu – polityki deregulacji, prywatyzacji i cięć wydatków socjalnych, rozpoczętej jeszcze za prezydentury Carlosa Salinas de Gortari z PRI – oraz podpisania przez Meksyk porozumienia NAFTA z Kanadą i USA w 1994 r. Następcy Salinas z PRI i z PAN szli tą samą drogą (nawet jeśli w mniej lub bardziej otwarty sposób).

W teorii NAFTA miała wprowadzić zasady wolnego handlu między Meksykiem, Kanadą i USA. W praktyce doprowadziła do ruiny meksykańskich chłopów uprawiających kukurydzę na niewielką skalę: po zniesieniu ceł subsydiowane zboże z USA zalało rynek. Rolnicy, którzy zbankrutowali, migrowali więc do miast. Przy północnej granicy, w miejscach takich jak Juárez, rosły *maquiladoras* – fabryki produkujące tanie ubrania na rynki USA i Kanady, płacące głodowe pensje. Wraz z fabrykami rosły slumsy.

Nie bez przyczyny znany w całej Ameryce Łacińskiej protest song lat 90. pt. „Dame todo el poder”, z wiele mówiącym refrenem „Daj mi całą władzę, żebym mógł cię wydymać”, został napisany przez meksykański zespół (o specyficznej nazwie Molotov).

Tradycyjnym zaworem bezpieczeństwa gospodarki Meksyku w trudnych momentach była emigracja do USA. Ta jednak jest na najniższym od lat poziomie. Do tego dochodzą reformy energetyki i edukacji, prowadzone przez poprzednią administrację: pierwsza umożliwiająca prywatyzację państwowej firmy naftowej PEMEX, druga mająca w teorii polepszyć jakość nauczania, a w praktyce osłabić związki zawodowe. Ani jedna, ani druga nie przyniosła obiecaną poprawy.

Ale wyzwania stojące przed AMLO wykraczają poza redystrybucję dóbr i odejście od neoliberalnego modelu. Od ponad dekady kraj trawi wojną z kartelami narkotykowymi, w której zginęło już ponad 200 tys. ludzi; po kolejnych 32 tys. słuch zaginął. Tymczasem narkobiznes kwitnie. Podobnie jak korupcja, tocząca wszystkie poziomy polityki (AMLO jest jednym z niewielu polityków, wobec których nie pojawiają się oskarżenia o korupcję).

Obrador zrobił wiele, żeby wzbudzić nadzieje. Startował z programem łączącym tradycyjne hasła latynoskiej – krytykę neoliberalizmu i nierówności, →



López Obrador na spotkaniu z sympatykami. Miasto Tlapa de Comonfort, 7 czerwca 2018 r.

GUSTAVO GRAF MALDONADO / REUTERS / FORUM

→ postulaty redystrybucji dóbr i suwerenności żywnościowej – z hasłami równości płci, wielokulturowości i wieloetniczności. Obiecał też ukrócić korupcję, rozprawić się z „mafia władzy” (choć nigdy nie sprecyzował, kto do niej należy) i zwalczyć przemoc. Zapowiedział również cofnięcie niepopularnych reform.

Swoją wygraną AMLO porównał do najbardziej znaczących momentów w historii kraju: uzyskania niepodległości od Hiszpanii w 1821 r. i rewolucji z początku XX w., która zakończyła dyktaturę Porfiria Díaza.

Ale próbując spełnić pokładane w nim nadzieje, Obrador staje przed dwiema zasadniczymi trudnościami. Pierwszą będzie opór ze strony starej oligarchii i tych, którzy dotąd korzystali na skorumpowanym systemie i klientelizmie politycznym. Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna rządziła przez 70 lat także dzięki pielęgnowaniu rozlicznych „układów” polityczno-biznesowych, a one przecież nie zniknęły.

Jeszcze podczas kampanii AMLO określany był przez przeciwników jako populistą o autorytarnych skłonnościach. Elity biznesowe wrożyły scenariusz wenezuelski: rozdawnictwo, kryzys fiskalny, koniec demokracji i państwa prawa. Tyle tylko, że zarzuty te więcej mówią o stawiających je beneficjentach poprzednich rządów (i ich strachu przed zmianą status quo).

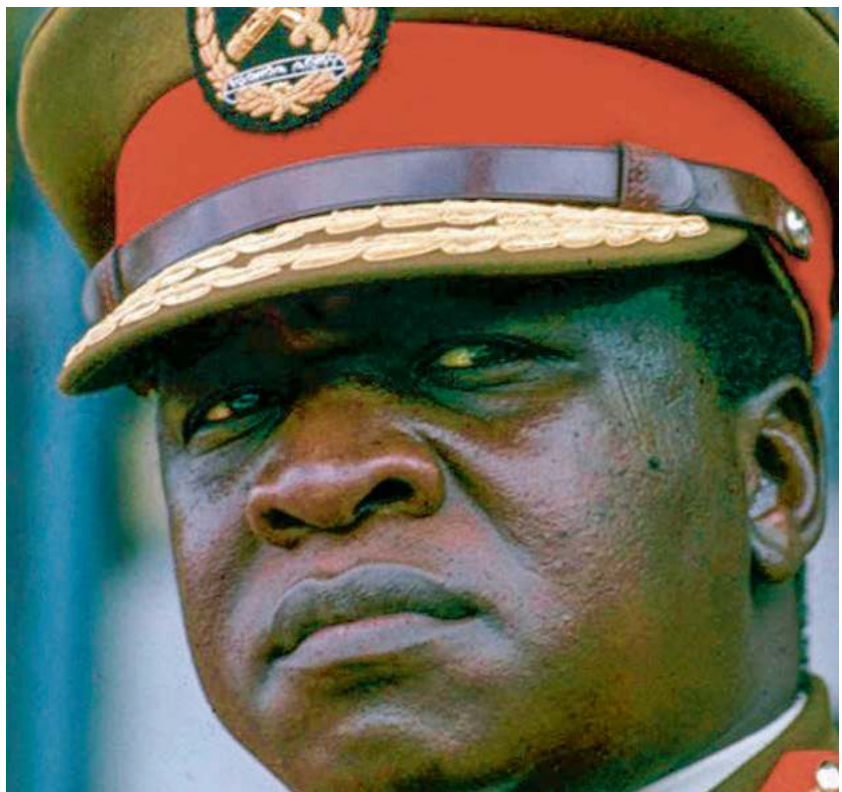
Ambicje kontra realia

Choć nie da się wykluczyć, że AMLO będzie dążył do zwiększenia swej władzy (systemy prezydenckie sprzyjają takim zakusom), to w przemówieniu po wygranej brzmiał bardzo umiarkowanie. Mówił nie tylko o pomocy biednym i ukróceniu korupcji, ale też o wolnościach politycznych, wolności gospodarczej, poszanowaniu własności prywatnej i rządów prawa.

Drugą trudnością jest różnorodność jego własnej koalicji: tworzą ją nie tylko ruchy lewicowe, ale też konserwatywni ewangelicy. Może się okazać, że instytucjonalna inercja i siła nawyku oraz niemożność zadowolenia wszystkich (nawet po swojej stronie) sprawią, że reformatorskie ambicje AMLO spełzną na niczym.

Szanse na prawdziwe demokratyczne otwarcie w Meksyku zależą w dużej mierze od tego, czy entuzjazm związany ze zwycięstwem Obradora uda się przekuć w siłę do systemowych zmian. Jeśli zastąpi go rozczarowanie i cynizm, meksykańska polityka osunie się w stare koleiny.

© JAN SMOLEŃSKI



GETTY IMAGES

Idi Amin Dada, 1976 r.

Dom grozy

WOJCIECH JAGIELSKI

Muzeum upamiętniające najmroczniejsze lata z najnowszej historii Ugandy ma powstać w stolicy kraju. Władze liczą, że przyciągnie zagranicznych turystów i da spory dochód.

MUZEUM W KAMPALI, STOLICY UGANDY, ma opowiadać o niepodległej historii tego państwa, datowanej od 1962 r., a także o czasach, gdy było ono brytyjską kolonią. Jednak główną atrakcją mają być makabryczne zbrodnie, popełnione podczas ośmioletnich rządów dyktatora Idiogo Amina (1971-79) i wojny domowej z końca XX stulecia. W wyniku wojen, pogromów, biedy i tyrańskich rządów kolejnych przywódców w drugiej połowie XX stulecia w Ugandzie mogło zginąć nawet milion ludzi.

Niepiśmienny, ale potrzebny

Choć od dawna w Ugandzie panuje pokój, kraj ten wciąż kojarzy się z dawnymi wojnami i tyraniami, które zyskały mu opinię „afrykańskich pól śmierci”. Najbardziej przyczynił się do

tego Idi Amin Dada. Żaden z tyranów, jakich wielu rządziło Afryką, nie popsuł jej opinii tak bardzo jak ten Ugandyjczyk. Na Zachodzie stał się on stereotypem afrykańskiego dyktatora, a dla wielu także dowodem na przyrodzone rzekomo temu kontynentowi barbarzyństwo. Milton Obote, którego Amin obalił, marząc o powrocie na tron w Kampali rozgłaszał, że jego następca to najstraszniejszy potwór, jaki kiedykolwiek wyszedł z łona afrykańskiej matki.

William Pike, brytyjski dziennikarz żyjący w Ugandzie i kronikarz jej współczesnej historii, przyznawał jednak, że Amina stworzył ten sam Zachód, w którym budził on potem taką grozę. „Był nam potrzebny” – powiedział mi podczas spotkania w Kampali.

Do władzy wynieśli Amina Brytyjczycy. Nie potrafił składać liter i nigdy nie udało mu się zdać egzaminu na stopień oficerski, ale nie miał sobie równych pod względem siły fizycznej, instynktu walki i okrucieństwa. Mierzył prawie dwa metry wzrostu, ważył ponad 120 kilo, świetnie grał w rugby i przez 10 lat był mistrzem Ugandy w boksie w najcięższej z wag.

Był też świetnym żołnierzem. Jako dowódca patroli uczestniczył w tłumieniu rebelii w brytyjskich koloniach: w Kenii (powstanie Mau Mau), Somalii, Ugandzie, na południu Sudanu. Dosłużył się stopnia podoficerskiego. Ale prawdziwe awanse spadły na niego dopiero, gdy Brytyjczycy uznali kolonie w Afryce za kosztowny przeżytek i postanowili je opuścić.

Tyran, ale rubaszny

Londyn żegnał się jednak z Afryką tak, aby wciąż utrzymać ją pod kontrolą. Tam, gdzie mógł, na prezydentów i premierów młodych państw wyznosił polityków im życzliwych. A tam, gdzie władzę przejmowali politycy nie tylko niepodległościowi, ale zapatrzeni w rewolucję, Brytyjczycy krępowali im ręce, awansując na pożegnaniu takich ludzi jak Amin.

W 1955 r. był ledwie sierżantem, a 10 lat później nosił już stopień pułkownika. Jako dowódca ugandyjskiego wojska miał być przeciwwagą dla lewicującego premiera, intelektualisty i pyszałka Milтона Obotego. Gdy w 1971 r. obalił go i ogłosił się prezydentem, Zachód przyjął ten zamach stanu z ulgą.

Amin natychmiast stał się ulubieńcem zachodnich dziennikarzy, którzy zjeżdżali do Kampali, by opisywać jego dziwactwa. „Uwielbiał poklask jak małe dziecko. Przyglądał się nam, próbując odgadnąć, czy robi na nas wrażenie – tak William Pike opisywał mi spotkania z Aminem. – Oburzaliśmy się na zbrodnie, które popełniał, ale też zaśmiewaliśmy się z jego wyskoków. Za to lubili go wszyscy korespondenci. Zawsze było się z czego pośmiać. Moi ugandyjscy przyjaciele prosili mnie tylko czasami, żebym nie pisał o Aminie niczego, co mogłoby go rozgniewać. Kiedy był w dobrym humorze, śpiewał i tańczył. Rozsierdzony, nie znał umiaru w ślepym okrucieństwie”.

Cudzoziemskim dziennikarzom Amin opowiadał, że jego matka była wiedźmą, a jako żołnierz jadł ludzkie mięso. Przyznał sobie order za waleczność podczas II wojny światowej (w której nie uczest-

niczył) i tytuł doktora filozofii (choć przyznawał, że nie przeczytał w życiu ani jednej książki). Proponował, by siedzibę ONZ przenieść do Kampali i chwalił Hitlera za wymordowanie Żydów. Przechwalał się, że wyzwie mistrza boksu Muhammeda Alego. „Pod warunkiem jednak, że pojedynek odbędzie w Trypolisie, mój brat Muammar Kaddafi będzie jego sędzią, ajatollah Chomeini zapowie walkę, a Jaser Arafat zgodzi się być moim sekundantem” – pękał ze śmiechu ze swoich dowcipów.

Władza pierwotna

Pike twierdził, że Amin uosabiał władzę w formie pierwotnej: nie udawał, że jest mu potrzebna, by służyć innym, lecz jedynie, aby mieć to, co się chce, i robić to, co się chce. Właśnie ten bezceremonialny stosunek do władzy miał fascynować zachodnich dziennikarzy i dyplomatów.

Zabijał zawsze. Nie dla przyjemności, ale kierując się chorobliwą podejrzliwością i instynktem przetrwania, z przekonania, że inaczej sam zginie. Wrogów pozbywał się bez wahania i skrupułów. Im dłużej rządził, tym szybciej rosła liczba jego ofiar. A na rządzeniu się nie znał: szybko doprowadził do bankructwa gospodarkę kraju, nazywanego niegdyś perłą w koronie brytyjskiego imperium.

Im gorzej miały się sprawy w państwie, tym bardziej podejrzliwy stawał się Amin. Wszędzie widział wrogów, przeciw którym posyłał swoje szwadrony śmierci. Zapanał terror, ludzie ginęli tysiącami. Poróżnił się w końcu z Zachodem, który dopiero wtedy odsunął się od Amina, głównie dlatego, że – szukając możliwych sponsorów – Ugandyjczyk wszedł w komitywę z bogatymi w petrodolary Arabami, zwłaszcza z libijskim pułkownikiem Kaddafim.

Ale nowi przyjaciele nie pomogli mu zachować władzy. Pod koniec 1978 r. wdał się w spór z Tanzanią, którą oskarżał o udzielanie schronienia ugandyjskim dysydentom. Odgrażał się, że da Tanzaniańczykom nauczkę, ale atak jego wojska został bez trudu powstrzymany, a w odwecie armia tanzańska ruszyła na Kampalę. Porzucony przez wszystkich, Amin uciekł do Libii, skąd przez Bagdad trafił do saudyjskiej Dżiddy. Tam dożył późnej starości i umarł w 2003 r.

Jądro ciemności

Już po jego śmierci podliczono, że za jego rządów mogło zginąć pół miliona ludzi

(dziś kraj ma 40 mln mieszkańców). Ale jego upadek nie zakończył niedoli Ugandyjczyków. Po siedmiu chudych latach nadeszło siedem jeszcze chudszych. Obote, który wrócił na tron, okazał się jeszcze gorszym tyranem. Wybuchła wojna domowa, zginęło kolejnych kilkaset tysięcy ludzi, więcej niż za rządów Amina.

Wojnie położyła kres dopiero wygrana partyzanckiego wojska, dowodzonego przez Yoweriego Museveniego. Obote znów uciekł z kraju, a w 1986 r. Museveni ogłosił się prezydentem. Zapewnił przy tym, że złoży władzę, gdy tylko zaprowadzi porządek. Mówił, że zajmie mu to najwyżej pięć lat. Rządzi do dziś. Wykreślił z konstytucji zapisy ograniczające prezydenckie kadencje do dwóch i wiek prezydenta do 75 lat (aby móc ubiegać się o kolejną reelekcję w 2021 r., gdy będzie obchodzić już 76. urodziny).

Pod rządami Museveniego wojna i przemoc przeniosły się na samą północ kraju, gdzie wybuchło nowe powstanie. Rebelia, początkowo wymierzona przeciw nowemu prezydentowi wywodzącemu się z południa (Amin i Obote pochodzili z północy), przerodziła się w barbarzyńską masakrę, a partyzanckie wojsko w zbrojną sektę Bożej Armii Oporu, która porywane po wsiach dzieci przemieniała w bezlitosnych zabójców. Jej przywódca Joseph Kony twierdzi, że jest mesjaszem posłanym na ziemię, by zaprowadzić boże porządki. W 2005 r. Międzynarodowy Trybunał Karny ogłosił go wojennym zbrodniarzem i rozesłał listy gończe.

Mniej więcej w tym samym czasie Boża Armia Oporu została wyparta z Ugandy. Najpierw schroniła się w Południowym Sudanie, stąd przewędrowała do Konga, by w końcu trafić do ogarniętej wojną domową Republiki Środkowoafrykańskiej. W wyniku działalności Bożej Armii mogło w Ugandzie i sąsiednich krajach zginąć ćwierć miliona ludzi.

Historia na sprzedaż

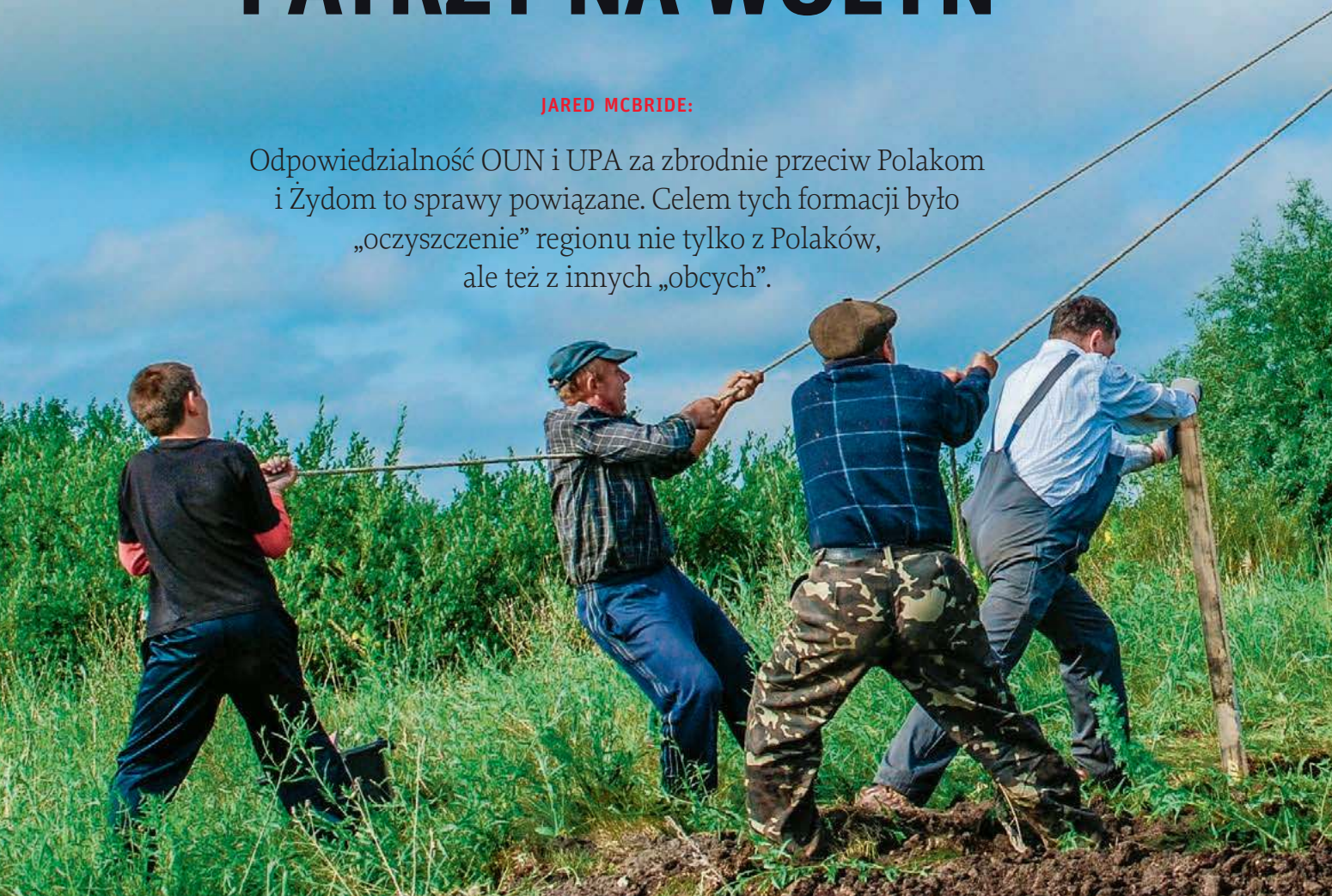
„Od przeszłości nie da się uciec, a historia jest jak dobre wino: im dawniejsza, tym posmak ma ciekawszy – mówił w rozmowie z BBC dyrektor ugandyjskiego urzędu ds. turystyki Stephen Asiimwe, pomysłodawca muzeum grozy w Kampali. – Mamy w Ugandzie wspaniałą przyrodę, parki narodowe i górskie goryle. Ale wierzymy, że dzieje naszego kraju jeszcze bardziej przyciągną do nas zagranicznych przybyszów”.

©P

AMERYKAŃSKI HISTORYK PATRZY NA WOŁYŃ

JARED MCBRIDE:

Odpowiedzialność OUN i UPA za zbrodnie przeciw Polakom i Żydom to sprawy powiązane. Celem tych formacji było „oczyszczenie” regionu nie tylko z Polaków, ale też z innych „obcych”.



WOJCIECH KONOŃCZUK: Kilka lat temu napisał Pan doktorat o konflikcie na Wołyniu w latach 1941-44. Jak to się stało, że historyk z Kalifornii podjął badania nad tematem, który wciąż jest tak mało znany poza Polską i Ukrainą?

JARED MCBRIDE: Badania nad Ukrainą Zachodnią, a nad Wołyniem w szczególności, zacząłem na początku XXI wieku, jeszcze

będąc studentem na Uniwersytecie Northeastern w Bostonie. Moja praca magisterska dotyczyła zniszczenia przez Niemców małej wsi Malin, zamieszkałej przez Czechów i Ukraińców. Od tego zaczęło się moje zainteresowanie tym regionem.

Wydarzenia na Wołyniu przez długi czas były nieobecne w powojennej historiografii zachodniej. Dlaczego?

W trakcie zimnej wojny badanie tych tematów było utrudnione ze względu na brak dostępu do archiwów i świadków. Ponadto w tamtym czasie wpływowi ukraińscy działacze nacjonalistyczni na Zachodzie często byli w stanie ideologicznie wypaczyć zachodni punkt widzenia na te wydarzenia. Diaspora ukraińska dążyła do tego, aby czystka etniczna na Wołyniu została zapomniana, ewentualnie,



Stawianie pamiątkowego krzyża w Hucie Mydzkiej (Szklanej) na Wołyniu z inicjatywy Janusza Horoszkiewicza (autora fotografii), pochodzącego z pobliskiej Huty Stepańskiej. W ciągu ostatnich ośmiu lat upamiętniono 41 miejscowości, których ludność została wymordowana przez UPA. Czerwiec 2011 r.

i zaplanowaną przez organizację polityczną przeciw ludności cywilnej”.

Jakie argumenty za tym przemawiają?

Jednym ze zbadanych przeze mnie przypadków jest region wołyńskiego Lubomla. Na tym przykładzie można prześledzić, jak kierownictwo UPA wydawało rozkazy wykonawcom średniego szczebla i jak następnie trafiały one do szeregowych członków. Szczegółowe przygotowanie wielu operacji przeciw miejscowym Polakom pokazuje ich kompleksowość. Ich rezultatu nie sposób wytłumaczyć spontaniczną przemocą. Wreszcie, zbieżność świadectw polskich ofiar i ukraińskich sprawców potwierdza, że operacje te były celowe.

Pańska interpretacja tego, co się wydarzyło na Wołyniu, jest zbieżna z tezami polskich historyków. Czy są jakieś różnice między Pana wnioskami a np. Grzegorza Motyki?

Generalnie zgadzam się z tym, jak wydarzenia na Wołyniu opisuje Motyka. Jego prace są pionierskie i pozostaje on czołowym badaczem tego tematu na świecie. Polscy historycy nieco się różnią w interpretacjach niektórych aspektów, jako przykłady można wymienić kwestię uznania Wołynia za ludobójstwo, liczbę ofiar, przyczyny tej zbrodni i motywację sprawców. Moje oceny tego ostatniego zagadnienia są trochę inne niż polskie. Pokazują, jak duża liczba Ukraińców, z których wielu prawdopodobnie nie żywiło złych zamiarów wobec swoich polskich sąsiadów, została wciągnięta w przemoc i dołączyła do sprawców wskutek różnych mechanizmów i okoliczności.

Wielu ukraińskich historyków podnosi argument, że nie jest znany żaden dokument UPA nakazujący eksterminację wołyńskich Polaków.

Przekonanie, że musi istnieć dokument będący bezpośrednim dowodem winy, który uruchomił czystkę etniczną lub nawet ludobójstwo, nie ma oparcia w literaturze na temat przemocy masowej. Gdyby było to kluczowe kryterium, to w historii XX wieku mielibyśmy niewiele, o ile w ogóle, przykładów takich zbrodni. ➔

aby przedstawiano ją jako konflikt wywołany przez Polaków.

Czy widoczny jest wzrost zainteresowania tym tematem na Zachodzie?

Znam kilku doktorantów zainteresowanych tym, aby naprawić szkody wyrządzone przez zimną wojnę i perspektywę nacjonalistyczną. To, co robią, jest obiecujące. Np. Kathryn Ciancia z Uniwersytetu

Wisconsin-Madison opublikuje wkrótce książkę na temat Wołynia w okresie międzywojennym.

W swoich pracach przekonuje Pan, że przemoc wymierzona przez OUN-UPA w Polaków na Wołyniu „nie była spontaniczną ukraińską żakerią przeciw sąsiadom, lecz skrupulatnie koordynowaną czystką etniczną, zorganizowaną

⇒ Dlaczego?

Kiedy dokonujemy oceny intencji działania jakiejś grupy lub państwa, pod uwagę należy brać całość dowodów. Trzeba również zrozumieć pewien truizm dotyczący przemocy masowej, a mianowicie, że sprawcy prawie zawsze starają się usunąć ślady swojego udziału w zbrodni. Dlatego uważam, że podnosząc argument braku rozkazu ukraińscy historycy nie działają w dobrej wierze. Nie sądzę też, aby chcieli to podejście zastosować do wydarzeń im bliskich, takich jak np. Hołodomor, gdzie przecież nie ma dokumentu będącego bezpośrednim dowodem winy.

Jak wygląda obecnie podejście historiografii ukraińskiej do zbrodni wołyńskiej?

Kilku historyków wniosło pozytywny wkład w badanie tematu, jednak sposób, w jaki jest on dzisiaj traktowany na Ukrainie, nie daje powodu do optymizmu. Znaczna część literatury przedmiotu powstaje pod wyraźnym wpływem ogromnego upolitycznienia tej kwestii przez środowiska nacjonalistyczne. Są oczywiście badacze pochodzenia ukraińskiego pracujący poza Ukrainą, którzy wykonują świetną pracę. Przykładem zwłaszcza

⇒ John-Paul Himka. Wielu z nich jest nękanymi i marginalizowanymi przez członków ukraińskiej diaspory i jej instytucje.

Przygotowując książkę o Wołyniu, korzystał Pan z archiwów polskich, ukraińskich i zachodnich. Co w tych dokumentach było największym zaskoczeniem?

Często uderzała mnie szczerść, z jaką w raportach OUN-UPA opisywano przemoc i morderstwa nie tylko przeciw Polakom, ale również przedstawicielom innych narodów, w tym samym Ukraincom. W kontekście tamtego czasu i charakteru tych organizacji nie jest to zaskakujące. Bardziej zdziwiło mnie to, jak rzadko te przykłady przemocy były przytaczane w literaturze przedmiotu na temat OUN-UPA z lat 90. i wczesnych lat XXI wieku, choć wiele dokumentów było dostępnych w archiwach. Przynajmniej w niektórych przypadkach te pominięcia musiały być celowe, co świadczy o intencjonalnym cenzurowaniu wizerunku OUN-UPA.

Co do poznania sytuacji na Wołyniu wnoszą archiwa niemieckie? Z nie-zrozumiałego dla mnie powodu ani

historycy polscy, ani ukraińscy nie korzystają ze źródeł dostępnych w Niemczech.

Z mojej kwerendy w archiwach niemieckich wynika, że Niemcy oczywiście w pełni zdawali sobie sprawę z przemocy na tle narodowościowym w tym regionie. Z chęcią ją też wykorzystywali dla własnych celów, napuszczając Ukraińców i Polaków na siebie nawzajem. Dokumenty niemieckie mogą być tak samo wiarygodne lub niewiarygodne jak każde inne źródło historyczne. Wszystko zależy od konkretnych raportów, które zawsze należy konfrontować z innymi źródłami.

Trwa akademicka i polityczna dyskusja o tym, czy zbrodnia wołyńska spełnia kryteria ludobójstwa. Jaki termin jest tu najbardziej adekwatny?

Staram się unikać terminu „ludobójstwo”. Uważam, że celem OUN-UPA było usunięcie ludności polskiej z regionu, przy celowym zastosowaniu na masową skalę zbrodni, ale nie wymordowanie wszystkich Polaków na miejscu. Niemniej możemy mówić o akcjach ludobójczych, będących częścią przeprowadzonej przez tę organizację czystki etnicznej.

Problem Ukrainy z historią

WOJCIECH KONOŃCZUK

O polsko-ukraińskich dyskusjach historycznych napisano już niemal wszystko. Ale kilka refleksji wartych jest zaakcentowania dziś, w 75. rocznicę zbrodni wołyńskiej.

STOSUNKI MIĘDZY POLAKAMI I UKRAIŃCAMI w czasie

II wojny światowej pozostają dziś najtrudniejszym problemem do rozwiązania między Warszawą i Kijowem. Zainicjowane w 2015 r. Polsko-Ukraińskie Forum Historyków zostało zawieszone przez stronę ukraińską po tym, jak w styczniu Sejm przyjął nowelizację ustawy o IPN. Ale już wcześniejsze spotkania Forum nie dawały powodów do optymizmu.

Atmosferę psuje również wprowadzony przez Kijów w kwietniu 2017 r. zakaz polskich ekshumacji na Ukrainie. Krok, który trudno wytłumaczyć inaczej niż ukraińskimi obawami, że ekshumacje potwierdzą ustalenia polskich historyków co do liczby ofiar i przebiegu zbrodni na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Impas w sprawach historii jest więc oczywisty. Choć o polsko-ukraińskich dyskusjach historycznych na-

pisano już niemal wszystko i wiele zaproponowanych diagnoz pozostaje aktualnych, to jednak kilka refleksji wydaje się wartych zaakcentowania.

„POLSKA NARZUCA SWOJĄ WIZJĘ”.

Na Ukrainie często podnoszony jest argument, jakoby Polska prowadziła agresywną politykę historyczną, z zamiarem narzucenia Ukraińcom polskiej wizji historii. Podobne opinie pojawiają się nie tylko w mediach, ale też regularnie w wypowiedziach znanych ukraińskich intelektualistów. W domyśle można wyciągnąć z nich wnioski, że wizja ukraińska jest zasadniczo inna od polskiej. Problem w tym, że o ile wśród polskich historyków istnieje konsensus co do generalnej oceny zbrodni wołyńskiej,

o tyle na Ukrainie nic podobnego nie ma miejsca. Ukraiński konsensus, który miałby być odwrotnością polskiego, po prostu nie istnieje. Za przykład niech posłuży opinia prof. Jarosława Hrycaka, jednego z najważniejszych historyków ukraińskich, który przed 2014 r. otwarcie nazywał ludobójstwem zbrodnie popełnione przez UPA na wołyńskich Polakach. W swojej ocenie nie był zresztą na Ukrainie osamotniony. Jednak po rewolucji godności, kiedy stery ukraińskiej polityki historycznej przejęli zachodnioukraińscy nacjonaliści – na czele z Wołodymyrem Wjatrowyczem, od 2014 r. szefem Ukraińskiego IPN – sytuacja się zmieniła. Zarówno Hrycak, jak też wszyscy inni, którzy myślą o Wołyniu podobnie jak on, najczęściej prze-

Czyli spory dotyczące kwalifikacji prawnej tej zbrodni są mniej ważne?

Uważam, że debata – ludobójstwo czy nie – ma znaczenie drugorzędne wobec celu, jakim jest ujawnienie prawdy historycznej o tym, co wydarzyło się na Wołyniu. Zapytałbym raczej: czy mamy większą wiedzę, nazywając Wołyń ludobójstwem, a nie czystką etniczną? Moja odpowiedź brzmi: nie. Moim celem jako historyka jest opisanie tych wydarzeń na tyle dokładnie, na ile to możliwe, bez angażowania się w debaty semantyczne. Niestety, pobudki wielu debat o ludobójstwie – i dotyczy to daleko nie tylko Wołynia – są z natury bardziej polityczne niż metodologiczne czy analityczne.

Odpowiedzialność OUN i UPA za masowe zbrodnie przeciw Polakom związana jest też z kwestią udziału tej formacji w Holokauście.

Tak, te dwa wydarzenia są pod wieloma względami powiązane. Celem OUN-UPA było „oczyszczenie” regionu nie tylko z Polaków, ale też z innych „obcych”. Ataki UPA na ukrywających się Żydów, trwające od końca 1942 r. do zimy 1944 r., są trudne do badania ze względu na brak zachowanych dokumentów. UPA nie zawsze rapor-

towała o takiej aktywności, zaś ogromna większość Żydów nie przeżyła wojny.

Na czym zatem opierają się historycy badający rolę OUN i UPA w Holokauście?

Ważnym, choć nadal słabo wykorzystywanym źródłem jest Shoah Foundation Archive, znajdujące się na Uniwersytecie Południowej Kalifornii w Los Angeles. Przechowywane są tam tysiące wywiadów z ocalałymi Żydami z Ukrainy Zachodniej, którzy wiele mówią o przemocy stosowanej przez UPA. W tych żydowskich świadectwach znaleźć można również informacje o akcjach UPA przeciw Polakom. Jak dotąd nie zostało to szerzej zauważone. Obecność w tych zeznaniach doniesień o masowych zbrodniach demonstruje różne warstwy przemocy w tym regionie. Piszę o tym w mojej książce, która niebawem się ukaze [po angielsku – red.].

Jak Pan ocenia ukraińską politykę historyczną po rewolucji na Majdanie?

Jako niepokojącą, ujmując to delikatnie. Ukraiński IPN, który w teorii powinien być placówką naukową i neutralną politycznie, został zawłaszczony przez radykalnie prawicowe, pseudonaukowe Centrum

Badań Ruchu Wyzwoleńczego, założone przez nacjonalistę Wołodymyra Wjatrowycza. Głównym celem Ukraińskiego IPN, na czele którego stanął po Majdanie Wjatrowycz, jest gloryfikowanie wszystkich elementów ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego w XX wieku. Jedną z tzw. ustaw dekomunizacyjnych, przygotowanych z pomocą UIPN, zawiera punkt zakazujący lekceważącego stosunku do ukraińskiego ruchu niepodległościowego, w tym UPA. W demokratycznym społeczeństwie nie powinno być miejsca na podobne zapisy prawne. Po rewolucji na Majdanie Ukraina podejmuje wysiłek na rzecz integracji z Unią Europejską, a w tym samym czasie Ukraiński IPN czci członków organizacji nacjonalistycznych o tendencjach faszystowskich, którzy w Europie Zachodniej już dawno zostali potępieni.

To jeden z wielu ukraińskich paradoksów.

To swoista ironia, którą ignorują ukraiński rząd, niemal wszystkie ukraińskie media i większość elit akademickich i intelektualnych. W bogatej historii Ukrainy można znaleźć wiele postaci łączących, a nie dzielących. Tym bardziej jest smutne, że polityka historyczna jest narzucana →

stali publicznie komentować ten temat. Pole dla krytycznej historiografii na Ukrainie bardzo się zawężyło. Ton w sferze publicznej – w tym mediach i szkolnictwie – narzuca wizja propagowana od lat przez Wjatrowycza, wspieranego m.in. przez Iwana Patrylaka, dziekana wydziału historii Uniwersytetu Kijowskiego. Zgodnie z ich interpretacją na Wołyniu i w Galicji Wschodniej miała miejsce wojna polsko-ukraińska, której niejako efektem ubocznym i niezamierzonym były także ofiary cywilne, zaś winy obu stron są tu dość symetryczne.

POTRZEBA KRYTYCZNEJ

HISTORII. Jeśli Polska rzeczywiście czegoś oczekuje dziś od Ukrainy, to przede wszystkim tego, że pojawi się atmosfera

do krytycznego podejścia do własnej przeszłości i usuwania białych plam, w których Wołyń zajmuje jedno z czołowych miejsc. Jak do tej pory, ci nieliczni ukraińscy badacze, którzy mają odmiennie zdanie niż oficjalna wykładnia, nierzadko są szykanowani. Zatem otwarcie się Ukraińców na krytyczny nurt w opisie własnych dziejów w naturalny sposób wpłynie na zmianę obecnej linii, która głosi, że o narodowych dziejach dobrze lub wcale. A przecież poza zbrodnią wołyńską jest jeszcze choćby kwestia roli Ukraińców (w tym także OUN) w Holokauście. Jest oczywiste, że żadnej rzeckomej „polskiej wizji historii” nikt nie chce Ukrainie narzucić, ani nawet nie byłoby to możliwe. Rewizja obecnej

wykładni oficjalnej, reprezentowanej przez Wjatrowycza, musi być przede wszystkim wynikiem dyskusji ukraińsko-ukraińskich. W oczekiwaniu na krytyczną historiografię ukraińską warto sprzyjać umiędzynarodowieniu tematu Wołynia. Wprawdzie grono historyków nie-Polaków i nie-Ukraińców, którzy badają ten temat, stopniowo się zwiększa, ale nadal pozostaje wąskie. Polska powinna robić więcej, aby do takich badań zachęcać. Na początek warto przetłumaczyć – wreszcie! – na angielski książki prof. Grzegorza Motyki, najważniejszego polskiego badacza zbrodni wołyńskiej. Krytyczny namysł nad ciemnymi stronami własnej historii nigdy nie jest łatwy – jak pokazują choćby polskie

doświadczenia. Ukrainie można więc życzyć, aby do takich dyskusji dojrzała. Na pewno będzie to z pożytkiem dla stosunków polsko-ukraińskich. Nawet jeśli dzisiaj trudno to sobie wyobrazić. W opisie obecnej rzeczywistości raczej ma niestety Grzegorz Rossoliński-Liebe z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie, autor pierwszej naukowej biografii Stepana Bandery. W niedawnym wywiadzie dla „Newsweek Historia” celnie zauważył, że historia przemocy popełnionej przez UPA „negowana jest nie tylko przez ukraińskich nacjonalistów. Neguje ją również liberalna ukraińska inteligencja, otwarta na świat, doskonale znająca Zachód”. I chyba tu tkwi największy problem. ©

→ przez grupę nacjonalistów, którzy za znakomitość uznają kogoś takiego jak Roman Szuchewycz [naczelný dowódca UPA, a wcześniej oficer ukraińskich formacji w służbie niemieckiej, które brały udział m.in. w mordowaniu Żydów – red.].

Po 2015 r. polityka Polski wobec Ukrainy w sprawach historycznych stała się bardziej asertywna. Symbolem tego jest uchwała Sejmu o ludobójstwie na Wołyniu.

Ta uchwała może być postrzegana jako podejście „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie” w odniesieniu do kwestii historycznych. Szczególnie jest to widoczne w ciągu ostatniego roku, co jest zresztą destrukcyjne dla szerszego wymiaru relacji między oboma państwami. Uważam jednak, że to strona ukraińska doprowadziła do eskalacji obecnego sporu przyjmując ustawy, o których wspominałem. Jeśli integracja europejska jest najważniejszym celem Ukrainy, to naprawdę trudno zrozumieć, dlaczego prezydent Poroszenko i rząd tolerują działania zaczepne, inicjowane przez Ukraiński IPN. Jakie są zyski z eskalacji wrogości z Polską, ważnym sąsiadem? Inna sprawa, że historyczne sprzeczki odwracają uwagę od wielu pozytywnych elementów w stosunkach polsko-ukraińskich.

Jest jakieś rozwiązanie impasu w polsko-ukraińskich dyskusjach?

Unikałbym słowa „rozwiązanie” w odniesieniu do spraw historycznych. Historiografia jest tworem żywym, płynnym, podlegającym nieustannej zmianie, bez określonego z góry punktu docelowego. Z czasem nowe pokolenia historyków przewartościują prace napisane w przeszłości, dodadzą nowe dowody i w razie potrzeby zanegują wcześniejsze opinie. Gdyby natomiast mówić o celach do osiągnięcia, nie zaś o możliwych rozwiązaniach, to powinniśmy kontynuować badania historyczne nad tymi wydarzeniami zgodnie z zasadami i standardami przyjętymi w naukach historycznych – recenzje, wolność akademickiej wypowiedzi etc. – oraz odchodzić od prac głęboko upolitycznionych, nienaukowych.

Czy jest szansa, że w przyszłości polscy i ukraińscy historycy znajdą porozumienie co do interpretacji wydarzeń z lat 1943–44?

Myślę, że to Polacy i Ukraińcy zdecydują, co będzie najlepsze. Pamiętajmy, że



ARCH. JAREDA MCBRIDE'A

JARED MCBRIDE:

Pokazywałem moim studentom „Pokłosie”, opowiadałem o polskim dyskursie rozliczeniowym. Na Ukrainie podobna dyskusja nigdy się nie odbyła.

jeszcze w latach 90. odbyła się seria polsko-ukraińskich konferencji, których rezultatem było kilka tomów „Trudnych pytań”. Większość ukraińskich badaczy pozostało opornych na argumenty, że OUN-UPA przeprowadziła celową kampanię przeciw Polakom. Nie ma sensu podejmowanie próby wypracowania porozumienia za wszelką cenę. Takie „kompromisy” zwykle nie działają, lecz raczej paralizują możliwość prawdziwego postępu.

Co zatem można zrobić?

Na początek należy odrzucić stosowanie – co jest powszechne na Ukrainie – uprzejmego eufemizmu „tragedia wołyńska”, gdy mówimy o celowej i motywowanej politycznie masowej przemocy. Kluczowe jest zagwarantowanie, że rozwój badań naukowych w przypadku tematu tak trudnego jak Wołyń nie będzie zakładnikiem polityki zagranicznej. Nie powinien też być dyktowany przez „menadżerów ds. polityki historycznej”. Naczelny cel powinno być kultywowanie wolności akademickiej bez jakiegokolwiek presji politycznej.

Czy prace zachodnich historyków mogą przysłużyć się w rozwiązaniu polsko-ukraińskich sporów o to, co się wydarzyło na Wołyniu?

Pomimo wrażliwości i skrupulatności obecnej w pracach badaczy z Zachodu, często są oni określani na Ukrainie jako „orientaliści” czy nawet „imperialiści”, a ich prace nierzadko są oczerniane. Np. Tarek Cyril Amar, historyk z Uniwersytetu

Columbia, który spędził wiele lat mieszkając i pracując na Ukrainie, został zaatakowany przez badaczy ukraińskich po publikacji swojej najnowszej książki o powojennym Lwowie. Historii czystki etnicznej na Wołyniu, Hołodomoru czy innych okropności XX wieku nie powinno się zamykać wyłącznie w kręgu historii „narodowej”, która – według jej zwolenników – może być pisana i rozumiana wyłącznie przez przedstawicieli danego narodu.

Czyli umiędzynarodowienie badań jest niezbędne?

Perspektywa międzynarodowa może wiele wnieść do zgłębnienia tych tematów, zwłaszcza masowych zbrodni. Im bardziej włączające, a nie wykluczające będą badania historyczne, tym większa będzie nasza wiedza.

Gdyby był Pan doradcą rządu polskiego, co by Pan zalecał w sprawach procesu pojednania z Ukrainą?

Przede wszystkim zachęcałbym – mimo sporów historycznych – do dalszego wspierania Ukrainy politycznie, ekonomicznie i w sferze kultury. Ważne jest również, aby Polska dawała dobry przykład. Do niedawna byliście postrzegani jako wzór, może nie idealny, ale pozytywny na tle regionu. Debata o przeszłości, wywołana przez „Sąsiadów” Grossa, wraz z szeregiem innych kontrowersji szeroko dyskutowanych w polskich mediach i przez badaczy, zademonstrowała godną podziwu gotowość do zmierzenia się z trudnymi tematami. Pokazywałem moim studentom „Pokłosie”, podkreślając, że tak kontrowersyjny film został zrobiony przez Polaków, co mówi wiele pozytywnego o polskim dyskursie rozliczeniowym. Na Ukrainie podobna dyskusja nigdy się nie odbyła. Teraz w związku z różnymi działaniami polskiego rządu i w kontekście sporów o ustawę o IPN obawiam się, że Polska jest – niestety – zagrożona utratą, przynajmniej na razie, swojego dotychczasowego autorytetu w regionie. ©

Rozmawiał WOJCIECH KONOŃCZUK

JARED MCBRIDE (ur. 1981) jest amerykańskim historykiem, wykładowcą na Uniwersytecie Kalifornii w Los Angeles. Specjalizuje się w XX-wiecznej historii Europy Wschodniej. Wkrótce ukaże się jego książka „Webs of Violence: Occupation, Revolution, and Terror in Western Ukraine, 1941–1944” (Sieci przemocy: okupacja, rewolucja i terror na zachodniej Ukrainie w latach 1941–1944).

ANDRZEJ

Stasiuk:

Paraska



BELGIA WYGLĄDAŁA JAK BYTOM POMIESZANY z Rumunią. Familoki z czerwonej cegły i trochę zielonych wzgórz, familoki i znowu wzgórz, i tak w kółko. Krowy pasły się tu i ówdzie. Zwierzęta w nowym kraju zawsze poprawiają humor. Że nie tylko obcokra-

jowcy, ale też bydła, dla których wszyscy jesteśmy po prostu ludźmi. Pasły się nawet przy wielkich stacjach benzynowych. Czarno-białe, spokojne, odwracały się zadami do limuzyn i podnosiły ogony.

Belgowie sikali pod rachitycznymi drzewkami. Praktyczny naród. 70 eurocentów piechotą nie chodziło. W barach pachniało ciężkim jedzeniem. Wszyscy na talerzach mieli góry wielkich frytek. Przypominali „Jedzących kartofle” van Gogha. Tyle że frytki i wszystko wokół w bądziwnych, pikuśnych kolorach. Ale twarze te same. Tak samo udręczone, ale już nie nędzą, tylko dostatkiem. Belgowie. A może Walonowie. Nie miałem wprawy w odróżnianiu. Tak wyglądała Belgia. Przynajmniej ta, do której zawiodła mnie moja nawigacja. Kupiłem ją parę lat temu na Syberii po tym, jak przez pół dnia próbowałem się wydostać z Nowosybirsk w stronę Barnaui. W Ulan-Ude spisywała się dobrze, w Belgii była nieco zdezorientowana. Doskonale ją rozumiałem. Że jestem we Francji, poznałem po tym, że skończyły się latarnie wzdłuż autostrady i zaczęły bramki poboru opłat.

Cóż tu rzec o Francji... Zabłądziłem na rozjazdach pod Valenciennes. Syberyjski GPS panicznie kwestionował własne decyzje. Zwiedziłem miasto. Drogowskazy były na Paryż. Za nic w świecie nie chciałem znaleźć się w Paryżu. Przez lata wszyscy mnie pytali, czy byłem w Paryżu, mówili, że powinienem pojechać do Paryża, że bez Paryża to w ogóle nic nie ma sensu. A ja nie i nie, bo co miałbym niby tam robić? Zwłaszcza z tą syberyjską nawigacją. Teraz jednak zaryzykowałem i pojechałem kawałek w tamtą stronę, żeby się przekonać, że w jakiejś dziurze, w szczerym polu da się skrócić, porzucić niebezpieczny paryski trakt i pojechać prosto na zachód. Stałem, wyjąłem mapę i nauczyłem się na pamięć numerów autostrad i nazw tych wszystkich słynnych miast po drodze: Amiens, Rouen, Havre, Caen i tak dalej. Paraskę (tak dałem na imię mojej przewodniczce jeszcze na Sybirze) wyłączyłem, żeby się zrelaksowała. Pikardia zaraz się skończyła i zaczęła Normandia. Zielone pagórki w złotym świetle późnego dnia. Szpalery topól, zagajniki, długie cienie popołudnia. Podobało mi się. Wyobrażałem sobie przemieszane kości hitlerowców i aliantów zalegające pod ziemią. Znowu krowy. Pasły się spokojnie na pobożewiskach. Jadły trawę, w którą weszły wewnątrz, kości i krew zabitych. Odpoczywały, przeżuwały, ułożone na ziemi, pod którą leżały szkielety, czaszki, pischcele, resztki. Nie dało się przecież zebrać i pogrzebać wszystkich. Rozerwanych, spalo-

nych, unicestwionych, zamienionych w popiół, w pierwiastki, w parę wodną. Nieśmiertelniki, rdzewiejąca broń, łuski, zatrzymane zegarki. Ale krajobraz zrósł się bez śladu. Na zielonej skórze Normandii nie było widać blizn. Ciało Francji wciąż było piękne. Przeciągało się leniwie w niskim blasku popołudnia. A ja rozmyślałem o trupach zgodnie z duchem stron, z których przybywałem. Patrzyłem z podziwem na kraj, który potrafił wychodzić bez szwanku, podczas gdy mój, ile by zaznał spokoju, to i tak przypominał Frankensteina. Albo ilustrację z atlasu anatomicznego.

Przypomniał mi się Andrzej Bobkowski i jego miłość do Francji, jego „Szkice piórkiem”. Gdy jechał rowerem opalony, żylasty i szczęśliwy. Żywił się oliwkami, serem, winem i układał dzień po dniu wypełnioną zachwytem opowieść. Całe dnie w słońcu, w upale, wśród białych murów rzucających chłodne cienie. Te same mury, te same cienie od dwustu, od trzystu i pięciuset lat. Europa płonęła, mury obracały się w gruzi i zgłiszczą, a miasta płonęły jak obozowiska z drewna, trzciny, płacht i skór. A on zasypiał w zapachu lawendy, słuchał śpiewu cykad i wyobrażał sobie skwierczący ludzki tłuszcz w piwnicach wypełnionych ogniem. Lecz nie mógł przestać kochać Francji.

Stałem na stacji, żeby napić się kawy i kupić kilka kanapek. Tych trójkątnych, w plastikowych pojemnikach. Nie znam bardziej syfiskiego jedzenia, ale ludzie z jakiegoś powodu to kupują i zjadają. Ja też, i sprawia mi to przyjemność, gdy długie godziny jadę samochodem. I nie jest prawdą, że na całym świecie smakują tak samo. Francuskie były bez wyrazu. Najlepsze są na Węgrzech. Ociekają dresingiem. I smakują wyłącznie wzmacniającami smaku. Ale stacje mieli tu lepsze niż na Węgrzech. Lepsze nawet niż w Niemczech. Wystarczyło odjechać od dystrybutora i zaczynał się ni to park, ni to zagajnik. Żywopłoty, drzewa, nawet pokrzywy rosły. Można było stanąć w cieniu. Autostrada mruczała nisko, oddzielona gęstą zielenią. Bardzo ludzkie to było w nieludzkim świecie szybkiego, bezkolizyjnego ruchu. Jak stara, zielona wyspa w dieslowo-benzynowym nurcie. Jak sequel albo remake „Śniadania na trawie”.

A potem Havre i port widziane z oddali. Z mostu, który był cienki jak struna i wznosił się nad rozlewiskami Sekwany niczym podniebny łuk. Widziałem go z odległości wielu kilometrów. Był jak promień światła, jak srebrna nić. Jak wjechać na coś takiego? Przecież niepodobna. Jakiś ognisty rydwan trzeba by mieć, jakiś wóz Heliosa, a nie dwulitrowego TDI. Onieśmielał. Rozpięty nad bagnami, nad płyciznami, nad płowym piachem łąch, nad masą słodkich wód toczących się w stronę morskich otchłani i nad transoceanicznymi statkami, które wchodziły do portu. Pół godziny wcześniej zadzwoniłem do kolegi, a on zapytał, gdzie jestem. Odpowiedziałem, że niedaleko Rouen, na co on, że muszę katedrę zobaczyć, a ja, że „niedaleko” znaczy na jakiejś obwodnicy, katedry żadnej nie widać, tylko bramki z mytem, na co on znowu, że jak to tak Rouen bez katedry...

No to go pocieszyłem, że kiedyś obraz widziałem, więc mam dwa w jednym: impresjonizm i średniowiecze. I teraz ten most, Most Normandzki, był jak najlepsza katedra. Świetlisty i lekki jak powietrze złotego popołudnia. Jakby zaczynał i kończył się w nieskończoności, cud ducha i materii zarazem. Niczym zjawy był, niczym wizja. Ale białe-czerwone barierki przy wjeździe unosiły się i opadały w miarę, jak kolejni użytkownicy wkładali do automatu karty albo banknoty, i ucieszyłem się, że to nie sen, tylko piękna rzeczywistość. ©

Piękny jak polityk

KASPER KALINOWSKI

Wyborów politycznych w dużej mierze dokonujemy na oko. Dostównie: ewolucyjne dziedzictwo sprawia, że oceniamy kandydatów po wyglądzie.

LUDZIE SĄ ZASKAKUJĄCO ZGODNI W OCENACH tego, co piękne, a co odpychające. Niezależnie od kultury wstręt budzą w nas ropiejące rany, a twarz dziecka kojarzymy pozytywnie. Psycholodzy ewolucyjni widzą w tym ślad działania doboru naturalnego – nawet w XXI wieku za atrakcyjne uznajemy te cechy, które w toku ewolucji świadczyły np. o jakości genetycznej czy o stanie zdrowia potencjalnego partnera oraz służyły budowaniu więzi.

Wpływ atrakcyjności na nasze życie rozpoczyna się zaraz po narodzinach. Z obserwacji Judith Langlois wynika, że matki atrakcyjniejszych niemowląt były w stosunku do nich bardziej czułe. Fizycznie atrakcyjni pozostają uprzywilejowani przez resztę życia. Nie tylko zarabiają więcej za tę samą pracę czy dostają niższe wyroki w sądzie, ale też automatycznie przypisujemy im pozytywne cechy.

Kandydat z ludzką twarzą

Jak udowodniła m.in. Leslie A. Zebrowitz, robią tak nawet nieznajomi. Trudno sobie wyobrazić, że Monica Bellucci zakładając rajstopy w scenie filmu „Malena” może nie być troskliwą, sympatyczną, idealną kandydatką na partnerkę.

To powszechne zniekształcenie poznawcze, zwane efektem halo, dobrze znają psychologowie społeczni. Pierwsze cechy, jakie spostrzegamy u nowo poznanej osoby – a z reguły to właśnie wygląd fizyczny – determinują to, jak postrzegamy ją później.

Jeśli urodziliśmy się Monicą Bellucci lub Bradem Pittem, w wyścigu o sukces w ży-

ciu startujemy z połowy bieżni. Nie tylko w branży filmowej. Także w polityce.

Już w 1974 r. Michael G. Efran i J.W. Peterson zauważyli, że przystojniejsi kandydaci politycy zdobywali więcej głosów. Zależność tę potwierdzono później w Europie, USA, Australii i Brazylii.

Szczególnie wart odnotowania jest eksperyment Charlesa C. Ballewa II i Alexandra Todorova. Badanym pokazywano twarze zwycięzców i przegranych w wyścigu o fotel gubernatora lub senatora – przez 100 milisekund, 250 milisekund oraz bez limitu czasowego. Później proszono o ocenę, która z osób jest bardziej kompetentna. Zarówno przy krótkiej, jak i nieograniczonej ekspozycji za bardziej kompetentnych polityków uznawano tych zwycięskich (68,6 proc. w przypadku wyborów gubernatorskich i aż 72,4 proc. w przypadku senatorskich). Gdyby nie istniała zależność między urodą a sukcesem wyborczym, głosy powinny się rozkładać po równo. Autorzy twierdzą, że pozaświadome, szybkie procesy oceny czyichś kompetencji na podstawie twarzy wpływają na wynik wyborów. Odnosząc się do tych badań, Panu Poutvaara z zespołem wykazał, że im więcej cech dziecięcych ma twarz polityka, tym niżej oceniana jest jego kompetencja.

Konserwatywne oblicze

To, że twarz ma znaczenie w polityce, nie powinno dziwić. To z niej odczytujemy przecież czyjeś emocje i nastawienie. Co ciekawe, jeśli wizerunek danej osoby bardziej eksponuje jej twarz względem całej

sylwetki, ludzie mają skłonność do oceny jej jako inteligentniejszej, ambitniejszej i bardziej dominującej. Niektórzy badacze, jak Miron Zuckerman, są nawet zdania, że prezentując mężczyzn oraz przedstawicieli rasowej większości w danej kulturze, bardziej eksponuje się ich twarz. Zjawisko to określają mianem „twarzizmu” (ang. *face-ism*). Być może to wyjaśnia, dlaczego Sara Konrath i Norbert Schwarz, analizując portrety polityków z oficjalnych witryn rządowych z Kanady, Australii i Norwegii, zauważyli, że zawierają zdecydowanie więcej twarzy w przypadku mężczyzn niż kobiet.

Nie tylko zresztą atrakcyjność samych polityków pozwala przewidywać decyzje podejmowane przy urnie. W grę może wchodzić także atrakcyjność... wyborców. Jak dowiedli Rolfe Daus Peterson i Carl Palmer, osoby atrakcyjniejsze częściej identyfikują się z ideologią konserwatywną – w przypadku USA głosują na Republikanów. Może to wyjaśniać fakt, że – jak wykazały liczne badania – ludzie atrakcyjni zarabiają więcej, a ci, którzy zarabiają więcej, są też zazwyczaj przeciwni redystrybucji dóbr czy podatkowym projektom lewicy. W dodatku, jeśli sami uważamy się za atrakcyjnych, bardziej się godzimy ze społecznymi nierównościami.

Wzrost nie tylko słupków

To, ile mierzy kandydat, też odgrywa ważną rolę w ocenie atrakcyjności. Np. polscy antropolodzy Bogusław Pawłowski i Sławomir Kozieł wykazali, że wysocy mężczyźni mają większe szanse na odpowiedź na swoje ogłoszenie matrymonialne. Zapewne więc i w polityce wzrost odgrywać będzie istotną rolę.

Gdy Gregg Murray i J. David Schmitz poprosili studentów z różnych kultur



VINCENZO PINTO / EAST NEWS

o narysowanie idealnego przywódcy narodu oraz typowego obywatela, dwukrotnie więcej rysowało lidera jako wyższego niż typowy obywatel. Wzrost kojarzy się z dominacją – jak ustalił Gert Stulp, osoby wyższe są bardziej dominujące w sytuacjach wymagających ustąpienia, jak wąskie przejście czy zatłoczona alejka w centrum handlowym.

Trudno znaleźć fotografie, na których mierzący 165 cm wzrostu (sam utrzymuje, że ma 171 cm) Silvio Berlusconi rozmawia z wyższymi politykami jak równy z równym. W 2008 r. podczas wiecu w Rzymie grzmiał: „Jestem wyższy od prezydenta Rosji Władimira Putina i od byłego premiera Hiszpanii José Marí Aznara, mam 171 cm jak premier Włoch Romano Prodi, ale dla lewicowej prasy wciąż jestem karłem”.

Wzrost kojarzy się też w sposób oczywisty z siłą – to przecież jedno z ważniejszych kryteriów doboru w armiach całego świata. Jak wykazał antropolog Daniel M.T. Fessler, osobę oceniamy jako fizycznie wyższą, jeśli jesteśmy przekonani o tym, że posiada ona broń palną lub nóż. Do tego w sytuacji konfrontacji wysocy mężczyźni są bardziej dominujący i pewni siebie. A to już cechy bardzo pożądane u polityka – pomyślmy tylko o zdjęciach Władimira Putina rzucającego rywalami podczas treningów judo czy polującego na niedźwiedzie...

Wzrost faktycznie wydaje się pomocny w wyborach prezydenckich w USA. Nie wystarczy jednak, jak głosi popularny mit, być po prostu wyższym od przeciwnika. Przyszły prezydent USA był za każdym

razem wyższy niż średnia wzrostu mężczyzn w jego generacji (przeciętnie o 7 cm, wyżsi byli również kandydaci przegrani). Ostatnim wybranym na prezydenta politykiem niższym niż średnia wzrostu w populacji był William McKinley, zwycięzca wyborów w... 1896 r. Po analizie wielu badań Gert Stulp i jego współpracownicy zauważyli, że kandydaci wyżsi nie wygrywali za każdym razem – wynika to ze specyfiki systemu wyborczego USA: mimo że otrzymywali więcej głosów powszechnych, to otrzymywali mniej głosów elektorckich. Kandydaci wyżsi mieli za to zdecydowanie większe szanse na reelekcję.

Oddaj na mnie głos

Wyobraźmy sobie teraz prezydenta, który ma problemy z gospodarką hormonalną i w obliczu wojny w orędziu zwraca się do narodu falsetem. Albo Vita Corleone z „Ojca chrzestnego”, który składa „propozycję nie do odrzucenia” głosem niemal kobiecym. Trudne, prawda?

Głos niesie wiele treści pozasemantycznych. Na jego podstawie możemy oszacować atrakcyjność, symetrię, niektóre cechy osobowości, wiek, wagę oraz próby oszukania drugiej osoby przez mówiącego. Mężczyźni dominujący mają tenden-

cję do obniżania głosu, zwłaszcza w konfrontacji z mężczyzną ocenianym jako słabszy fizycznie. Ci o niskim głosie są też oceniani jako bardziej atrakcyjni.

Co ciekawe, niski głos preferują też wyborcy zarówno u polityków płci męskiej, jak i żeńskiej. Wysoki głos, w innych warunkach uznawany za bardzo atrakcyjny, nie sprawdza się w polityce.

W wyborach politycznych odbija się echem nasze ewolucyjne dziedzictwo. Oprócz wielu pozamerytorycznych czynników powiązanych z atrakcyjnością fizyczną liczy się też mowa ciała czy ubiór kandydata. A w przypadku kobiet – nawet faza cyklu owulacyjnego: setki badań odnotowały uwarunkowaną ewolucyjnie zmianę preferencji kobiet w tym czasie. Wybierały one m.in. mężczyzn o bardziej zmaskulinizowanych twarzach i sylwetce, obniżonych głosach, bardziej dominujących itd. Jak ustalił zespół Kristiny Durante na przykładzie wyborczej rywalizacji Baracka Obamy z Mittem Romneyem, w dniach płodnych kobiety, które nie posiadają stałego partnera, częściej głosują na kandydatów liberałów, zaś kobiety pozostające w związkach – na kandydatów konserwatystów.

Karolowi Darwinowi, który w poglądach politycznych był pod wieloma względami typowym przedstawicielem epoki wiktoriańskiej, pewnie nawet się nie śniło, że odkryty przezeń mechanizm pozwoli rzucić światło na wybory polityczne. ©

Od lewej: Silvio Berlusconi, Nicolas Sarkozy, Dmitrij Miedwiediew, Barack Obama i sekretarz generalny ONZ Ban Ki-moon. Szczyt G8, L'Aquila, 10 lipca 2009 r.



POŻEGNANIE



Irena Szewińska, lata 70.

wy, biegnie nierówno, walczy do końca, ale dlatego, że chwilami odstaje i musi powracać do zmagania. Tymczasem w jej ruchach nie było zawahania, zdawała się monolitem odpornym na wszelkie okoliczności.

Rzekłbym nawet, że odpornym na nią samą; odnieść można było wrażenie, że jej ciało galopuje na setkę czy dwusetkę, później na czterystkę, samoistnie, trochę jak wyćwiczony koń bez jeźdźcy. Nie wiem, czy można mówić o bieganiu stylowym; była w niej moc, która w ogóle zawieszala taką kwestię, geniusze nie mają stylu.

Domorosły geniusz

Nawet kiedy mówiła coś do mikrofonu – wtedy, czy już później, jako działaczka – jej słowa, niełatwo, nieatrakcyjnie wypowiedziane, wyglądały na doklejone do ciała, powstałe w wyniku dodatkowej, wymuszonej konieczności. Jeden z jej dawnych kolegów klubowych, opowiadając mi dzisiaj, że nie lubiła w sporcie partactwa, cwaniactwa, i że zarazem była skuteczna w załatwianiu różnych spraw i dobrze czytała rzeczywistość, dorzucił to jeszcze: „Irena była z wyższej atmosfery”. Ale domyślam się, że nie chodziło mu w żadnym razie o zadzieranie nosa, absolutnie, raczej o szczególną osobność. Nie samotność, lecz dystans; nie zapatrzenie się w siebie, lecz wsłuchanie się we własną odrębność. Stąd i to wrażenie, że Irena Szewińska biegła sobie a gwiazdom, sobie a własnemu niebu, mimo tego, że była największą chlubą naszej lekkoatletyki, bez wątplenia polskim sportowcem wszech czasów, pewnością wszystkich pewności.

To oczywiście tylko impresje kibica, wzmocnione teraz dodatkowo mundialową klęską. Przy niej można było być właśnie – pewnym: że pobiegnie równo od początku do końca, że zwycięstwo leży pod nosem, że idzie się po nie jak po swoje, jak po siedem kolejnych medali – jeden z największych światowych rekordów – na czterech kolejnych igrzyskach olimpijskich.

Swoją wielkość osiągnęła w najlepszych latach polskiego sportu, 1960-76. Liczby nie mylą, było im wciąż blisko do czasów przedwojennych. Nasi rodzice pamiętali Walasiewiczówną, lata 60. to był wciąż okres – z dzisiejszego punktu widzenia – sportowego etosu, czyli sportu domorosłego, do którego jeszcze nie całkiem zdążyła wkroczyć technologia i gdzie jeszcze o powodzeniu sportowców decydował bar-

Przemytniczka na Księżyc

MAREK BIEŃCZYK

29 czerwca zmarła Irena Kirszenstein-Szewińska. Najwybitniejsza polska lekkoatletka. Miała 72 lata, wiele rekordów świata na koncie i potężną kolekcję medali z najważniejszych imprez sportowych.

NAWET KIEDY, RZADKO, PRZEGRYWAŁA (o ułamek sekundy, o parę centymetrów), z jej kroków i rozbiegów biła pewność. Piszę „pewność”, ale szukam – skutecznie – jeszcze innego, lepszego rze-

czownika. Nie da się powiedzieć „automatyzm” ani „beztroska”, ani „łatwość”, ani „bezwiedność”; z każdego trzeba by pobrać jakąś cząstkę. Nie pasuje też całkiem „nieustępliwość”; ten, kto jest nieustępli-

dziej osobiście, bez rozrośniętego sztabu specjalistów. Okres, kiedy, *nota bene*, nie mógłby się przydarzyć ostatni kwadrans (a tak po prawdzie to więcej) meczu Polska-Japonia, którego skandalem nie była sama imitacja gry, lecz niezrozumienie, że taka imitacja może się jeszcze komuś w ogóle wydać skandalem.

Lekkoatletyka zapępiała wówczas stadyon po brzegi; warto sięgnąć po „Kroniki sportowe” Adolfa Rudnickiego, by zrozumieć powojenny status tej dyscypliny. Potrzebę – bez względu na ówczesny polityczny wymiar sportu – jej energii, jej rekordów, kompensujących z dokładnością do jednej dziesiątej sekundy powojenne niewymierzalne traumy. Jej, jak by tu rzec, mocnego kontaktu z życiem, który pozwalał Stanisławowi Dygatowi i innym czynić ze sportowców bohaterów powieściowych. I jej siły poetyckiej, czerpanej, jak u Rudnickiego, wciąż z przedwojennego zasobu wyobrażeń: „Nieco dalej dziewczyna wyluskuje się z dresu i pozostaje biała jak promień. Przyciąga oczy, jak wezbrana woda, jak lalka w kącie dziecinnego wózka. Zaczyna podskakiwać, próbuje nóg jak skrzypek strun. Za chwilę będzie tylko na nie zdana, jak przemytnik na księżyc w ciemnym lesie”.

„Nieżył z ciebie Kirszenstein”

We wspomnieniach pośmiertnych o Irenie Szewińskiej będzie się pojawiało wciąż określenie *Wunderteam*, obrazy z legendarnego meczu lekkoatletycznego Polska-USA z roku 1958 – sto tysięcy ludzi na stadionie – który dla młodszej juniorki musiał być tym, czym występ FC Barcelona dla chłopaków na orlikach. Wkrótce do Wunderteamu dołączy, stanie się jego nową podporą.

Widziałem ją pierwszy raz na żywo, ją i Ewę Kłobukowską, na tym samym Stadionie X-lecia, chyba jeszcze przed igrzyskami w Tokio w 1964 r. Były już naszymi bohaterkami, tak jak kilku innych sportowców z innych dyscyplin; piłka nożna była wówczas tylko jedną z nich. Tłumy ludzi napływały ze wszystkich stron Warszawy jak po dotyk cudotwórcy, trudno jest dziś pojąć tamtą magnetyczną siłę bieźni. Chyba wygrała, przebiegła linię mety, pochyliła się, oparła dłonie na kolanach i tyle; dzisiaj uderza jej brak tryumfalnych gestów po skończeniu zwycięskich biegów, nawet tych olimpijskich; co najwyżej półradości machnięcia dłońmi. Tak wtedy w ogóle było, lecz

ekspansywne gesty radości nie należały do jej zwyczaju.

Kogo bardziej się wówczas lubiło, kogo z obu biegaczek wybierało, obstawiało? Debel był tak mocny, tak wspaniały, że pytaliśmy się siebie: kogo wolisz? Ewę czy Irenę? Tak jak pytaliśmy o wybór między Legią a Polonią. Kłobukowska była nieco z boku, zamknięta w swej sprinterskiej specjalizacji, trochę outsiderska (więc może bardziej nosiła się ją w sercu). Irena Kirszenstein, bardziej wszechstronna, miała silniejszą pozycję, była mocniejszym awersem tej złotej monety. Była kolumną; nie wzbudzała gwałtownych uczuć jako niepodważalna oczywistość, lecz wiedziało się, że bez niej świątynia się zawali.

Przed każdym nazwiskiem trzeba się uklonić, nazwisko to rzecz święta. Jednak, rzecz jasna, dla kibica tamtych pierwszych jej lat, dla dzieciaka śledzącego nawet drugoligowe mecze lekkoatletyczne, dla którego sport był całym światem, na zawsze pozostanie Ireną Kirszenstein; może nie bliskim sercu jak postaci z książek, lecz przecież jednym z mitycznych bohaterów jego życia. Po marcu 1968 r. (i pewnie nie tylko) będzie z powodu tego nazwiska cierpieła; kto w końcu zgubił na igrzyskach w Meksyku pałeczkę w naszej polskiej sztafecie? No kto? „Szewińska zdobyła złoto, a Kirszenstein zgubiła pałeczkę” – żartowano wtedy gorzko z tej nagonki.

Ale od początku, od pierwszych jej ważniejszych występów lubiło się jej pierwsze nazwisko, biła z niego sprężystość, energia, siła wzmocniona powtórzonym „ir” z imienia. „Ir”, „ira”, gniew, coś co prowadzi ruchowi, prze do przodu. *Aguirre*, gniew boży. Irena, gniew bloku startowego.

Ileż to razy używało się tego pierwszego nazwiska w porównaniach na naszych przedszkolnych i szkolnych boiskach. „Pobiegł jak Kirszenstein”, „Poczekaj na mnie, nie bądź taka Kirszenstein”, „Na sześćdziesiątkę miałeś niewiele ponad osiem sekund, nieżył z ciebie Kirszenstein”. Po co rozdrabniać się we frazeologii, skoro lepsze przykłady mamy pod nosem: nie mówiło się „szybki jak błyskawica”, „jak strzała”, lecz po prostu szybki, „szybka jak Kirszenstein”.

Nazwisko brzmiało niczym zaklęcie, właściwie do dzisiaj używam go wśród rówieśników dla różnych metaforycznych określeń.

Cała ona

Później, jako Irena Szewińska, będzie nadal świetna, nieraz jeszcze lepsza, lecz z roku na rok coraz bardziej odległa; przekaz kolorowy zastąpił przekaz czarno-biały, wypindrzona gierkowszczyzna bardziej naturalną gomulkowszczyzną, magia dawności – o której filmowaniu wie coś Paweł Pawlikowski – nieco się osłabiła. Bieg po złoto na olimpiadzie w Montrealu w 1976 r. na czterysta metrów był fenomenalny; nigdy, choć już się powoli zbliżał koniec kariery, nie osiągnęła takiej przewagi nad przeciwniczkami. Tych 15 czy 20 metrów różnicy wystrzeliło ją ponad orbitę, pokazało faktyczne miejsce, jakie we wszechświecie (sportowym) zajmuje. Przemysłniczka na Księżyc.

Niezwykły był też wcześniejszy bieg na 200 metrów po złoto meksykańskie w 1968 r. Po 50 metrach jest przedostatnia; wygrywa finisz, wyraźnie, lecz paradoksalnie wydaje się, że wcale nie przyśpiesza, biegnie równo swoje, to inne stoją w miejscu. Ale najbardziej lubię się wpatrywać (poproszę o podkład jazzowy i Tadeusza Konwickiego z Dygatem na trybunach) w czarno-białe zdjęcia czy ujęcia z jej pierwszych zwycięstw, sztafety tokijskiej choćby. O ile jej późniejsze tryumfy należały już bardziej do partykularnej historii polskiego sportu niż do polskich dziejów ogólnych, o tyle te pierwsze medale wydają się wprost współtworzyć polską historię tamtych lat.

Po raz drugi widziałem ją na żywo nie tak dawno temu, na lotnisku Okęcie. Leciała do Genewy, zapewne na jakąś lozańską sesję MKOL-u. Jej życia działacza nie śledziłem, wyobraźnia kibica nie wkracza w te rejony; zapewne opowieść o tym, o jej różnych afiliacjach czy poparciach politycznych (stan wojenny Jaruzelskiego) byłaby niezłą kanwą dla rozważań o meandrach najnowszych naszych dziejów.

Ale na lotnisku nic mnie to nie obchodziło; wpatrywałem się w tę sylwetkę, która kiedyś biła rekordy, w jej ciało, które zdolne było do niezwyklej szybkości. Zawsze ta sama myśl: odnaleźć w ciele sportowca oznaki jego dawnej świetności, zrozumieć w starym ciele cud jego młodości. Sportowiec to byt najbardziej platoński z możliwych; na nikim innym tak nie widać, jak zamieniamy się w odbłaski siebie. Ale nie da się zapomnieć i tej pierwszej platońskiej prawdy: 22,5 sek. na 200 metrów, 49,29 sek. na 400 metrów, 43,6 sek. w złotej sztafecie 4x100. ©

WOLAŁABYM NIE

PATRYCJA PUSTKOWIAK, PISARKA:

W Polsce wciąż panuje mentalny feudalizm – każdy chciałby uchodzić za szlachtę i mieć swego chłopca do bicia. Pedala, ciapatego, babę...
Nikt nie chce być równy, każdy chce być równiejszy.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Dlaczego piszesz wyłącznie o kobietach?

PATRYCJA PUSTKOWIAK: Może dlatego, że przez lata kobiety były raczej opowiadane, niż same opowiadały i teraz trzeba nadrobić stracony czas? Sama nie wiem. Może „amerykańscy naukowcy” już kiedyś znaleźli prawdziwy powód takiego pisania? Sprawdzę potem.

Kobietom jest trudniej przebić się w przestrzeni kultury?

Mnie akurat było łatwo. „Nocne zwierzęta”, mój debiut, okazał się sukcesem artystycznym, a nawet bestsellerem. Dopiero po czasie odkryłam dlaczego – po prostu wszyscy myśleli, że to autobiograficzna opowieść o tym, jak chłamam, ćpałam i przetrwałam. A teraz, gdy w „Maszkaronie” wyznaję, że jestem strasznie brzydka, więcej osób podchodzi do tego ze zdrowym sceptycyzmem. Lepiej późno niż wcale.

Nie odpowiadasz na moje pytanie.

To moja specjalność. Kobietom trudniej się przebić na polu kultury, ponieważ automatycznie zakłada się, że piszą wyłącznie intymne zwierzenia. Gdy zaczynają analizować świat na równi z mężczyznami, abstrahując od własnej biografii i romantycznych uniesień, traktowane są co najmniej podejrzliwie.

A jak kobieta w książce nie pasuje do powszechnie panujących wyobrażeń, to staje się obiektem szyderstwa, czasem nawet agresji – co ciekawe, nie tylko ze strony mężczyzn. Bardzo mnie to nakręca, od razu myślę, jak jeszcze bardziej „zirytować”.

Każda kobieta, która pisze o innych, wyrazistych kobietach, jest z automatu feministką?

Chyba tak. Nie ma przed tym ucieczki, bo feministyczne jest przecież już to, że piszesz o kobiecie jako o człowieku – istocie

mającej mózg, ten mało pożądaný w ich przypadku organ.

Czyli czujesz się feministką?

Najczęściej czuję się jak Franz Kafka, który pytał, co może mieć wspólnego z innymi, kiedy nawet sam ze sobą nie ma nic wspólnego. Zabrzmiało to nieco pretensjonalnie, prawda? Pewnie tylko mężczyzna może mówić takie rzeczy i nie budzić zażenowania. Podejrzewam, że jako kobieta powinnam być zaprogramowana na łączność z innymi, nie – alienację. Pracuję nad tym. Zresztą nieważne, kim się czuję w życiu, bo piszę po to, by wszystko podważyć. Również samą siebie.

W odmętach lewicowego internetu ciągle trwają batalie o to, kto może być feministką albo feministą, kto nie. Co o tym sądzisz?

Nic, ponieważ tego nie śledzę! Cały „Maszkaron” jest krytyką życia ograni-

czanego przez najróżniejsze teorie i do nich sprowadzanego. A pisarzowi potrzeba praktyki, nie teorii. Kiedy siedzę u koleżanki na kolacji i ona po powrocie z pracy nas wszystkich obsługuje, zabawiając jeszcze przy tym dzieci, a jej mąż tylko przełącza kanały, to wtedy pytam w duchu, co z tym feminizmem. Niepotrzebny mi do tego internet.

Tamara, bohaterka „Nocnych zwierząt”, Twojej poprzedniej powieści, była seksowna i uwodzicielska. Marianna, czyli tytułowy Maszkaron, jest najbrzydszą kobietą świata. A jednak jest między nimi wiele podobieństw.

Jedna jest rewersem drugiej. W obu przypadkach zależało mi na mocnej i wyrazistej bohaterce, bo bez tego nie ma dobrej powieści. Chciałam też znaleźć punkt do obserwacji naszej codziennej rzeczywistości. Oczywiście trupa, kogoś niezaangażowanego. Dlatego moje bohaterki są zawsze z boku, a nawet poza światem. Dystans daje krytyczną perspektywę.

Jedną i drugą definiuje ich seksualność – nadmiar w przypadku Tamary, brak u Marianny.

Oczywiście, w tej kwestii różnica między nimi jest niewielka, bo obie chodzą na pasku męskiego spojrzenia.

Da się stworzyć postać kobietą, która byłaby od tego wolna?

Kiedy zaczynałam pisać, nie byłam do końca świadoma gniewu, który we mnie tkwił. Przez lata bycia niezaprze- czalnie kobietą nagromadziły się we mnie olbrzymie pokłady frustracji, której długo nie rozumiałam. W skrócie – uświadomiłam sobie, że od mężczyzn zawsze dostaje się podobny komunikat. Albo brzydka: osteplowana „nie”, albo ładna: osteplowana „tak”. Potem powiedzą ci, co masz myśleć i mówić, a na razie – tędy wiedzie droga do sypialni. Zawsze jesteśmy odbiciem męskiego pożądania. W tym sensie zarówno Tamara, jak i Marianna są wyrazem mojej frustracji.

Bohaterka „Maszkarona” jest na tyle wyobcowana ze społeczeństwa, że chyba przetłumuje schemat, o którym przed chwilą mówiłaś.

Marianna to kuriozalnie brzydka kobieta. Gdyby jeszcze była stara, to pół biedy, ale ma 35 lat i jest skrajnie nieatrakcyjna. A do tego wściekła. To prawdziwy skandal! Dla takiego monstrum nie ma miejsca.

Dostownie i w przenośni jest „niedotykalna”.

Chciałam w ten sposób zbadać granice jej niezależności. ➔

PATRYCJA PUSTKOWIAK (1981) jest pisarką i dziennikarką, autorką powieści „Nocne zwierzęta” (2013), nominowanej do Nagrody Nike i Nagrody Literackiej Gdynia. Właśnie ukazała się jej druga książka „Maszkaron”.



→ Marianna, która „wolałaby nie”?

Dokładnie, to kobieca wersja Bartleby'ego i wszystkich mu podobnych. Z tym że bohater opowiadania Melville'a nie miał ciała, a raczej jego ciało było całkowicie przezroczyste. W przypadku Marianny to przede wszystkim ciało jest źródłem wykluczenia, jakkolwiek nie lubię tego słowa...

Dlaczego?

Bo zrobiło się zbyt modne, a przez to zbyt banalne. „Wykluczenie” – słowo klucz lewicowej narracji, z której się przecież w książce naśmiewam. Ale nie dlatego, że jest lewicowa, tylko dlatego, że jest „narracją”. Nie chciałam też skupiać się wyłącznie na ciele i cielesności. Kiedy pisałam tę powieść, chciałam przede wszystkim zapytać, czy człowiek może stanąć na zewnątrz ideologii.

I może?

W życiu chyba niestety nie, bo poniekąd wszystko jest ideologią – to jak się ubieramy, co jemy albo mówimy. Ideologia to ramy koncepcyjne potrzebne do życia, sposób radzenia sobie z rzeczywistością. Ale w literaturze można je przetestować.

Co widać z perspektywy Marianny?

Ona jest luką w systemie, nigdzie nie pałuje, wszędzie przeszkadza, a ludzie wokół niej tracą rezon.

Używając tej postaci, próbowałam uchwycić specyfikę narcyzmu naszych czasów. Środowiska, które opisuję, są bardzo skupione na sobie i odrzucają wszystko, co choćby odrobinę odbiega od ich wewnętrznych norm. Choć trzeba podkreślić, że Marianna też jest narcystyczna, bo ciągle myśli tylko o sobie, wszystko inne kwestionuje. Uważam, trochę beczelnie, że to może być doskonała propozycja także dla innych kobiet – wreszcie narcyzm w kontrze do odwiecznego skupiania się na innych. A ona idzie jeszcze dalej – ciągle nienawidzi.

Jest w tym sprawiedliwa, bo dostaje się intelektualistom, lewacom, ale też każdemu, kto znajdzie się w jej orbicie, choćby miał najlepsze intencje.

To prawdziwa hejterka. W życiu nieustannie kluczymy między najróżniejszymi pułapkami ideologicznymi, które zawsze każą nam się ustawiać jednocześnie za czymś i przeciw czemuś. Wyraźnie

widać to w dzisiejszej Polsce. Ale w książce nadal można sobie pofolgować.

A „w życiu”, w którą stronę Cię bardziej ciągnie?

Gdyby istniała maszynka do prędkiego rozszyfrowania światopoglądu, to pewnie by mi postawiła kropkę bardziej po lewej stronie osi.

To dlaczego gnębisz lewaków?

Po pierwsze, nie gnębię lewaków, a tych, którzy ich udają. Po drugie, bez sensu atakować tych, których naprawdę się lubi. W pisaniu chodzi przecież też o autobiczowanie. Najbardziej niszczy cię to, czym jesteś. Wśród ludzi, z którymi jestem raczej bliżej niż dalej, ideologia lewicowa uchodzi za słuszną, ale ona też bywa bardzo opresyjna. Co rusz wychodzi na wierzch jej zakłamanie, ale też śmieszność.

Skąd to się bierze Twoim zdaniem?

Lewicowość – ta w wydaniu zachodnim – jest wciąż czymś bardzo nowym w Polsce. Tam kształtowała się przez dekady, u nas została zaimplementowana od razu w całości. Nie jestem ekspertem, ale przecież to hierarchiczność, a nie równość jest głęboko zakorzeniona w naszej historii. W Polsce wciąż panuje mentalny feudalizm – każdy chciałby uchodzić za szlachtę i mieć swego chłopca do bicia. Pedala, ciapatego, babę... Nikt nie chce być równy, każdy chce być równiejszy. Autentycznie równościowe narracje kiepsko pasują do naszego krajobrazu, więc lewicowość jest bardzo powierzchowna – niczym cienki płaszcz narzucony na gruby, konserwatywny szkielet, który co rusz spod niego przebija. Dlatego i nasz feminizm pozostaje raczej życzeniowy, co widzę na każdym kroku.

No ale jednak istnieją feministki i feminiści, którzy robią dobrą robotę...

Jasne! Chodzi mi o co innego – że w pewnych środowiskach feminizm stał się łatką, którą każdy musi sobie przykleić na czoło, żeby zostać zaakceptowanym. To jest jak test, który musisz zdać. Tyle że w życiu codziennym często go oblewasz. Nie zdają go pseudolewicowi mężczyźni, ale przecież też kobiety. Wiele kobiet zna teorię, ale bez wahania poświęci ją, żeby tylko z kimś być. To jest prawdziwy imperatyw – być społecznie poprawną. Przede wszystkim w związku. Najlepiej z kimś powszechnie uchodzącym za wspiania-

łego. A potem, jak pisała Gretkowska, zostać wdową po chuju Jamesa Joyce'a.

Feministki w Twojej powieści nie bardzo wiedzą, co zrobić z brzydką Marianną, a ona z kolei nie chce ich protekcyjnego współczucia.

Feminizm ma prowadzić do emancypacji, która oznacza wzięcie odpowiedzialności za własny los. Co zatem w tej sytuacji ma zrobić postać tak pokraczna jak Marianna? W jej przypadku wolność jest towarem mało pożądanym. Bo co z nią może zrobić? Wpędza ją tylko w jeszcze większą samotność i cierpienie. Ona momentami marzy o powrocie skrajnie patriarchalnego społeczeństwa, urodzeniu się w bogatej rodzinie, gdzie nikt by się nie liczył z jej zdaniem, ale za to ona sama miałaby jakąś wartość. Może miałaby dzieci? Może byłaby szczęśliwsza?

Strasznie bluźnisz!

Nie ja, tylko moja bohaterka. Ale ja też zadaję sobie czasem równie rozpaczliwe pytania. Przecież wolność nie jest tylko darem, to również udręka. Czasem naprawdę można mieć dość koszmaru samostanowienia, wiecznych wątpliwości i niepewności związanej z nadmiarem opcji. Myślę, że to możliwe, że w zaciszu swego domu jakaś zmęczona latami Tindera kobieta marzy, żeby być wyłowioną niczym ryba z tego matrymonialnego stawu i podaną do ust wielmożnemu panu. Cóż poradzić, nie wszystkie kobiety myślą tak, jak by chciała teoria feministyczna. W ostatnich latach wielką karierę zrobiła powieść „50 twarzy Greya”, która mówi o kobiecie marzącej o uległości wobec bogacza. Czy to nie wyraz powszechnych, ale wstydliwych, bo konserwatywnych ciągów? Powstało o tym nawet chyba kilka książek.

Od pół godziny dyskutujemy niemalże wyłącznie o kwestiach genderowych – wybacz! Pisarz mężczyzna raczej by sobie na to nie pozwolił...

Ok, ale moja książka wywołuje ten temat, więc jesteś rozgrzeszony. Mam nadzieję, że kiedyś, może przy następnej powieści, uda mi się uwolnić od tych problemów, bo już chyba wylałam całą frustrację.

To zmieńmy temat. Marianna nie mieści się także w tym, co oferuje świat konsumpcji i kapitalizmu. Po-

kazujesz, że wyścig zaczyna się już na wczesnym etapie szkolnym. Jeśli wtedy nie wywalczysz sobie dobrej pozycji, to potem jest tylko trudniej.

„Możesz być, kim chcesz”, głosi założycielski mit neoliberalizmu, który już przeniknął do najgłębszych pokładów naszej wyobraźni, a walka z tymi wszystkimi bredniami o byciu kowalem własnego losu też jest moją obsesją. Współczesny świat pozornie oferuje ci całą paletę możliwości działania i rozwoju, ale tak naprawdę nadal definiuje nas urodzenie – nie tylko kapitał ekonomiczno-społeczny, który dziedziczymy po rodzicach, ale także coś tak banalnego jak loteria genowa: czy jesteś atrakcyjny fizycznie, śmiały, pewny siebie itd. W przypadku kobiet jest jeszcze trudniej, bo kiedy chcą cię zdyskredytować – to w sumie niezależnie od tego jak wyglądasz – stwierdzą po prostu, że jesteś brzydka. Zakneblują cię, zanim cokolwiek powiesz. Do tego istnieje mechanizm nieustannego pozycjonowania się względem innych. Selekcja na zwycięzców i przegranych. Ciągłe szuka się kogoś, kto ma gorzej, bo dla wielu to jedyny sposób na dobre samopoczucie.

Wszyscy znajdują sobie łatwego chłopca do bicia – a to polskiego prymitywa, a to prawdziwego Polaka, a przede wszystkim klasę średnią z jej grodzonymi osiedlami. Strasznie mnie to wkurza. Plujmy na siebie, nie na innych.

No ale inteligenci i akademicy to przecież margines, który zresztą sam zamyka się w getcie. Dlaczego akurat oni tak Cię irytują?

Trochę irytują, trochę bawią. Na pewno śmieszny jest ich pretensjonalny język. Hermetyczny, bo służy tylko komunikowaniu się między sobą. Język, który często ma służyć narracji równościowej, a staje się językiem dystynkcji i pogardy. Marianna nie cierpi wyższościowego tonu pod tytułem „oświecone elity mówią do motłochu”. Ja też nie.

Jest jeszcze klasa średnia, którą się ostrzeliwuje ze wszystkich stron.

Nie rozumiem, czemu uciekanie na ogrodzone osiedla deweloperskie na obrzeżach miasta jest większym obciążeniem niż zamykanie się w 200-letniej kamienicy otoczonej starymi drzewami. Przecież oba te style życia można tak samo obśmiać. Z drugiej strony nie ma nic śmiesznego w potrzebie bezpieczeństwa

W pewnych środowiskach feminizm stał się łatką,

którą każdy musi sobie przykleić na czoło, żeby zostać zaakceptowanym.

czy chęci życia w otoczeniu uchodzącym za ładne, szczególnie jeśli samemu pochodzi się z miejsc, gdzie ładnego zawsze brakowało. Mnie raczej bawią ci, którzy głoszą potrzebę powrotu na PRL-owskie osiedla, ale sami tego nie robią.

Klasa średnia zawsze była łatwym obiektem ataków dla intelektualistów czy artystów.

To ja im ten cios chcę oddać. Zdążyłam się już namieszkąć wszędzie – najdłużej w bloku na Kurdwanowie w Krakowie, ale też w kamienicy i na osiedlu deweloperskim. Lewicowcy dużo mówią o mieszanym strukturze społecznej, z którą świetnie na co dzień obcować. Kiedy mieszkłam na Kurdwanowie, mieszana struktura społeczna pastwiła się nade mną w nocnym autobusie i obiecywała, że mnie zgwałci, gdy tylko z niego wysiadziemy. Może ci, którzy to mówią, nigdy nie wracali do domu o trzeciej nad ranem albo nigdy nie byli samotną kobietą? Poza tym adres nie zmienia tak bardzo człowieka. Możesz mieć kontakt ze światem mieszkając w willi, a możesz go nie mieć, barykadując się w bloku na Tarchominie. Kwestia chęci.

Chcesz mieć wygodne i spokojne życie.

Oczywiście, przy pomocy mojej bohaterki przyznaję się, że mam, chyba jak wszyscy, potrzebę komfortu, a nawet zanurzenia się w konsumpcyjnych przyjemnościach. Mają ją, zapewniam cię, również ci głoszący potrzebę fraternizacji z mieszaną strukturą społeczną, której nigdy nie widzieli z bliska. Moja bohaterka, tak jak i ja, jest świadoma swoich czasem wstydlivych, śmiesznych i żalonych potrzeb. Dlatego Alicja – jej przeciwieństwo – tak ją fascynuje. Chciałaby być nią, ale jednocześnie gardzi jej życiem. To jej naj-

wieksza tragedia: nie ma swojego miejsca. Nie potrafi niczego chcieć tak po prostu, bo w to pragnienie zawsze wkłada się nienawiść.

Też tak masz?

Poniekąd tak, to mój kolejny dramat. Czasem mam wrażenie, że jest we mnie wbudowany jakiś męczący mechanizm zaprzeczania. Każde marzenie wydaje mi się śmieszne, podszyte ideologią. Szczególnie widzę śmieszność tych spełnionych. Dlatego tylko stoję i wyrażam. Muszę z tym skończyć!

No a literatura? Przypomniało mi się, że przy okazji „Nocnych zwierząt” napisałaś, że cała współczesna polska proza Cię rozczarowuje.

O rety, ale przecież to była prowokacja i to dokonana w uniesieniu, chyba po dwóch lampkach wina! Wielokrotnie mi to wyciągano...

Prowokacja się udała.

Chciałam wtedy grać gniewną i zbuntowaną. Lubię bardzo wiele rzeczy w polskiej literaturze. Mogę wymienić!

„Wyciągam” Ci ten wątek na serio, bo Twoja powieść faktycznie portretuje zazwyczaj pomijane obszary naszej rzeczywistości.

Odpowiem dookoła. Nie lubię literatury, która realizuje poprawnościowe narracje. Irytuje mnie, że w Polsce właściwie jedynym wyznacznikiem dobrej literatury jest skrajne zanurzenie w języku. To oczywiście ważny element, ale chciałabym, żeby książka mówiła mi o świecie coś, czego jeszcze nie wiem, a nie tylko badała mechanizmy języka. Od lat dużo ciekawsza, odważniejsza wydaje mi się literatura tworzona przez kobiety. Bardzo lubię Dorotę Masłowską, Wiolettę Grzegorzewską, Magdalenę Tulli czy Weronikę Murek. Z mężczyznami mam jakiś problem, ale absolutnie nie jestem uprzedzona. Może chodzi o to, że jak w książce nie ma ciekawej bohaterki, to szybko zaczynam się nudzić.

Ale to chyba szerszy problem.

Jasne. Brak nam odwagi. Przez lata ceniono u nas nie tyle myślenie, co powtarzanie tego, co już pomyślane przez innych. Dlatego sama próbuję żałośnie krzyknąć: król jest nagi!

© © Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI



GAI TERRELL / REDFERNS / GETTY IMAGES

John Coltrane, ok. 1960 r.

Popioły i diament

KAJETAN PROCHYRA

Właśnie opublikowany album z nieznanymi dotąd studyjnymi nagraniami kwartetu Johna Coltrane'a nazywany jest muzycznym Świętym Graalem. Świętym? A może raczej złotym?

NOWY JORK, W CHŁODNY MARCOWY dzień 1963 r. John Coltrane wychodzi ze swojego małego ceglanego domu w Queens i jedzie do Englewood Cliffs w New Jersey – zaraz za rzeką Hudson. Pewnie jechał samochodem, przez most Waszyngtona. Komunikacją miejską zajęłoby mu to pięć razy więcej czasu.

Jest już bardzo cenionym wykonawcą. Wyliczanka „My Favorite Things” z musicalu „Dźwięki muzyki”, którą główna bohaterka śpiewa dzieciom, by przestały się bać burzy, stała się w jego wykonaniu transową, szaloną przygodą, w której niektórzy dosłuchiwali się nawet pulsu wiru-

jących derwiszy. Bob Thiele, świeżo upieczony dyrektor wydawnictwa Impulse!, dosłyszał w tym wykonaniu ogromny potencjał Johna Coltrane'a. Wykupił go więc z obowiązującej umowy z wydawnictwem Atlantic, oferując twórczą swobodę i pieniądze, na jakie w jazzie mógł dotąd liczyć tylko Miles Davis. Coltrane miał jedynie nagrywać dla Impulse! co roku dwie nowe płyty.

To pod skrzydłami Thielego powstał kwartet Coltrane'a, dziś nazywany klasycznym: z McCoyem Tynerem przy fortepianie, Jimmym Garrisonem na kontrabasie i Elvinem Jonesem za perkus-

ją. Gdy tylko saksofonista chciał wejść do studia, Thiele mu to umożliwił. Nie było to wcale łatwe, bo pan dyrektor miał przecież nad sobą prezesów, którzy nie chcieli zrozumieć: po co nagrywać tyle tego Coltrane'a? Chcąc ich obłaskawić, a także poszerzyć grono odbiorców muzyki swojego pupila, producent skutecznie namawiał saksofonistę do nagrywania muzyki bardziej przystępnej, którą można dobrze opakować. Tak powstały płyty Coltrane'a z balladami („Ballads”), z żywą legendą („Duke Ellington & John Coltrane”) czy z popularnym wokalistą („John Coltrane & Johnny Hartman”). Nagranie tej ostatniej zaplanowane było na 7 marca 1963 r., po powrocie Hartmana z trasy koncertowej. W ostatniej chwili okazało się, że studio będzie do dyspozycji także dzień wcześniej. Coltrane przejechał więc w ten zimny marcowy dzień przez most Waszyngtona i wszedł do studia przy Sylvan Avenue 445, gdzie czekali już na niego członkowie kwartetu.

Za konsolą siedział jak zawsze Rudy Van Gelder. Realizator nikomu nie pozwalał dotykać swoich mikrofonów. Sam korygował ich położenie. W rękawiczkach,

oczywiście. Do studia nie można było wносить jedzenia ani picia. Zabronione było także fotografowanie aparatury. Wszystko tu było sekretem Van Geldera. On sam zaprojektował wnętrze studia, inspirowane pracami Franka Lloyd Wrighta – architekta m.in. Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Wysoki, pochylony drewniany strop przypomina katedrę.

Jak można zgubić płytę Coltrane'a?

„To oryginalna kompozycja, prawda?” – pyta Van Gelder. „Tak” – odpowiada Coltrane. „11382, nie 11383, kompozycja oryginalna, podejście pierwsze” – anonsuje realizator.

Tak zaczyna się płyta „Both Directions at Once”, powstała z nagrań, które 6 marca 1963 r. w studiu w Englewood Cliffs zarejestrował kwartet Johna Coltrane'a. Nazywa się go zaginionym albumem, ponieważ powstała tego dnia taśma matka zniknęła – prawdopodobnie w wyniku przeprowadzki Impulse! z Nowego Jorku do Los Angeles na początku lat 70. Włodarze ABC, firmy matki wydawnictwa, szukając oszczędności w wydatkach na magazyny, postanowili pozbyć się części taśm. Jak można wyrzucić płytę Johna Coltrane'a? Po pierwsze można nie wiedzieć, że w ogóle ma się ją w posiadaniu. Coltrane w studiu Van Geldera nagrywał 59 razy. To bardzo dużo puszek z taśmą. Poza tym podczas jednej sesji rejestrowano materiał, który producent dopiero układał w album, często kompilując nagrania powstałe w różnym czasie i okolicznościach.

Sam Coltrane nie poświęcał płytom zbyt wiele uwagi. Interesował go przede wszystkim własny muzyczny rozwój. Sukces jego nagrań zdawał się go wręcz niepokoić. Nie chciał być więźniem własnych przebojów ani oczekiwań słuchaczy. Chciał nagrać płytę tylko raz, 9 grudnia 1964 r. Dzięki temu znamy dziś suitę „A Love Supreme” – uchodzącą za największe jazzowe dzieło sztuki. Reszta nagrań była przede wszystkim realizacją zobowiązań wynikających z kontraktu.

Jednak z każdej wizyty w studiu Van Geldera Coltrane wynosił coś dla siebie – także w dosłownym sensie. Realizator w rękawiczkach za każdym razem, gdy puszczał w ruch taśmę, uruchamiał jednocześnie siedmiośladowy magnetofon Coltrane'a. Co wieczór John wychodził więc z własną, domową kopią nagrania,

którą mógł następnie szczegółowo analizować. Właśnie dzięki takiej kopii, odnalezionej wśród rzeczy należących do pierwszej żony saksofonisty Juanity „Naimy” Coltrane, trafia do nas zapis sesji z 6 marca 1963 r.

Firma Universal powierzyła produkcję płyty synowi Coltrane'a, saksofoniście Raviemu. Tytuł płyty to cytat, który Trane'owi przypisuje jego kolega po fachu: Wayne Shorter. Coltrane miał mu wyznać, że chciałby móc zacząć swoją wypowiedź w środku zdania, a następnie mówić jednocześnie w obu kierunkach – „Both Directions at Once”.

11386

Album przynosi nam dwie zupełnie nieznane kompozycje Coltrane'a – na krążku oznaczone numerami porządkowymi, stosowanymi w studiu Van Geldera: energiczny blues „11383” oraz „11386”, w którym obok ekstatycznej solówki na saksofonie sopranowym, dosłyszec można pomysły, które dwa lata później zakwitną w „A Love Supreme”. Inna nagrana wtedy oryginalna kompozycja Coltrane'a podczas sesji także była jedynie numerem. Dziś znamy ją dobrze jako „Impressions” – utwór, który nadał tytuł całej, wydanej pół roku później płycie. Pierwszych dwóch wspomnianych utworów Trane nie nagrał nigdy więcej. Obok kompozycji lidera muzycy zarejestrowali tego dnia standard „Nature Boy” z repertuaru Nata Kinga Cole'a, a także temat „Vilia” oparty na melodii pieśni z operetki „Wesoła wdówka” węgierskiego kompozytora Franza Lehára.

Czyżby Coltrane szukał dla Boba Thiellego kolejnego „My Favorite Things”? A może była to tylko wprawka przed sesją z Johnnym Hartmanem, który miał ten utwór w swoim repertuarze wokalnym?

Chcąc zapoznać się z „Both Directions at Once” warto sięgnąć po dwupłytową wersję *de luxe*. Obok „Take 1”, czyli pierwszych podejść do każdego z utworów, w wersji rozszerzonej dostępne są także pozostałe próby i poszukiwania, które w obrębie danej kompozycji podejmował kwartet. Dzięki temu można zrekonstruować proces, jakim dla muzyków była praca nad utworami; poczuć się jak w studiu z kwartetem Johna Coltrane'a.

Piramida

Wielki saksofonista Sonny Rollins powiedział, że słuchanie tych odnalezionych na-

grań jest jak odkrycie nowego pomieszczenia w piramidzie. To bardzo trafne określenie, zwłaszcza gdy szczerze zadamy sobie pytanie: ilu z nas rzeczywiście poruszy informacja o tego typu archeologicznej sensacji. Indiana Jones z pewnością byłby odkryciem nowej komnaty zachwycony.

Jeszcze większym szczęściem – a nawet błogosławieństwem – album „Both Directions...” jest dla wiernych kościoła pod wezwaniem św. Johna Will-I-Ama Coltrane'a. Zbór ten działa w San Francisco od lat 80. Regularnie uczęszcza dziś do niego około 50 wiernych. Muzyka Coltrane'a jest dla nich święta. Jego utwory towarzyszą kolejnym częściom mszy. Nowy album to prawdziwy dar. Założyciel wspólnoty, Franzo King, zadeklarował już w rozmowie z reporterem CNN, że płyta stanie się elementem liturgii: „Co niedziela wybieramy jedno z dzieł św. Johna i organizujemy wokół niego medytację. Z pewnością przedstawimy tę muzykę naszym drogim słuchaczom”.

Zachwyceni są też muzykolodzy studiujący dorobek Coltrane'a. Autor cennej biografii saksofonisty, a także pianista jazzowy Lewis Porter po wnikliwej analizie materiału obawia się jednak, że utwór „11386” nie jest w rzeczywistości kompozycją Coltrane'a, ale kogoś innego. Kogo? I kogo, poza Porterem, to dziś rzeczywiście obchodzi?

W pewnym wieku

Wydawnictwo Universal wytoczyło swe największe, dawno nieużywane działa marketingowe: płyta Coltrane'a doczekała się telewizyjnej reklamy wyemitowanej w CNN; w papierowym wydaniu „New York Timesa” portret saksofonisty zajmuje całą (płatną) stronę. Przed premierą albumu garstka dziennikarzy została zaproszona do studia w Englewood Cliffs, by posłuchać „nowego Coltrane'a” w miejscu, gdzie muzyka ta słyszana była dotąd po raz pierwszy i ostatni.

– To było jak pielgrzymka chrześcijan do stajenki w Betlejem – relacjonował dziennikarz „Irish Timesa”, zaznaczając jednocześnie, że w składzie tej pielgrzymki znaleźli się wyłącznie mężczyźni – jak pisze autor – „w pewnym wieku”.

Cały ten zgiełk sprawia, że w głowie pojawia się wątpliwość: czy wciąż chodzi tu jeszcze o Johna Coltrane'a? Czy nie jest to przypadkiem łabędzi śpiew przemyślnego muzyka, dla którego może to być jedna z ostatnich okazji, by nowy

→ album sprzedać na płycie w kilkumilionowym nakładzie? Dziś nowe albumy znajdują jeszcze „płyty nabywców”, ale w skali globalnej dystrybucja muzyki drogą elektroniczną, bez nośnika, znacznie wyprzedza wyniki sprzedaży płyt kompaktowych. Popularni artyści, także w Polsce, nie muszą już nagrywać całych albumów: wystarczy jeden utwór, który zacznie krążyć w serwisach streamingowych i na YouTube i stanie się pretekstem do intratnych kontraktów w telewizji czy reklamie. Kto dziś kupuje płyty kompaktowe? Najczęściej ludzie „w pewnym wieku”. Czego na tych płytach słuchają? Jazzu!

Wracając do Coltrane’a, tylko muzyk jazzowy mógł w jedno popołudnie nagrać płytę, o której wszyscy zapomnieli na 55 lat. Kwartet Coltrane’a wszedł do studia, zrobił swoje i wrócił na Manhattan, by wieczorem zagrać kilka setów w klubie Birdland, w którym przez dwa tygodnie miał zakontraktowane występy. W New Jersey jazzmani zostawili gotowy materiał.

Płyty kolejnych muzycznych królów – Michaela Jacksona, Prince’a czy 2Paca – nie powstawały w ten sposób. Nad każdym ich albumem pracowało kilku producentów i wielu dogrywających swoje ścieżki muzyków sesyjnych. Proces ten angażował dużo więcej ludzi, czasu i pieniędzy niż prawdopodobnie cała studyjna dyskografia Coltrane’a razem wzięta. Efektów takiego wysiłku nie dałoby się bezkarne wyrzucić na śmietnik. Chciałoby się

więc powiedzieć, że więcej muzycznych świętych Graali nie będzie.

Graal?

Ale czy „Both Directions at Once” to rzeczywiście święty Graal jazzu? Sądzę, że sam John Coltrane śmiałyby się z takiego stwierdzenia w głos. Sesja 6 marca była dla niego kartką z kalendarza, zbiegiem sprzyjających okoliczności między koncertem a nagraniem piosenek z Johnnym Hartmanem.

Do każdej z takich okoliczności podchodził Coltrane z pełnym zaangażowaniem. Dowody na to usłyszeć możemy chociażby dzięki wydanym na „zagubionym albumie” czterem podejściom do „Impressions”. Każde zagrane jest od początku do końca, z równie płomiennymi i niepowtarzalnymi wariacjami. Ale to wciąż tylko szkic, notatka z podróży, jakim był muzyczny świat Johna Coltrane’a. Docenić materiał z „Both Directions...” jest tym trudniej, że sam Coltrane nie wracał potem do „11382”, „11386” ani nawet do „Wesołej wdówki”.

Taśmy zostały w ceglany domu przy Mexico Street w Queens, a gdy wkrótce potem Coltrane wyprowadził się z niego, rozstając się z Naimą, nie zgłosił się nawet po ich odbiór. Z Graalem tak się chyba nie postępuje.

Święty?

Być może Coltrane rzeczywiście był święty. Kiedy w jednym z wywiadów zapytano go, kim chciałby być za 10 lat, od-

powiedział żartobliwie, że właśnie świętym. Z pewnością był człowiekiem wielkiej duchowości. Poza sceną był cichy, skromny, mało mówny. Także na estradzie rzadko zabierał głos. Nie miał nawet w zwyczaju zapowiadać utworów. Podczas jednego ze swoich ostatnich koncertów, na Uniwersytecie Temple w Filadelfii, Coltrane odłożył saksofon i zaczął śpiewać, uderzając się rytmicznie w piersi. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał. Dla wielu była to modlitwa. John Coltrane zmarł pół roku później. Przyczyną śmierci był rak wątroby. Miał 40 lat. Jego modlitwę i cały koncert z Uniwersytetu Temple usłyszeć możemy na innej „zaginionej” płycie: „Offering”, wydanej cztery lata temu przez niewielkie wydawnictwo Resonance. Część przychodów ze sprzedaży tego albumu zasila konto fundacji, która opiekuje się domem Johna Coltrane’a w Dix Hills w stanie Nowy Jork – miejscem, w którym napisał „A Love Supreme”.

Jednym ze składników fenomenu Johna Coltrane’a jest to, że choć tysiące muzyków chcą grać tak jak on, a dziesiątkom na owym chceniu udało się oprzeć stabilną karierę, nikt oprócz Coltrane’a nie potrafi tego robić tak on. Dreszcz, który towarzyszy chwili, gdy z głośników dobiega jego ton, jest jednym z największych skarbów jazzu, a z nim całej muzyki. Ten dreszcz pojawia się też, gdy w odtwarzacz kręci się „Both Directions at Once”, ale równie dobrze, a może lepiej wyzwała go każda oficjalna płyta Johna Coltrane’a.

© KAJETAN PROCHYRA

REKLAMA

Burmistrz Bieczy zaprasza

Patronat honorowy:

Jan Wątroba - Biskup Rzeszowski

Jacek Krupa - Marszałek Województwa Małopolskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

KROMER
BIECZ FESTIVAL

Bruno Cocset
Léon Berben Ensemble
Oltremontano
Huelgas Ensemble
Chór Polskiego Radia
Royal Baroque Ensemble
Lilianna Stawarz
Anna Radziejewska
Sławomir Zubrzycki
Agnieszka Budzińska-Bennett

1–5 sierpnia 2018

Wstęp wolny



GINA
BIECZ

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Projekt dofinansowany
ze środków Ministerstwa
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego

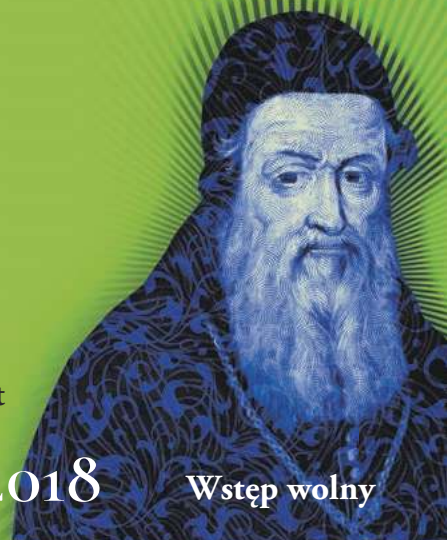
MAŁOPOLSKA

Projekt zrealizowany
przy wsparciu
finansowym Województwa
Małopolskiego

PGE
Polska Grupa Energetyczna



www.kromerbieczfestival.pl



Geniusze, blagierzy, piromani

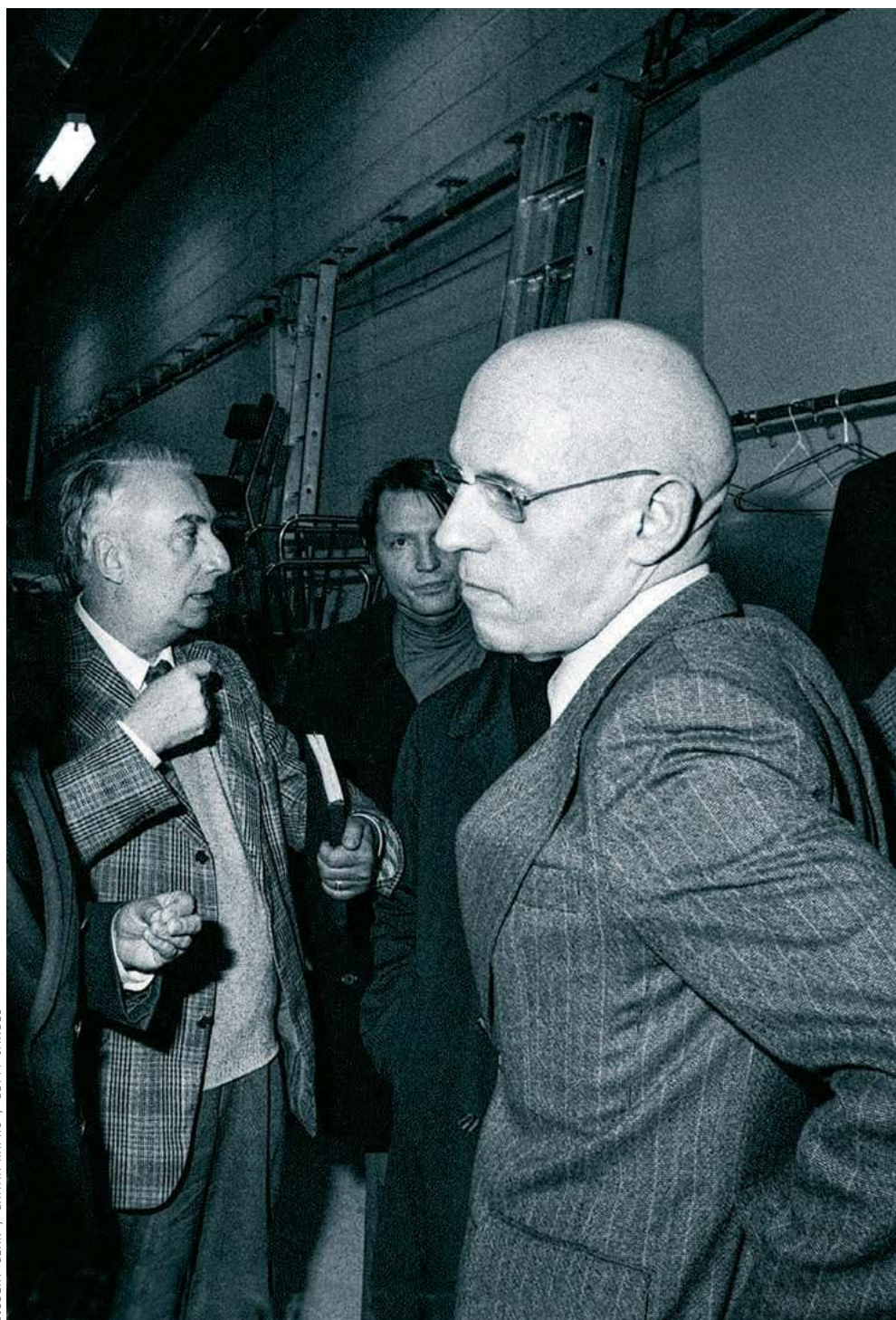
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

**Ostrza myśli już stępiaty,
radikalna forma zdążyła
się opatrzyć, ale francuscy
myśliciele są wciąż kochani za
coś innego. Za rozsmakowanie
się w ludzkich namiętnościach.**

PRZED CHWILĄ WYSZEDŁ OD PREZYDENTA François Mitterranda. „Roland Barthes idzie ulicą Bièvre. (...) Ma jeszcze kilkadziesiąt metrów do swojego gabinetu, kiedy wpada na niego furgonetka. Jego ciało wydaje matowy, charakterystyczny, przerażający odgłos uderzenia o metal, po czym turla się po jezdni jak szmaciana lalka. Przechodnie wzdrygają się. Tego popołudnia 25 lutego 1980 r. nie mogą wiedzieć, co się stało na ich oczach, i to nie przypadek, bo świat do dziś tego nie wie” – tak zaczyna się „Siódma funkcja języka” Laurenta Bineta. Wydana właśnie po polsku powieść stała się rewelacją paryskiego sezonu literackiego i sprzedawała się w ponad 200 tys. egzemplarzy.

Kogoż tam nie ma wśród bohaterów! Paryski olimp intelektualny w komplecie. Philippe Sollers nazywa Julię Kristevą „wiewióreczką”, Hervé Guibert sypia z Michélem Foucaultem, Jacques Lacan z młodymi kobietami, które sypiają też z innymi kobietami, a Gilles Deleuze, jeśli nie tworzy maszyn (nie)bezpieczeństwa narcyzyjnego, kibicuje szalejącemu na korcie Johnowi McEnroe. Obiektem zgodnych drwin, takim wioskowym głupkiem w rozchełstanej koszuli i opaleniznie z Saint-Tropez, jest BHL, czyli Bernard-Henri Lévy, popfilozof i „szybkomyśliciel”. Ta śmietanka okaże się zamieszana w wypadek Barthes’a, który idealnie nadaje się do snucia teorii spiskowych.

Rzeczywiście, 25 lutego 1980 r. wracając z obiadu u prezydenta Francji do Collège de France, Barthes wpadł pod furgonetkę



GILBERT UZAN / GAMMA-RAPHO / GETTY IMAGES

Roland Barthes i Michel Foucault, Paryż, luty 1978 r.

z pralni. Miesiąc później zmarł w paryskim szpitalu Pitié-Salpêtrière, gdzie w czerwcu 1984 r. umrze także Foucault.

Filozofia „śmierci autora”, „końca człowieka” i „rozpadu podmiotu” tryumfowała w kulturze dzięki magnetycznym osobowościom jej twórców. Bo przecież nie dlatego, że doprowadziła do masowych objawień o naturze języka, władzy

i seksu. Choć Binet otwarcie podśmiewa się z mistrzów i mistrzyń mętnego rezonowania, choć nieraz zarzuca im błagę podsyty narcyzmem, to daleko mu do bezpardonowego sarkazmu Alana Sokala i Jeana Bricmonta, autorów pamfletu „Modne bzdury”, odmawiających temu nurtowi statusu jakiegokolwiek wiedzy. Postfilozofów nie trzeba wielbić, ale wstyd ich nie ➔

→ znać. Zwłaszcza że niektórzy stali się podobnymi obiektami popkultury jak Fan-tomas, Barbara i Citroën DS.

Specjalność domu

Byli nieodrodnymi dziećmi kultury spektaklu, której sprzeczności tak bezkompromisowo sami odsłaniali. Wybuch postmodernistycznej bomby był zaprawdę silny, nawet jeśli nie zburzył opresyjnej konstrukcji społecznej. O ikoniczności myśli francuskiej przesądziła jej recepcja wykraczająca poza gabinety akademików. Po pierwsze, Francuzi uczynili przedmiotem dyskursu filozoficznego nie tylko zmysłowe oczywistości dnia powszedniego, ale sam dyskurs służący tłumaczeniu maluczkim świata. Przekonując (jak Barthes), że wszystko może być znaczącym, uwolnili filozofię od jednej, wydeptanej ścieżki interpretacji. Zdemokratyzowali lekturę swoich pism i użytek, jaki można z nich czynić.

Brali na warsztat najbardziej podniecające dla szerszej publiczności tematy: seks, władzę, przemoc i śmierć. Obnażali powiązania między wolą a instynktami, nikogo nie czyniąc pierwszym świętym ani ostatnim grzesznikiem.

Co ważne, pokochano ich w Stanach Zjednoczonych, największej na świecie fabryce wiedzy. Dziwna to była miłość, gdyż Francuzi z lubością demistyfikowali amerykański sen. Ale jednocześnie nie gardzili przywilejami sławy za oceanem. Amerykanie cudze chwałę, swego nie znają? To nie tak. Pośrednio dzięki politycznej ekonomii rozwinęła się w USA filozofia moralnie słuszna, podejmująca ważne tematy, krytycznie zaangażowana, ale dość przewidywalna, co gwiazdy amerykańskich kampusów boleśnie uświadamiały sobie w zderzeniu z francuskimi supernowymi. „Mają wrażenie, że jacyś kuglarze i szarlatani ukradli im *show*, to normalne, że są wściekli. Ale trzeba powiedzieć, że Foucault jest jednak bardziej *sexy* od Chomsky'ego” – tak Binet czyta ich myśli. Foucault z kolegami stworzyli wzajemnie adorujące i nienawidzące się środowisko-towarzystwo zamiast typowego akademickiego organizmu, gdzie każdy ma przypisaną funkcję. Byli błyskotliwym trzmielcem, rozkoszną pijawką na ciele systemu, dzięki któremu robili karierę. I co najważniejsze, popkulturą nie zdołała ich w całości pożreć i przetrawić, jak uczyniła to z egzystencjalistami. Ich poprzednicy zostali przez show-biznes

sprowadzeni do czarnych golfów, cygaretek i koniaku, materialnych rekwizytów służących uwodzeniu niewinnych panienek. Oni grali o wyższą stawkę.

No właśnie, jeśli nie wiadomo o co chodzi, chodzi o władzę nad ludźmi, o ich uwodzenie, także dla słusznej sprawy. Binet trafnie wskazuje, że kamieniem filozoficznym ponowoczesności wcale nie jest receptura wolności, lecz zniewolenia.

Tytułowa siódma funkcja języka nawiązuje do listy sześciu zadań języka wyróżnionych przez rosyjskiego językoznawcę Romana Jakobsona. Brakującym ogniwem, tym „jednym, by wszystkimi rządzić”, ma być jego funkcja magiczna. Jak tłumaczy powieściowy Umberto Eco: „Wyobraźmy sobie funkcję języka, która pozwala w sposób znacznie bardziej ekstensywny przekonać kogokolwiek do zrobienia czegokolwiek w jakiegokolwiek sytuacji”. Rozporządzanie nią pozwoliłoby uczynić wiedzę sprawcą i mieć realną władzę nad umysłami. Dlatego zdobyciem siódmej funkcji są zainteresowani także prezydent Valéry Giscard d'Estaing (również Foucault) i jego rywal François Mitterrand (rok młodszy od Barthes'a).

Foucault Superstar

Roland Barthes, którego śmierć jest *spiritus movens* fikcji Bineta, nie stanowi tu głównego obiektu fascynacji. Jego biografia jest raczej przypomnieniem, że nawet najbardziej wyrafinowana refleksja nad kulturą i człowieczeństwem nie ocali plejady od lęku i nieutulonej żałoby. W powieści Bineta Barthes to łatwopalny wrażliwiec i godny pożalowania stryjek, przeglądający się w sławie kolegów i uczniów. Wszyscy oni uważają, że nie pozbierał się po śmierci matki, jego wykłady spotykają się z oporem studenckiej materii, a miłośny dyskurs, poddany czulej wiwisekcji w jego najsłynniejszej pracy, nie przełamuje „nieodwracalnej oziębłości chłopców”, których pożąda. Swoją homoseksualizm skrywa i, jak twierdzi powieściowy Foucault: „co do seksu, to na zawsze pozostał owieczką”.

Cierpi na twórczą niemoc i pragnienie zrewolucjonizowania wiedzy. Zamiast tego dorobił się łożyszyderców: Michela-Antoine'a Burniera i Patricka Rambauda bez skrupułów parodiujących go w książce „Le Roland-Barthes sans peine” („Roland Barthes bez trudu” albo „bez bólu”) oraz Reného Pommiera, autora prześmiewczej rozprawki „Dość dekode-

wania!”. Jakby tego było mało, w połowie powieści okazuje się, iż to nie on odkrył siódmą funkcję języka, lecz Roman Jakobson, o którym zapomniano, że wówczas jeszcze żyje (zmarł w Ameryce w 1982 r.). Do Giscarda, a potem Mitterranda Barthes idzie po to, by zaimponować Deleuze'owi i zdobyć uwagę Foucaulta. Elitę zabawia semiologiczną analizą serwowanych dań, bo moiżni nie chcą od niego niczego ponad erudycyjne dykteryjki.

W powieści, jak w życiu, pierwsze skrzypce gra kto inny. Jeśli nazwisko Barthes'a byłoby znakiem czystego języka francuskiej humanistyki, to Foucault byłby jej mitem i ekscysem. Przyjaźnił się z Barthes'em, spędzali razem wakacje, ale po kilku latach więź osłabła. Może to Foucault był zazdrosny o szacunek, jakim darzono starszego kolegę, a może to starszy nie mógł się pogodzić z kultem młodszego. W białym golfie i aksamitnej marynarce Foucault nosił się jak dandys. Był pierwszym filozofem, który jeździł jaguarem (cóż z tego, że używanym). Na jego wykłady w Collège de France trzeba było przychodzić parę godzin wcześniej, żeby mieć miejsce w auli, reszta słuchała przez radiowęzeł. Noce miał długie, rzadko samotne, i dobrze reagował na kolejne narkotyki. „Przy stoliku do kawy Michel Foucault owinięty w czarne kimono objaśnia dwóm młodym ludziom w slipach (...), jak seksualność słonia rozumiano i komentowano w XVII wieku we Francji” – pisze Binet.

Oto szalenie ponętny i gładki obraz wpływowego intelektualisty, pana samego siebie – ale są w jego życiorysie i dziele fragmenty chropowate, zasługujące na refleksję krytyczną.

Po pierwsze, ten zaangażowany obrońca wolności i praw człowieka dał się uwieść doktrynie Chomeiniego i jako krytyk władzy, która „zawsze się wyłania”, dziwnie entuzjastycznie reagował na prezydenturę Mitterranda.

Po drugie, absolutyzował projekt sztuki życia – życia dla siebie i życia wyzwolonego z ograniczających dyskursów – bagatelizując jego elitarny i ekskluzywny charakter. Kłopotliwy jest też jego stosunek do neoliberalizmu, w którym widział formę władzy wytwarzającą wolność – ale jaką? Dla każdego? Jakim kosztem?

Po trzecie, można spytać, na ile Foucault, jeden z największych umysłów XX wieku, był świadomy swojej choroby, AIDS, i co z tą świadomością uczynił. Owszem, ta

dżuma końca minionego wieku, którą przywiózł pewnie z kalifornijskich klubów gejowskich, była wówczas przypadłością dość tajemniczą. Ale nie na tyle, żeby nie postawić pytania o jej konsekwencje dla innych, dla młodych, czasem przygodnych kochanków. Foucault żył do końca tak, jakby nie chciał o tej chorobie wiedzieć. W wysublimowanej formie taki problem stawia Hervé Guibert, intymny przyjaciel Foucaulta, w autobiograficznej powieści „À l’ami qui ne m’a pas sauvé la vie” („Do przyjaciela, który nie uratował mojego życia”, 1990). To zapis obserwacji śmierci bliskiej osoby na AIDS (jej postać jest wzorowana na słynnym filozofie) i własnego umierania na tę chorobę, która stała się przyczyną śmierci Guiberta w 1991 r.

Postawa Foucaulta może zadziwiać, zwłaszcza że ostatnie cykle wykładów poświęcił mówieniu prawdy ponad wszystko oraz braniu etycznej odpowiedzialności za siebie i innych. Parę tygodni temu ukazało się polskie tłumaczenie wykładów wygłoszonych w 1981 r. na Katolickim Uniwersytecie w Louvain, pt. „Zło czynić, mówić prawdę”. Foucault rozważa w nich akt wyznania prawdy, tego zwoleńczego wynalazku kultury śródziemnomorskiej.

Materiałem na psychologiczną powieść z suspensem są już początki jego kariery. W latach 1958-59 był dyrektorem Ośrodka Kultury Francuskiej w Warszawie, mieszkał przy ul. Rutkowskiego 32 (dziś Chmielna 27), a wyrzucano go z PRL za „złe prowadzenie się” z chłopcami. Próbę napisania reportażu o pobycie Foucaulta nad Wisłą podjął niedawno Remigiusz Rzyński w „Foucault w Warszawie”. Niestety, tytuł jest mylący. To barwna opowieść o gejowskim mieście i jego esbeckiej inwigilacji, ale brakuje w niej Foucaulta. Większość świadectw pobytu przepadła, zachowały się tylko szczątkowe informacje w archiwum IPN, które nic nowego o nim nie mówią. Żyją jedynie ci, którzy znali tych, którzy znali Foucaulta. Podobno mówiło się o nim: „ten Francuz, wiesz. I każdy wiedział”. Dziś pozostała po nim miejska legenda, idealna nie na reportaż, lecz na fikcję. Prawdzie się bowiem ów Francuz wymyka.

Parasolki z Sofii

U Bineta wszystkie tropy w sprawie zabójstwa Barthes’a prowadzą do kobiety. Złej kobiety z Europy Wschodniej. Kierowcą



JERRY BAUER / OPALÉ / EAST NEWS

Foucault był pierwszym filozofem, który **jeździł jaguarem (cóż z tego, że używanym)**. Nosił się jak dandys i dobrze reagował na kolejne narkotyki.

feralnej furgonetki jest Bułgar, a dwóch krzepkich jegomości z Sofii, uzbrojonych w parasole, podąża śladem powierników siódmej funkcji języka. Nawet Foucault „widzi wszędzie wiewiórki”. Binet wykorzystuje tu sprawę „bułgarskiego parasola”, czyli zabójstwa w Londynie w 1978 r. Georgiego Markowa, pisarza i dysydenta, za pomocą trucizny wstrzykniętej szpikulcem parasola. Mózgiem operacji przechwycenia lingwistycznego zaklęcia czyni Julię Kristevą – jako szpiega bułgarskich służb specjalnych.

Prawdziwa Kristeva z Sofii do Paryża przyjechała pod koniec 1965 r., została jedną z ulubionych studentek Barthes’a i żoną Philippe’a Sollersa, założyciela kontrkulturowego czasopisma „Tel Quel”. Razem przeżyli typową dla młodej paryskiej lewicy fascynację maoizmem. Kristeva poszła wkrótce własną ścieżką antropologicznie wrażliwej psychoanalizy, o emancypacyjnym i feministycznym zacięciu. W mediach prezentuje się jako swobodna i nieuprzedzona obywatelka świata. W powieści Bineta cechuje ją jednak „jadowity, lodowaty, strukturalistyczny słowiański wdzięk”, wystudiowane pohamowanie emocji i dążenie po trupach do celu.

W roli czarnego charakteru, który chce zawłaszczyć owoce zachodniej humanistyki, tendencyjnie obsadzono przybyszkę ze Wschodu – można by się zachnąć. Problem w tym, iż fikcja ściga się z rzeczywistością. W ostatnich dniach marca „Nouvel Observateur” ogłosił, że Kristeva od 1970 r. była tajnym współpracownikiem bułgarskich służb specjalnych i przyjęła pseudonim „Sabina”. Sprawa się wydała, kiedy zgodnie z bułgarskim prawem badaczkę poddano lustracji jako redaktorkę magazynu „Literaturen Vestnik”. Z udostępnionych w kwietniu dokumentów wynika, że przekazywała mało istotne informacje o francuskich komunistach i lewicy, a wywiad zrezygnował z jej raportów na początku 1973 r. Nie wiadomo, czy dostawała wynagrodzenie. Kristeva gwałtownie zaprzecza tej współpracy. Twierdzi, że dokumentacja o rzekomej agenturze została sfabrykowana, a dziś jest ujawniana, by zniszczyć jej dorobek. Za wcześniej, by rozstrzygać, gdzie leży prawda (a z nią w postmodernizmie jest wyjątkowo kruch), lecz francuskie media już przypięły psychoanalityczne etykietkę „agentki bułgarskiego KGB”, wspominając przy tym ➔

→ *bestseller* Bineta. Zła to fama, ale o Kristeovej znowu się mówi.

Smutek peryferii

Na przełomie lat 70. i 80. do repertuaru pogawędek francuskich intelektualistów należały polskie tematy na czele z Solidarnością, stanem wojennym, papieżem, Wałęsą oraz antysemityzmem i współudziałem Polaków w Zagładzie. Ale francusko-polskiego fermentu intelektualnego na kartach powieści próżno szukać. Mimo że w tym czasie we Francji mieszkał Konstanty Jeleński i wiele innych fascynujących osób.

Polscy twórcy także nie widzą w rodzimych humanistach bohaterów popkultury. Traktują ich śmiertelnie poważnie albo jak czcigodne babcie i dziadków. Zwykle na smutno – bo niby taki los peryferyjnego naukowca. A szkoda, bo niektórzy są gotowymi postaciami literackimi. Czyż nie mogłaby powstać powieść o Zygmuncie Baumanie w roli detektywa na tropie płynnych tożsamości dżentelmenów z Uniwersytetu w Leeds? Albo (choćby i podlane patriotycznym sosem) zbeletryzowane perypetie wojenne akowskiej łączniczki Ewy, czyli Barbary Skargi? Czy w konwencji sagi fantastycznej nie można by przenieść Leszka Kołakowskiego w czasie, by pomógł starożytnym ocalić Sokratesa od cykuty? Czy odpowiedzią na zagraniczne bestsellery nie mógłby być „Kod Janion”, dochodzenie w sprawie tajnego spisku romantyków, którego korzenie sięgają niesamowitej słowiańszczyzny, a gałęzie Instytutu Bań Literackich PAN?

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCAK

Laurent Binet, **SIÓDMA FUNKCJA JĘZYKA**, przeł. Wiktor Dłuski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018

Bez waty cukrowej

ANITA PIOTROWSKA

„Kupię mamę za 30 000 pesos” – ogłoszenia tej treści rozkleja mała bohaterka filmu. Skoro dorośli mogą w dzisiejszej Manili kupować dzieci, dlaczego dziecko nie mogłoby kupić sobie dorosłego?

WCIECIE FRASOBLIWYCH „MARYJEK”, ale i w bliskim towarzystwie transseksualnych prostytutek toczy się życie bohaterki filmu „Blanka”. Byłaby to tylko egzotyczna ciekawostka, gdyby nie fakt, że tytułowa postać z filmu Kohki Hasei ma zaledwie jedenaście lat, a i sam film przeznaczony jest dla widowni dziecięcej. W krajach, gdzie stosuje się w kinach dopuszczalną kategorię wiekową, wynosiła ona dziesięć lub dwanaście lat. Myliłby się jednak ten, kto uznałby debiut japońskiego reżysera za prowokację. Film, który rozgrywa się i był kręcony w filipińskich slumsach, nie mógł wyrętszować ze swojego tła tego wszystkiego, co stanowi ich codzienność: nędzy, bezdomności, wykorzystywania nieletnich. Kino dziecięce zwykle oszczędza swoim widzom takich widoków. Hasei traktuje ich ze wszech miar poważnie i pokazuje, że nawet w miejscu, które wydaje się piekłem na ziemi, czasem udaje się ocalić coś ludzkiego.

„Kupię mamę za 30 000 pesos” – ogłoszenia tej treści mała bohaterka rozkleja na ulicach dzisiejszej Manili. Skoro dorośli mogą tutaj kupować dzieci, dlaczego dziecko nie mogłoby kupić sobie dorosłego? W końcu liczy się tylko zdobycie odpowiedniej kwoty. I Blanka podejmuje to wyzwanie. Każdego dnia walczy o przeżycie w świecie skleconym z kartonów i śmieci. Utrzymuje się z drobnych kradzieży, choć jest to znacznie lepsza i bezpieczniejsza forma zarobku niż oferta wysyłana jej co jakiś czas z dorosłego świata, zarówno w jego wersji przestępczej, jak



i tej legalnej, miłosiernej. Taka sugestia może się wydać wywrotowa, podobnie jak pomysł, by szefową gangu kilkuletnich złodziejasków uczynić drobną dziewczynką. Lecz właśnie owa szczypta anarchii wychodzi filmowi na dobre. Hasei pozostaje jak najdalszy od idealizowania życia filipińskich bezprizornych, a jednocześnie wrzuca nas bez asekuracji w żywioł manilskiej ulicy z całą jej witalną energią i upodleniem.

Na wzór reżyserów irańskich, którzy w swoich opowieściach z dziecięcym bohaterem w roli głównej chętnie sięgali po język neorealizmu, również twórca „Blanki” jawnie zapożycza się u włoskich klasyków – stawia na paradokumentalną oprawę i angażuje do obsady naturyżczyków (choć warto dodać, że grająca Blankę Cydel Gabutero z wyspy Negros zasłynęła już wcześniej jako gwiazda YouTube’a). Przyjaźń bohaterki ze starym niewidomym grajkim kojarzy się z Chaplinem, czego reżyser również się nie wstydzi, przywołując nawet dosłownie figurę włóczęgi w meloniku. Nie jest też przypadkiem, że film o sierotce poszukującej

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Śłuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ W TV [14 – 20 VII]

1. Mother!



Horror, reż. Darren Aronofsky, USA 2017, Cinemax, 15 VII, 20.00, 17 VII, 20.00, 20 VII, 21.20

Piękna katastrofa czy współczesna przypowieść gnostycka? Jedno jest pewne: twórca „Requiem dla snu” nie uznaje żadnych kompromisów. Nawet wówczas, gdy tworzy krwawe widowisko i obsadza je największymi gwiazdami (Jennifer Lawrence, Javier Bardem, Michelle Pfeiffer). Bóg, Natura, Męskość i Kobiecość – wszystko tu woła o wielkie litery.

2. Niewidzialne



Dramat, reż. Paweł Sala, Polska 2017, Canal+, 15 VII, 21.00, Canal+1, 15 VII, 22.00

W obskurnej suterenie pracują trzy szwaczki, kobiety po przejściach, których skargom przysłuchuje się młody krojczy. Znany dramatopisarz, twórca filmu „Matka Teresa od kotów”, dostrzega w swoich bohaterkach symbol współczesnego wykluczenia i wysysku, oddając głos trzem świetnym aktorkom: Sandrze Korzeniak, Halinie Rasiakównie i Natalii Rybickiej.

3. Detroit



Dramat, reż. Kathryn Bigelow, USA 2017, Showmax, od 19 VII

Laureatka Oscara za „The Hurt Locker. W pułapce wojny” upamiętnia wydarzenia z lipca 1967 r. Wkroczenie policji do nielegalnego klubu w Detroit, gdzie zgromadzili się afroamerykańscy weterani wojny w Wietnamie, doprowadziło do zamieszek rasowych na niespotykaną dotychczas skalę. Efekt to 43 zabitych i 467 rannych.

4. Meciar



Dokumentalny, reż. Tereza Nvotová, Czechy/Słowacja 2017, HBO GO, od 19 VII

Pierwszy premier niepodległej Słowacji w obiektywie młodej reżyserki to przykład choroby, która trawi słowacką scenę polityczną po dziś dzień. Wykorzystując prywatne nagrania wideo, film próbuje zgłębić fenomen populisty o dyktatorskich zapędach, niestroniącego od przestępczych metod walki o władzę.



MATERIAŁY PRASOWE SNH

Kadr z filmu „Blanka”

mamy bywa porównywany do „Olivera Twista”. Bo to właśnie z dickensowsko-chaplinowskiego wyważenia proporcji między pocziwością i brutalnością powstał film rzadki w swoim gatunku, pozbawiony konsystencji waty cukrowej czy kolorowych żelków.

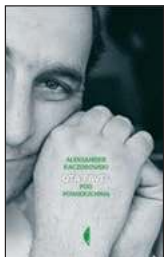
Czepialscy dorośli zawsze mogą skrzywić się na zbyt deklaratywne chwilami dialogi i zgrane topoty. Czy film dziecięcy rzeczywiście nie może się obejść bez motywu wzbijających się tęsknie latawców czy przynoszących szczęście złotych rybek? W „Blance” na szczęście dostajemy tylko ten pierwszy bonus, a Hasei nade wszystko stara się trzymać ziemi. Jego film jest przez to skuteczną odtrutką na typowe produkcje rodzinne, a zarazem dziecięcą odpowiedzią na filmy w rodzaju „Slumdog. Milioner z ulicy”. Nie znajdziemy tu jednak naiwnego eskapizmu ani natrętnej pedagogiki, która miałaby na siłę wybudzać dzieci urodzone w lepszych miejscach świata z konsumpcyjno-ignorancją drzemki.

Choć właściwie, dlaczegoż by nie? Dostrajemy przecież współczesną bajkę o bez-

domnej dziewczynce, która prócz śpiewania umie także kraść i liczyć pieniądze, lecz nie marzy o kupnie smartfona najnowszej generacji czy zostaniu księżniczką. I twórca „Blanki” potrafi opowiedzieć nam tę cudowną historię, unikając fałszywych tonów. Ma bowiem szacunek do swego widza – i to bez względu na jego wiek. Najłatwiej przecież byłoby zagrać z całej siły na emocjach albo, dla odmiany, wrzucić nas w filmową „turystykę biedy”. Reporter Wojciech Tochman, który poznał kiedyś dobrze slumsy Manili, tak opisywał sytuację zwiedzającego: „Turysta ślizga się po powierzchni, uprawia podglądactwo, ocieractwo. To mu wystarcza, to go zaspokaja”. Hasei wyłamuje się ze stereotypu sytego Japończyka z aparatem wymierzonym w dzieciństwo spędzone na śmietniku. Zamiast taniej egzotyki poszukuje tam mimo wszystko czegoś innego – co byłoby bliskie marzeniom i emocjom tego lepszego świata. ©

BLANKA – reż. Kohki Hasei. Prod. Włochy/Filipiny/Japonia 2015. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty.

Lektor: Skrzydło czeskiego tryptyku



■ Aleksander Kaczorowski
OTA PAVEL. POD POWIERZCHNIĄ

Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2018, ss. 326.

Rok 1976, „ŚMIERĆ PIĘKNYCH saren” ukazuje się w serii Współczesna Proza Światowa. Olsnienie. Skąd się wziął ten genialny autor? Jak to się stało, że jego opowiadania wydano w Pradze na początku lat 70., po inwazji na Czechosłowację i rozpoczęciu „normalizacji” czeskiej kultury i życia społecznego? Biografia Aleksandra Kaczorowskiego odpowiada na te

pytania – i na wiele innych. Odtwarza losy bohatera, ale i wprowadza w historię Czech od XVIII w. po schyłek komunizmu, widzianą ze szczególnej perspektywy – czeskich Żydów.

Ota Pavel (1930–1973), wcześniej Popper, był bowiem synem Żyda i Czeszki. Rodzina była w pełni zasymilowana, co nie uchroniło jej od prześladowań nazistów.

Babka zginęła, dziadek zmarł tuż przed wywózką do obozu w Terezynie, dokąd trafili też starsi bracia Oty. Obaj przeżyli, podobnie jak ojciec, Leo Popper, nieustannie obecny w prozie najmłodszego syna. Kaczorowski konfrontuje literacki portret „tatusia” z faktami, prowadzi nas przez zmitologizowany kraj lat dzieciennych pisarza nad rzeką Berounką, odtwarza powojenne dzieje Popperów. Akces (z przekonania) do partii komunistycznej, o którym Ota Pavel napisze po latach w „Biegu przez Pragę”, groteskowy epizod nieudanej służby Lea w wywiadzie... A potem już głównym wątkiem staje się życie Oty: sportowca, potem dziennikarza sportowego. Atak choroby psychicznej podczas zimowych igrzysk w Innsbrucku, długie pobyty w szpitalu na praskich Bohnicach. Spotkanie z psychiatrą Pavlem Grofem i eksperymentalna kuracja litem, umożli-

wiająca powrót do w miarę normalnego życia. Rok 1968: odchodzi Leo, emigruje doktor Grof, zaprzyjaźniony prozaik Arnošt Lustig zostaje za granicą, później przypadkowa śmierć zabiera starych przyjaciół, w tym przewoźnika znad Berounki. Ukazuje się „Śmierć pięknych saren” (co było możliwe, bo autor nie oddał legitymacji partyjnej), Pavel pisze też swój najpiękniejszy reportaż – „Bajkę o Rašce” (Jiřim Rašce, sławnym skoczku narciarskim). Jego zdrowie coraz bardziej się jednak pogarsza. Umiera w Bohnicach, dokąd trafił po kolejnym ataku choroby. Aleksander Kaczorowski jest znakomitym czechoznawcą, co udowodnił biografiami Václava Havla i Bohumila Hrabala. Portret Oty Pavla domyka tryptyk. Nie obraziłbym się, gdyby ten ołtarz miał więcej skrzydeł i na kolejnym pojawiła się na przykład postać Josefa Škvoreckiego... © P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



NA LATO I NA LATA. CZYTAJ „TYGODNIK” W PRENUMERACIE

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok dla osób poniżej 25. lub powyżej 65. roku życia

■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PAWEŁ

Bravo: Moda na talerzu



LEPIEJ, ŻEBY SIĘ W GŁOWACH POPRZEWRAÇAŁO niż w żołądku. Za każdym razem nachodzi mnie taka myśl, kiedy czytam o nowych modach i koncepcjach w jedzeniu, które zaim jeszcze dotrą na niższe piętra masowej dystrybucji i przestaną być *fancy*, zjawiają

się na branżowych targach i degustacjach dla mediów. Jakie prawidła rządzą tym, że spośród pięciu różnych niszowych dziwnactw, które tak zwani „ambasadorzy” zachwalają na imprezie, jedno akurat się przyjmuje na najbliższy rok? Kto decyduje, że dziś najbardziej szalowa wśród ludzi, którzy chcą pić zdrowo, ale nie aż tak, żeby się odważyć na sięgnięcie po kranówkę, jest woda aloesowa? Czekam z utęsknieniem, aż swoje pięć minut dostanie sok z brzozy, bo go szczerze lubię i chciałbym mieć większy wybór niż butle po mineralnej brane spod lady od znajomego dostawcy warzyw z Podlasia. Tylko że zanim się nasi nieliczni dystrybutorzy tego reliktu słowiańskiej magii drzew zorientują, że można podbić Soho i Zbawix, to nastanie rok wody z lukrecją.

Albo z octem. Mówię serio. Wśród dziesięciu najbardziej obiecyujących zjawisk nowojorskich targów Fancy Food Show, będących w branży zbytku jedzeniowego czymś takim jak Milan Fashion Week dla niepotrzebnych ubrań, przebiegały się napitki z octem (przeważnie jabłkowym, będącym ubocznym produktem cydrowni). To, że ocet jest dobry nie tylko na osad z kamienia w czajniku i zacieki przy zlewie, jest wiedzą w sumie dość archaiczną: starczy odkurzyć poradnik w rodzaju „ABC porządków domowych”. Dwie łyżki zdrowego, nieprzemysłowego octu wypite w szklance wody zatrzymują wchłanianie skrobi – co ma znaczenie dla każdego, komu grozi cukrzyca w epoce, gdy „skrobię modyfikowaną” znajdziecie w składzie każdego prawie produktu na półce. Od kiedy mój przyjaciel wędrujący stale po Ziemi Świętej zapewnił mi dostawę octu ziołowo-czosnkowego od trapistów z klasztoru Latrun pod Jerozolimą, uwielbiam ten rytuał, chociaż moment otwierania buteleczki wiązał się dla mnie długo z piskiem i ucieczką dzieci z kuchni, gdyż nie każdy delikatny nosk lubi silną woń czosnku podbitą specyficzną, octową kwasowością. Ja akurat uwielbiam ten piwniczny powiew. Kiedy produkty z tegorocznego Fancy Food dotrą do Polski, muszę sprawdzić, czy producentom octowych napitków, oprócz dodania aromatów w rodzaju buraczków lub cytryny, udało się usunąć charakterystyczny zapach.

W kwestii aromatów, podobno dużą karierę ma zrobić masło klarowane, czyli ghee z dodatkiem himalajskiej soli, czosnku (to jeszcze rozumiem, chociaż długotrwałego macerowania czosnku w czymkolwiek się boje) albo wanilii z Madagaskaru. Ghee jest jednym z fundamentów kilku bardzo popularnych reżimów jedzeniowych – takich jak ajurweda czy dieta paleo, to znaczy udająca pożywienie z epoki paleolitycznej – więc należy się spodziewać, że to dopiero początek przygody. Jednak syn-

drom „problemu pierwszego świata” odczułem w pełni dopiero wobec oferty półproduktów uzyskanych z kalafiora. Albowiem dotąd był ponoć „zbyt pracochłonny”. Jakoś nie kojarzę, jaka to znów wielka praca. Do różnych wypieków i zup widziałem mąkę kalafiorową, jak się domyślam, uzyskaną ze sproszkowania kwiatów. Oraz krakersy i przekąski. I to w sumie niezły pomysł: jeśli jeszcze zdążycie przeczytać te słowa przed finałem mistrzostw świata, przygotujcie dla gości na mecz brytfankę polaną obficie oliwą, w której ułożycie małe różyczki kalafiora obtoczone w wyrazistej ziołowej mieszance – trzeba je podpiec, ale tak solidnie, aż się mocno zrumienią, i wystudzić. Do pogryzania z miski, uzależniają jak chipsy ziemniaczane z paczki albo jeszcze bardziej.

Włosi mieli swoją mundialową kompensację podczas nowojorskiego show – ich pawilon był jak zwykle największy i najbardziej oblegany, niewątpliwie we wmawianiu innym, że umieją dobrze zjeść, są mistrzami świata. Ale tym razem przejęli: jako najciekawszy region włoskiej kuchni promowali Kalabrię. Wszystko da się powiedzieć o czubku włoskiego buta – ma piękne morze, zapomniane do Boga i ludzi miasteczka, gdzie ledwo zasięg dochodzi, a także wieloletnią tradycję rozbójnictwa, porwań, wymuszeń i klanowego terroru, dzięki czemu lokalna mafia zwana *’ndrangheta* jest dziś czołowym dystrybutorem kokainy na kontynencie. Ale z jedzeniem, nawet jak ktoś uwielbia biedną strawę pasterzy, jest kiepsko, poza kilkoma ciekawymi kiełbasami na ostro. Pieniądże, przeznaczone na promocję regionu, zwłaszcza rozsądnie wydane na dziennikarskie wyjazdy połączone z kilkudniowym byceniem się na plaży, mogą prawie wszystko, ale są pewne fake newsy, których nie da się wiarygodnie zapakować. ©P



À propos biednego w sumie dania z nadmorskich okolic południa Włoch. Sycąca sałatka, do jedzenia na zimno w lecie. Kupujemy mrożone *ramiona ośmiornicy*. Rozmrażamy je. Wkładamy do dużego garnka z zimną wodą, doprowadzamy do wrzenia, gotujemy na wolnym ogniu ok. godziny, aż zmiękną. Wylączamy ogień i zostawiamy ośmiornicę w garnku, aż woda trochę wystygnie. Wyciągamy jeszcze gorącą, nacinamy skórkę i obieramy ramiona. Kroimy mięso na małą kostkę. Obieramy kilka *ziemniaków* i kroimy je w kostkę ilością mniej więcej odpowiadającą ośmiornicy. Dusimy kilka minut na *oliwie*, dajemy *sól, ząbek czosnku*, odsączoną *ciecierzycę* z puszki i mięso ośmiornicy. Sypiemy obficie *pieprz i tymianek*, podlewamy odrobiną wody z gotowania ośmiornicy, dusimy na wolnym ogniu, ewentualnie podlewając jeszcze wodą, aż ziemniaki zmiękną i zaczną się „rozmazywać”, tworząc rodzaj kremowego sosiku.



POLSKIE SMOKI

W Krakowie działa ponad 30 salonów tatuażu, w Białymstoku ponad 20, Warszawie ponad 300. Co dziesiąty dorosły Polak decyduje się na tatuaż. Jest lato, więc teraz możecie się ich naogłądać.

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Jeszcze w LATACH 80. TATUOWALI SIĘ GŁÓWNIEMIE WIĘŹNIOWIE – w ten sposób znaczyli swoją hierarchię, podział na gitowców i tych gorszych. Po transformacji ustrojowej i otwarciu na świat kryminopochodną sławę odczarował tatuaż importowany z Zachodu, o którego wartości stanowi nie tyle identyfikacja z grupą, co estetyka. Forma, kompozycja, kolor. I wykonanie.

Początki były amatorskie: maszynki do tatuażu tworzyło się przerabiając walkmany, a barwniki zastępował tusz kreślarski. Pierwsze profesjonalne salony powstawały u progu lat 90. By przetrwać, łąpały się fachów pokrewnych, m.in. piercingu – wkłuwania kolczyka w nos, język, miejsca intymne.

Tatuaż opuszczał getto subkultur – zaakceptowały go różne grupy zawodowe i społeczne, włącznie z robotnikami i nauczycielami, majętnymi i uboższymi. Jak wspominają weterani tatuażu, wśród kobiet powodzeniem cieszyły się delfiny i chińskie symbole, mężczyźni preferowali tribale – wzory stylizowane na etniczne. Na motywy patriotyczne decydowali się wówczas skinheadzi (dziś głównie narodowcy). Osoby publiczne zaczęły śmiało demonstrować tatuaże – tabloidy komentowały kolejne nabytki Agnieszki Chylińskiej, paparazzi uganiaли się za minister Elżbietą Bieńkowską z nadzieją, że chusta odsłoni sekret skrywany na ramieniu. Fala kulminacyjna nadchodzi w 2005 r.



Telewizje emitują „Miami Ink” – *reality show* poświęcone tatuażom. Salony pękają wtedy w szwach.

Tylko nie na twarzy!

– Pierwszy? Gdy miałam 16 lat – mówi Zofia Pilitowska, współwłaścicielka krakowskiego baru śniadaniowego. – Napis z boku tułowia, nie na samym brzuchu. Myślałam: kiedyś zajdę w ciążę, skóra się rozciągnie i będzie to wyglądać kiepsko, stąd wybór miejsca. Od tego czasu i trochę utylam, i trochę schudłam, potem znowu trochę utylam i trochę schudłam, tatuaż się rozlał, niechętnie o nim mówię. Mama o nim nie wiedziała, ale zastanowiło ją moje zachowanie: w czasie kąpieli zamykałam się w łazience, a dotąd mogła wchodzić, kiedy chciała, nie miałyśmy przed sobą sekretów. Gdy go w końcu zobaczyła – tydzień się do mnie nie odezwała. Z czasem na moim ciele pojawiały się kolejne tatuaże, musiała się przyzwyczaić. Powiedziała: „Twoje ciało, rób co chcesz, tylko błagam, nigdy nie tatuuj się na twarzy i klatce piersiowej, kiedyś będziesz tego żałować”.

Kucyka Pony wytatuowałam, gdy miałam lat 19, z okazji Halloween. Proszę spojrzeć: do tego miejsca to klasyczny Pony, ale dupkę ma już krwawą. Na drugim ramieniu mam panią brunetkę. Dlaczego? Spodobał mi się wzór, kolorystyka i różę, dziś



BEATA ZAWRZEL DLA „TP”

to już kwestia przyzwyczajenia. Stojąc za barem, tysiąc razy słyszałam: „A kto to jest?”. Kiedyś facetowi na lekkiej bani rzuciłam poirytowana: „Moja zmarła siostra”. Kajał się: „Już nigdy nie będę pytał o tak osobiste sprawy, bardzo panią przepraszam”. I dobrze, niech nie pyta, nawet jeśli go okłamałam. Żaden tatuaż nie ma dla mnie emocjonalnego znaczenia. Za wyjątkiem konika – dziecięcej zabawki z wkomponowanym imieniem „Kasia”. Kiedyś Kasia była moją przyjaciółką... Ale nadal jest ważną częścią mojego życia.

Kobieta-bokserka? Bo też jestem fighterką. Kostka masła? Bo uważam, że nie da się nic dobrego ugotować bez masła. Korkociąg? Bo uwielbiam wino. Ale jeszcze ważniejsze jest to, że kiedy tatuowałam się, robiłam międzynarodowy kurs sommelierski, to jest na pamiątkę zdanego egzaminu. Muszelka, serce, ząb – po prostu ładny ornament. To samo z kropkami na paznokciach – wyglądają jak permanentny makijaż.

Na goleni mam diamenty i meksykańskie czaszki. Stare tatuaże, nie podobają mi się, chciałabym je zakryć innym tatuażem. W ogóle na moim ciele widać, jak zmieniała się moda. Kiedy 15 lat temu zaczęłam się tatuować, w Polsce uchodziło to jeszcze za ekstrawagancję. Robiło się go w domach, tuszem zawierającym opiłki żelaza. Dokuczał mi ostatnio kręgosłup,

ZOFIA PILITOWSKA: *Kucyka Pony wytatuowałam, gdy miałam lat 19, z okazji Halloween.*

dostałam skierowanie na rezonans magnetyczny. Wkoło wszyscy odradzali: przez te opiłki może ci wyrwać kawałek tkanki skórnej. W końcu zaprzyjaźniony lekarz powiedział, bym się nie wygłupiała i zrobiła rezonans. Posłuchałam go, miał rację, nie było żadnych problemów.

Nigdy nie wiem, które miejsce na ciele będę tatuować. Dopiero jak zobaczę wzór, podejmuję decyzję. Tak jak z tą pszczołą. Moja ulubiona tatuatorka przykładała mi jej wzór w różnych miejscach i uznałyśmy wspólnie, że najlepsza będzie na tym kawałku ręki.

Kiedyś lubiłam duże obrazy, teraz robię malutkie, najchętniej wykonywane przez dziewczyny. O, to jest mój najnowszy, zrobiła ją „Gruba Baba”, tak się tatuatorka podpisuje. Jej prace zobaczyłam na Instagramie, zachwyciłam się prostą formą.

Do czego da się porównać ból przy robieniu tatuażu? Do przypalania papierosem. Potem odczuwa się lekkie mrowienie, po większym tatuażu zdarzało się, że gorączkowałam. Ile mam tatuaży? Przestałam liczyć, sądzę, że ponad trzydzieści.

Z jakimi spotykam się reakcjami? Zdarza się, że ktoś na mój widok przeżegna się. Albo zapyta: „Z jakiego pierdla zwiłaś?”. Lub: „Ale żeś się wymalowała! Po co ci to?”.

Powszedni i wyklęty

No właśnie: po co? Pytanie coraz rzadziej stawiamy, bo już co dziesiąty dorosły Polak decyduje się na tatuaż – wynika z badań CBOS przeprowadzonych w czerwcu 2017 r. Połowa ankietowanych ma jeden rysunek, prawie jedna trzecia – dwa, a kolejne 19 proc. – trzy i więcej. Rekordziści – po kilkadziesiąt.

Salony tatuażu ledwo nadążają z przerobem. Lecz mimo łatwej dostępności, nadal sprzedają się jako miejsca wyklęte i niedostępne. Ci, którzy tatuaż wykonują, swoją tożsamość chowają pod pseudonimem. Platformą prezentując ich dokonania są portale społecznościowe. Jeszcze nie istnieje kierunek studiów Tatuażystyka, choć coraz więcej absolwentów Akademii Sztuk Pięknych, po odbyciu fachowych kursów, podejmuje się tatuowania.

I nie jest prawdą, że tatuaż zostaje na całe życie. Da się go usunąć, choć to kosztowne i nie zawsze daje wymarzony efekt, bo mogą zostać blizny. Jedną z firm, która się tym zajmuje, przyjęła nawet dowcipną nazwę: Błędy młodości. Powszechny przy usuwaniu jest laser: skoncentrowane światło podnosi temperaturę zawierających barwnik komórek, które są niszczone i usuwane przez organizm. Trzeba poddać się dwóm, trzem zabiegom. Sporo osób wybiera jednak inną metodę – rozjaśnia stary tatuaż, by potem przysłonić go nowym, jeszcze efektywniejszym.

Tak więc tatuaż z jednej strony spowszedniał. Z drugiej – wciąż obniża próg społecznego zaufania do „nosiciela”. Są na to sposoby – pewien świetny chirurg jest wytatuowany wyłącznie do końca rękawa lekarskiego fartucha.

W Krakowie działa już ponad 30 salonów tatuażu, w Białymstoku ponad 20, w Warszawie ponad 300. Koszt tatuażu warunkuje renoma wykonawcy i kunszt samego wzoru. Kolor jest droższy od czarnego, ważny jest rozmiar. Ceny zazwyczaj startują od 200 zł, kończą się na grubych tysiącach.

Pytam Jakuba Nowickiego, menadżera krakowskiej restauracji, czy wytatuowana pod okiem liczba 1984 jest nawiązaniem ➔



ANNA WOJTECKA

RENATA KURYŁOWICZ: Mam na ciele dzieło sztuki wkomponowane w resztę moich tatuaży; jeden przechodzi w drugi, są przemyślaną kompozycją.

W kolejce do najlepszych czeka się po kilka miesięcy. W dobrze wykonanym rysunku liczy się suma paru czynników: precyzja linii, kontury, gładko położone kolory, ładne przejścia, dopasowanie tatuażu do kształtu ciała. Trzeba wiedzieć, jak ono wygląda w ruchu i w którym kierunku biegną mięśnie. Najpiękniejszy portret wykonany niezgodnie z anatomią daje wrażenie niedoskonałości.

W przeglądanych na Instagramie i w numerach branżowego magazynu „Tatoofest” zdjęciach tatuaży najwięcej jest archetypicznego wręcz kiczu: czaszki, róże, ptaszki, mandale, węże. Są też znakomite imitacje motywów pop-artowców. Zwraca uwagę twórczość Martyny Popiel, której tatuaże są jak krajobrazy malowane akwarelami. Jakub Nowicz miniaturowe wizerunki zwierząt utrzymuje w odcieniach szarości. Tatuaże Pauliny Szołoch są niczym bazgroły na marginesach zeszytów schlapanych kleksami atramentu. Styl Mariusza Trubisza jest eklektyczny – w jednym wzorze łączy on mocno czarne linie i kolorowe geometryczne wzory bez konturów. Marta Kudu inspirowała się kubizmem, i surrealizmem.

– Człowiek, który tatuuje, powinien umieć dobrze posługiwać się klasycznymi narzędziami, ołówkiem, pędzlem, dłutem – mówi Robert „Robson” Łypik, prowadzący szkolenia tatuażu i autorską pracownię. – Tatuowanie to nic innego jak sposób wypowiedzi artystycznej, podobnie jak rysunek, malarstwo, grafika. Tylko wykorzystuje materię skóry budzącą tyle emocji. By móc wykonać obraz w technice tatuażu, wystarczy umiejętność rzemieślnicza. Ale jeśli chce się stworzyć obraz o wysokich walorach estetycznych, nieodzownie trzeba być artystą. Na szkoleniach uczę posługiwania się narzędziem. Nie uczę „artyzmu”, tylko techniki, jak zrobić, by pod skórę na optymalną głębokość wprowadzić odpowiednią ilość pigmentu, by można było stworzyć obraz w postaci tatuażu.

Ból i katharsis

– Motorem do zmiany starego tatuażu była w 2014 r. śmierć mojego męża – mówi Renata Kuryłowicz, właścicielka warszawskiego klubu. – Spotkałam się z ogromnym natężeniem ludzkiej nienawiści, osłabiło mnie to psychicznie. Wówczas w moim życiu nie było miejsca na chwilę słabości, musiałam stanąć twarzą w twarz z konkretnymi problemami. Kiedyś obudziłam się rano i postanowiłam zmienić wytatuowanego na lewym przedramieniu czarno-czerwonego smoka. Zadzwoiłam, by się umówić z Juniorem, który tatuuje od 20 lat. On jest artystą. Okazało się, że zwolnił mu się termin, co było niesamowite, bo na ogół czeka się do niego miesiącami.

Junior rysuje bezpośrednio na skórze, szuka na niej wzoru. Powiedziała, że chciałabym, by ten smok był większy, bogatszy i bardziej kolorowy. Około dwóch godzin na całym przedramieniu Junior rysował nowego smoka. Fantastycznie jest uczestniczyć w procesie, w którym ciało jest materiałem – płótnem. Gdy skończył, oboje stanęliśmy przed lustrem. Skwitowałam: „Za mały”. Junior: „W takim razie robimy całą rękę”. Narysowałam mi nowego smoka, który teraz ciągnie się od szyi po koniec dłoni. Podjęcie decyzji o tym tatuażu zajęło mi ułamek sekundy i to było coś najlepszego w moim życiu. Dlaczego? Smok dodał mi

do apokaliptycznej wizji George’a Orwella. Tłumaczy: – To rok mojego urodzenia.

Pod drugim okiem Jakuba czytamy: „łobuz”.

– To już żart – kwituje.

Żartem już nie jest to, że ma wytatuowane ok. 85 procent ciała, włącznie z głową. Wolny pozostał niewielki fragment twarzy. Mówi: – Ile razy patrzę w lustro, tyle razy myślę, czym go jeszcze dopełnić.

Zastanawiam się, jak się czuje z tym, że cały czas koncentruje na sobie uwagę. Słyszę: – Od dawna nie zwracam uwagi na tych, którzy zwracają ją na mnie.

Stylistyki

W stylistyce tatuażu istnieją sezonowe trendy: w 2018 r. elementy botaniczne, to plon protestu przeciwko wycince Puszczy Białowieskiej. Są też wzory-schematy, które można porównać do sukienki z letniej kolekcji sieciówki – identyczny krój i materiał, choć na każdej osobie wygląda inaczej. Latem ubiegłego roku na Dworcu Centralnym w Warszawie dostrzegłam dziewczynę pochłoniętą lekturą „Czarodziejskiej góry”; książkę trzymała w ręce z wytatuowaną Małą Mi, jedną z bohatererek „Muminków” – krnąbrną, złośliwą indywidualistką. Za kilka miesięcy ten sam tatuaż zobaczyłam na chudziutkiej lędze pani w średnim wieku – Mała Mi już nie miała tej charyzmy.

Najbardziej pożądanymi są artyści. Za tych uznawani są tatuażyści, którzy nie używają szablonu, szkic wykonują bezpośrednio na skórze. Klient rzuca tylko ogólny pomysł, reszta jest w ich rękach. Jeżdżą na międzynarodowe konwenty, śledzą światowe trendy.

wymiernych sił. Wije się wokół wcześniejszych tatuaży, m.in. oldskulowych serc z imionami synów. Smoczyca jest nie tyle moją grubą skórą, co naturalnym pancerzem – nikt mi go nie zabierze. Choć kiedyś pewna 80-latką spytała: „Czy pani to może zdjąć?”. Z dumą przyznaję, że mam na ciele dzieło sztuki wkomponowane w resztę moich tatuaży; jeden przechodzi w drugi, są przemyślaną kompozycją. W ten sposób o swojej sztuce myśli Junior.

Bo na drugiej ręce mam innego potwora – Kirina. Chińskie stworzenie mityczne, głowa konia, a tułów pokryty łuskami – to nasz odpowiednik jednorożca. Potężne zwierzę chroniące przed złem. Kirin jest moją drugą tarczą, głowę ma na ramieniu.

Pierwszy tatuaż? Na piersi, 20 lat temu, byłam w ciąży z pierworodnym. Z wykształcenia jestem historykiem sztuki, lubię ładne rzeczy. Wyobraziłam sobie, że moje dziecko przy karmieniu będzie miało urozmaicenie... Wytatuaowałam motylka, swoją drogą w Krakowie, gdzie studiowałam. Ale mój synek akurat nie lubił tej piersi. I karmiłam go zaledwie 3 miesiące, choć chciałam dłużej. Nie był to trafiony wzór, poprawiałam go już kilka razy, dookoła doszły nowe elementy. Ale na pewno nigdy z niego nie zrezygnuję.

Ból przy tworzeniu tatuażu jest niezbędny, powiem górnolotnie: niesie *katharsis*. Za to, co ważne, zawsze trzeba zapłacić cenę, a dla mnie tatuaże są ważne. Poza tym każdy ma inny próg bólu. Kiedy w studiu obserwuję tatuowane osoby, widzę, że jedne znoszą to znakomicie, inne – o wiele gorzej. A my, kobiety, znosimy go tak, jak nam pozwala miesięczny cykl – fizyczna wrażliwość zmienia się z każdym dniem.

Obserwuję ludzi, na ogół są to hipsterzy, którzy tatuują się na zasadzie: będę fajnie wyglądał. To rozumiem. Ale tatuują się tylko na tej części ciała, gdzie ból jest najłżejszy, a rana goi się najszybciej. Czyli omijają łokcie, przeguby, stawy, wszelkie zagłębienia, skupiska receptorów bólu. I najczęściej mają jednokolorowe tatuaże – kolor też nie jest przyjemny, to dla tatuatora podwójna robota; najpierw robi się kontur, dalej trzeba wypełnić go barwnikiem. Czyli większy ból dla tatuowanego.

Mam mocno wytatuowane ciało, które zwraca uwagę. W Portugalii ktoś zaccpił mnie na ulicy i zrobił sobie ze mną zdjęcie. W Centrum Pompidou podeszła do mnie elegancka Francuzka i zapytała, czy może mnie dotknąć, bo wyglądam jak dzieło sztuki. Na lotnisku w Dubaju kobieta w burce powiedziała: „Jak ja bym chciałam mieć takie tatuaże, ale religia mi na to nie pozwala”.

W Polsce na ogół słyszę nieprzyjemne komentarze, nawet w Warszawie, gdzie mieszkam. Kiedyś jeden mężczyzna powiedział do mojego młodszego syna, że nie chciałby mieć takiej matki. A ja stałam obok. Szła kobieta jakaś za mną i mówiła podniesionym głosem do osoby jej towarzyszącej, że tatuaże mają tylko przestępcy i prostytutki. Wtedy też szłam za rękę z moim ośmiolatkiem.

Ciekawe jest to, że istnieje przyzwolenie społeczne na operacje plastyczne. Nikogo już nie bulwersują usta na pół twarzy. Mam 43 lata, niczego w swojej urodzie nie poprawiam. Starzeć trzeba się z godnością. Nie zauważyłam, by ktoś podszedł do kobiety w restauracji i powiedział do niej przy dziecku, że nie chciałby mieć matki ze „zrobioną twarzą”.

JAKUB NOWICKI: *Od dawna nie zwracam uwagi na tych, którzy zwracają ją na mnie.*

Mam 180 cm wzrostu. Ludzie zawsze zwracali na to uwagę, mówili, że jestem za wysoka. To było moje przekleństwo! Teraz zwracają uwagę na tatuaż, a potem na wzrost. Lub wcale go już nie widzą.

Nietykalna blizna

By tatuaż dobrze wyglądał, powinno się go pielęgnować. Istnieją przeznaczone do tego kremy. Choć nie ma jeszcze takich, które mogłyby go usuwać, jestem przekonana, że w laboratoriach trwają badania nad ich recepturą; za kilka lat to murewany hit rynku kosmetycznego.

Na pewno z tatuażem nie będą chcieli się rozstać ci, dla których ma on znaczenie symboliczne. Jak dla Josha Marshalla z Kansas: wytatuaował sobie bliznę identyczną jak ta, która po operacji guza mózgu została na głowie jego ośmioletniego syna. Lub jak dla profesora Mikołaja Spodaryka, pediatry z Uniwersyteckiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie-Prokocimiu. Z jego przedramienia uśmiecha się Świnka Peppa – bohaterka kreskówki, która ma liczną rodzinę i żyje przykładowie ucząc najmłodszych, jak zachowywać się przy stole, a jak na pikniku.

Tatuaż jest profesorskim manifestem przeciwko głupocie speców od wychowania. Gdy w jednym z odcinków pojawiała się scena grillowania kiełbasy, wszczęli alarm, że bajka propaguje kanibalizm. Dla 58-letniego profesora Spodaryka ten tatuaż był pierwszy i, co deklaruje, ostatni. Bo dotąd, prawdę mówiąc, tatuażami trochę się brzydził.

© KATARZYNA KUBISIOWSKA



BEATA ZAWRZEŁ DLA „TP”

ANNA

Dziewit-Meller:

Pole zbliża



JEŚLI NAPRAWDĘ ŁAKNIECIE RELAKSU, NA LATO polecam odpoczynek na polach namiotowych i kempingach. Gdy tylko zamknie się za nami szlaban oddzielający przestrzeń pola od reszty świata – na krótki czas urlopu życie będzie mieć zupełnie inny wymiar (zwłaszcza jeśli okaże się, już po rozbiciu obozowiska, że za rachitycznym płótkiem znajduje się druga część – ta dla nudystów, z którymi jednak dzielimy sanitariaty, a oni swoje surowe zasady uparcie przenoszą na naszą stronę). Pole namiotowe jest bowiem miejscem, gdzie zakrzywia się czasoprzestrzeń, zahaczona o śledzie wystające z przystawki do przyczepy Niewiadów. Kto w takiej mieszkał, to wie.

Nawet jeśli pomiędzy nadmorskimi sosenkami krąży ponure widmo wi-fi, które ściga nas po plaży dźwiękiem nadchodzących z pracy maili i powiadomień z Facebooka, to jednak zazwyczaj za słabe jest ono, by te maile potem skutecznie otworzyć lub by w pełni przewinąć ekran pełen powiadomień o ludziach, którzy nas wcale nie obchodzą. Przynajmniej to w końcu. Telefon leży odłogiem, bo ładowanie go w WC, gdzie jako tako działają kontakty (i gdzie świat tekstylnych i nudystów jednak trochę się przenika), wymaga zbyt wielu poświęceń, zatem czarny jego ekran zamyka w sobie niczym wieko trumny wszystko. Wszystko.

Na polu namiotowym – dokładnie tak jak w latach 80., gdy spędzałam wakacje na kempingach różnych krajów wspólnoty RWPG – naczynia myte w umywalniach przez dzieci i odwiedznie przez nie źle splukiwane oddają posiłkom ten szczególnie aromat detergentu, co szczególnie ciekawie komponuje się ze smakiem zimnej wody mineralnej w upały. Dzieci na polach namiotowych generalnie wracają do formy, którą pamiętamy

sprzed lat. Zamiast siedzieć, biegają, zamiast pisać na messengerach, drą się do siebie i nawołują, uzbrojone w latarki wieczorami i w paletki do badmintona za dnia, lub moczą się z lubością w wodzie, nawet jeśli jej temperatura nie przekracza 15 stopni.

Na polu namiotowym w małym barze funkcjonującym koło recepcji grupka dzieci z zainteresowaniem graniczącym z wizytą w kinie 4D na nowym filmie Pixara patrzyła na ręce człowieka, który wielgachnym nożem marki Opinel strugał kredki, albowiem zakup ostrzałki przekroczył możliwości sklepu wielobranżowego w pobliskim miasteczku. Ta przygoda okazała się doskonałym wprowadzeniem do lektury książki Astrid Lindgren o Emilu, który jak przecież dobrze wiemy, strugał światki w drewnutni. Obecnie trwają negocjacje w sprawie pozwolenia na zabawy nożem. Potrwają do dnia wyjazdu, nie ma wyjścia.

Netflix, HBO, konsola, iPad – na polu namiotowym ich urok blaknie i to nie tylko dlatego, że na oświetlanych słońcem ekranach nic nie widać – gdy piszę te słowa, walcząc z brakiem widoczności liter na ekranie laptopa, czteroosobowa rodzina ze Słowenii, z namiotu obok, trzecią już godzinę rypie ostro w karciochy, a emocji przy tym jest tyle, co podczas meczu Chorwacja-Dania. *House of cards*.

Sąsiedzi z prawej – mili Czesi w wieku moich rodziców – co rano już do śniadania rozlewają wyciągane z lodówki w przyczepie piwa Zlatopramen, które ewidentnie przywieźli w dużej ilości z domu. Dwójka starszych harleyowców z Niemiec (oboje długowłosi i chodzący w skórach w upał) pod tym względem bije jednak na głowę rubasznych rodaków Hrabala – Niemcy do rogalika z dżemem piją rano whisky z plastikowych kubeczków. Motory od tygodnia szczelnie przykryte pokrowcami czekają spokojnie na sygnał do odjazdu.

Menażka, kuchenki na gaz, przywierające do dna garnków sosy pomidorowe, pogryzione przez osy miękkie brzoskwinie, szyszki boleśnie wbijające się w stopy, gdy nocą szuka się bosą nogą klapka, by pójść na siku, igły sosnowe w śpiworze, poranny upał wyganiający z namiotów – wszystko jak za dawnych lat. Kąpiel w nostalgii i zimnym morzu – są jak szczepionka przeciwko gnuśnej codzienności. Na polu jest fajnie fajnością bezpieczną, oswojoną i zwyczajną. I nawet ten uparty nudysta z umywalni stał mi się bliższy, gdyśmy ramię w gółę ramię stali nad miskami pełnymi prania. Pole zbliża. Choć do prawdy – wciąż nie wiem, co on, na Boga, prał. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ





nr 3 (3562)/18 14,90 zł (w tym VAT 8%)



**KUPŹE TEN PRZEKRÓJ,
KSIAŻĘ CI POWIADA!...**

Hamlet, akt VI, scena II



zdjęcie: Elina Brotherus

W KIOSKACH!

ZAMÓW PRENUMERATĘ NA WWW.PRZEKROJ.PL



S-NET

GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

**INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING**

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA.

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 29/2018

**FESTIWAL
STOLICA JĘZYKA
POLSKIEGO**

Skamandryci

Niedziela, <i>Dzień Zamojski</i>	5 sierpnia
ZAGADKOWA OSIECKA autorski program Katarzyny Stoparczyk z udziałem zespołu Karimski Club dla Dzieci – na żywo w Programie 5. PR.	9.00 — 11.00
MAŁA CZYTELNIJA	
Joanna Rusinek, Michał Rusinek – spotkanie autorskie	11.00 — 11.45
Agnieszka Wolny-Hamkało – spotkanie autorskie	11.45 — 12.30
Anna Dziewit-Meller – spotkanie autorskie	12.30 — 13.15
Aleksandra Łojewska, Katarzyna Sadowska – warsztaty integracyjne	13.15 — 14.00
ROZMOWY O JĘZYKU	
Paulina Mikula – spotkanie z autorką vloga „Mówiąc inaczej”	14.15 — 15.15
Izabela Winiarska-Górska, Jarosław Górski	15.15 — 16.15
Katarzyna Kłosińska, Michał Rusinek	16.15 — 17.30
<i>Stat in statione vaporitrahæ</i> – o. Tomasz Dostatni czyta „Lokomotywę” Juliana Tuwima w tłumaczeniu na język łaciński	17.30 — 17.40
ZAMOŚĆ W LITERATURZE <i>Dzieła literackie w interpretacji wybitnych polskich aktorów</i>	
„Kwestia krwi” – czyta Mariusz Bonaszewski	18.00 — 18.20
„Starzy ludzie z Zamościa” – czyta Anna Seniuk	18.30 — 18.40
„Opowieść o nieprzyjemnym diable Rokicie” – czyta Miłogost Reczek	19.00 — 19.10
„Rokolandia” – czyta Dorota Landowska	19.20 — 19.30
„Estera Kreindl Druga” – czyta Robert Więckiewicz	19.40 — 19.50
„Potop” – czytają: M. Bonaszewski, A. Seniuk, M. Reczek, D. Landowska, R. Więckiewicz	20.00 — 21.00
KONCERT	
IDŹ SWOJĄ DROGĄ Koncert piosenek Jonasza Kofty – Nula Stankiewicz, Janusz Strobel, Paweł Pańta, Cezary Konrad, Mariusz „Fazi” Mielczarek	21.30
Poniedziałek	6 sierpnia
KSIĄŻKI DLA DZIECI AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO – spotkanie autorskie	10.00 — 11.00
ROZMOWY O JĘZYKU IZABELA WINIARSKA-GÓRSKA, JAROSŁAW GÓRSKI	11.00 — 12.00
ROZMOWY O SZTUCE / DEBATY	
ROZTOCZE. WSCHÓD KREATYWNOŚCI – promocja publikacji	12.00 — 13.00
NOTATKI KRYTYKA FILMOWEGO – Tadeusz Sobolewski	13.00 — 14.00
WSZYSTKIE ODCIENIE SKAMANDRA – Piotr Matywiecki	14.30 — 15.30
SPOTKANIA AUTORSKIE / SPOTKANIA Z POETAMI	
DOROTA MASŁOWSKA	15.30 — 17.00
MIKOŁAJ GRYNBERG	17.00 — 18.00
PIOTR SOMMER	18.00 — 19.00
LITERATURA. NAGRODA. KONCERT.	
ROBERT WIĘCKIEWICZ – czyta Jarosława Iwaszkiewicza	19.15 — 20.15
OTWARCIE FESTIWALU I UROCZyste WRĘ- CZENIE NAGRODY WIELKIEGO REDAKTORA – z gościnnym udziałem uczniów Szkoły Muzycznej w Szczepleszynie	20.15 — 21.00
HANNA BANASZAK – koncert	21.30 — 22.30
ALBUM RODZINNY – wernisaż wystawy twórczości rodziny Karpowiczów	22.30

Wtorek	7 sierpnia
KSIĄŻKI DLA DZIECI JOANNA RUSINEK, ANNA DZIEWIT -MELLER – spotkanie autorskie	10.00 — 11.00
ROZMOWY O JĘZYKU PROF. JADWIGA PUZYNIŃNA	12.00 — 13.00
ROZMOWY O SZTUCE / DEBATY	
NIETYPOWA BABA JESTEM / KARDIOGRAM – Magdalena Malecka, Tadeusz Sobolewski – rozmowa z Anną Seniuk	13.00 — 14.00
MYŚLIDZIECKA 3/5/7 – rozmowa z Katarzyną Stoparczyk, Program 3 Polskiego Radia	14.30 — 15.30
SPOTKANIA AUTORSKIE / SPOTKANIA Z POETAMI	
KATARZYNA NOSOWSKA	15.30 — 17.00
NATALIA FIEDORCZUK	17.00 — 18.00
ANDRZEJ FRANASZEK	18.00 — 19.00
JULIA FIEDORCZUK, KHOLOUD CHARAF	19.15 — 20.45
DRAMAT. LITERATURA. MUZYKA.	
ANNA SENIUK – czyta Zbigniewa Herberta	21.00 — 22.00
IRAŃSKA KONFERENCJA – prapremierowe czytanie sztuki Iwana Wyrypajewa	22.00 — 23.30
Środa	8 sierpnia
KSIĄŻKI DLA DZIECI MICHAŁ RUSINEK, ANETA ZAŁAŻIŃSKA – spotkanie autorskie	12.00 — 13.00
ROZMOWY O JĘZYKU CZYTANIE POETÓW – Jacek Wakar rozmawia z Anną Nehrebecką i Teresą Budzisz-Krzyżanowską	13.00 — 14.00
ROZMOWY O SZTUCE / DEBATY	
WIELODUCHOWOŚĆ II RZECZPOSPOLITEJ – o. Tomasz Dostatni, gość specjalny („Więź”)	14.30 — 15.30
SPOTKANIA AUTORSKIE / SPOTKANIA Z POETAMI	
MAGDALENA GRZEBĄKOWSKA	15.30 — 17.00
PAWEŁ SOŁTYS	17.00 — 18.00
NOC SKAMANDRYTÓW	
MECZ POETYCKI – Julian Tuwim „Lokomotywa”	18.15 — 19.00
SŁAWOMIRA ŁOZIŃSKA – czyta „Listy do siostry” Kazimierzy Iłakowiczówny	19.15 — 19.45
KAROLINA GRUSZKA – czyta „Kwiaty polskie” Juliana Tuwima	20.00 — 20.30
ANNA NEHREBECKA I TERESA BUDZISZ- KRZYŻANOWSKA – czytają Skamandrytów	20.30 — 21.30
ADAM STRUG I MONODIA POLSKA – koncert „Pieśni o wieczności”	21.45 — 22.45
JAZZ BAND MEYNAŃSKI-MASECKI – koncert „Noc w wielkim mieście”	23.00

Czwartek	9 sierpnia
KSIĄŻKI DLA DZIECI OLGA TOKARCZUK – spotkanie autorskie	10.00 — 11.00
ROZMOWY O JĘZYKU AGATA HĄCIA, AGNIESZKA KUNIKOWSKA	12.00 — 13.00
ROZMOWY O SZTUCE / DEBATY	
O PILCHU I NIE TYLKO – rozmowa z Adamem Ferencym	13.00 — 14.00
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ NASZ WSPÓŁCZESNY – Ludwika Włodek, Radosław Romaniuk, Paweł Sołtys	14.30 — 15.30
SPOTKANIA AUTORSKIE / SPOTKANIA Z POETAMI	
ADAM WAJRAK	15.30 — 17.00
ANDRIJ LYUBKA, ANDRIJ BONDAR	17.00 — 18.00
JAROSŁAW KAMIŃSKI, ZYTA RUDZKA	18.00 — 19.00
HERBERT / SZYMBORSKA – Ryszard Krynicki, Michał Rusinek	19.15 — 20.45
TEATR	
DZIENNIK PRZEBUDZENIA – spektakl Adama Ferencę na motywach „Dziennika” i „Drugiego dziennika” Jerzego Pilcha	21.00 — 22.30
Mikołaj Grynberg, Mikołaj Trzaska	22.45
Piątek	10 sierpnia
KSIĄŻKI DLA DZIECI MICHAŁ STRZAŁKOWSKI – spotkanie autorskie	10.00 — 11.00
ROZMOWY O JĘZYKU KATARZYNA KŁOSIŃSKA, MACIEJ CZESZEWSKI, AGNIESZKA KUNIKOWSKA	12.00 — 13.00
ROZMOWY O SZTUCE / DEBATY	
DOMINIKANIN Z JEZUITĄ – o. Tomasz Dostatni, o. Wacław Oszajca	13.00 — 14.00
O SURREALIZMIE, DADAIZMIE I WSZYSTKICH „IZMACH” – Agnieszka Taborska, Tomasz Swoboda	14.30 — 15.30
SPOTKANIA AUTORSKIE / SPOTKANIA Z POETAMI	
OLGA TOKARCZUK, ANTONIA LLOYD-JONES	15.30 — 17.00
WOJCIECH CHMIELARZ	17.00 — 18.00
KRZYSZTOF VARGA	18.00 — 19.00
URSZULA ZAJĄCZKOWSKA, WOJCIECH BONOWICZ (PREMIERA „DZIEŁ PRAWIE WSZYSTKICH” ANDRZEJA BURSY)	19.15 — 20.15
POEZJA	
MAJA KOMOROWSKA – czyta poezję	20.30
Sobota	11 sierpnia
KSIĄŻKI DLA DZIECI SYLWIA STANO, ZOFIA KARASZEWSKA, ADA BUCHHOLC – spotkanie autorskie	10.00 — 11.00
ŻYDOWSKI SZCZĘBRZESZYN – wykład we współpracy z Muzeum POLIN	10.00 — 11.00
SPOTKANIA AUTORSKIE / SPOTKANIA Z POETAMI	
O. WACŁAW OSZAJCA	11.30 — 13.00
EUSTACHY RYLSKI	13.00 — 14.00
MAJA KOMOROWSKA	14.30 — 16.00
ANDRZEJ STASIUK	16.00 — 17.30
WIESŁAW MYŚLIWSKI	17.30 — 19.00
NAGRODA. KONCERT	
UROCZyste WRĘCZENIE NAGRODY CZŁOWIEK SŁOWA	19.00 — 20.00
UROCZyste ZAMKNIĘCIE FESTIWALU I PODZIĘKOWANIE DLA WOŁONTARIUSZY	20.00 — 20.30
MICKIEWICZ-STASIUK-HAYDAMAKY – koncert	21.00



PROGRAM WARSZTATÓW

Poniedziałek	piątek:
10.00 — 11.00 „Skrzynka na bajki” – warsztaty literackie dla dzieci	
10.00 — 11.30 „Szybki kurs pisania komiksów” – Wojciech Szot / Kurzojady	
10.00 — 12.00 „Warsztaty historii mówionej” Mikołaja Grynberga	
10.00 — 12.00 „Szkoła Pisania” – Anna Dziewit-Meller, Grażyna Plebanek	
13.00 — 14.00 „Teatr wyboraźni” – warsztaty radiowe Marka Pasiecznego	

Poniedziałek	czwartek:
10.00 — 11.00 „Warsztat dramaturga” – Iwan Wyrypajew	
Poniedziałek	środa:
7.00 – 9.00 Stanisław Tłubiński – spaceruje krajoznawcze	

Czwartek	sobota:
10.00 — 11.00 „Głos ma głos” – warsztaty Agnieszki Kunikowskiej	
Wtorek:	
10.00 — 11.00 Wycieczka po cmentarzu żydowskim – Maria Fornal	

Środa:	10.00 — 11.00 Wycieczka po Szczepleszynie – Maria Fornal
Piątek:	10.00 — 12.00 Wyprowadź nasusy perełkowane – Adam Wajrak
Sobota:	10.00 — 12.00 „Jak zrobić zielnik?” – Urszula Zajęczkowska
ALBUM RODZINNY / WYSTAWA	
Wtorek	sobota: 10.00 — 18.00
ROSŁAW SZAYBO / WYSTAWA	
Poniedziałek	sobota: 10.00 — 18.00
KINO FESTIWALOWE / PRZEGLĄD POLSKIE HOLLYWOOD	
Poniedziałek	sobota: 10.00 — 12.00
„ABC miłości”, „Ada, to nie wypada”, „Będzie lepiej”, „Doktor Murek”, „Dwie Joasie”, „Dziewieczna szuka miłości”, „Fredek uszczęśliwia świat”, „Jedzia”, „Ludzie Wisły”, „Przez fzy do szczęścia”, „Sportowiec mimo woli”, „U kresu drogi”	

Roztocze. Wschód Kreatywności

Kilka lat temu na spotkaniu w gronie lokalnych liderów w Szczepieszezynie opowiedzialem o mojej wizji zorganizowania wydarzenia literackiego o randze ogólnopolskiej. Spotkałem się wtedy z dużym entuzjazmem i chęcią współpracy. Wówczas mieliśmy tylko nadzieję oraz ogrom pracy do wykonania.

Dzisiaj, gdy piszę te słowa, mamy za sobą trzy niezwykle edycje Festiwalu Stolica Języka Polskiego. Były możliwe dzięki wysiłkowi i zaangażowaniu wielu osób, którym jestem niezmiernie wdzięczny. Ogromnie Wam dziękuję! Festiwal w Szczepieszezynie nie mógłby też rozwijać się bez autorów, poetów, twórców i artystów, którzy przyjmowali nasze zaproszenia. Chciałbym podziękować również czytelnikom, słuchaczom, miłośnikom literatury, teatru i sztuki. Razem stworzyliśmy wydarzenie artystyczne, które jest autentyczne, mądre, oryginalne i nie jest tylko kolejnym „iwentem”. Buduje poczucie wartości, pokazuje piękno sztuki i otwiera możliwości rozwoju jednego z najpiękniejszych regionów naszego kraju. Festiwal to nasze wspólne dzieło.

Spełnianie marzeń napędza mnie do dalszego działania. Kilka lat temu mówiłem w Miejskim Domu Kultury w Szczepieszezynie, że dzięki literaturze, teatrowi i sztuce przyciągniemy na Roztocze całą Polskę. Z badań, jakie realizujemy po każdej edycji, wynika, że w ciągu trzech lat 35 milionów Polaków mogło w mediach usłyszeć o Festiwalu w Szczepieszezynie.

Przed nami kolejne wyzwania. Chcemy rozpocząć rozmowę na temat dalszego rozwoju, który wykorzystywałby



PIOTR DUDA, Dyrektor Festiwalu



**Festiwal
Stolica Języka
Polskiego**

dotychczasowy potencjał Festiwalu. Przede wszystkim jednak pragniemy skoncentrować się na unikalnych wartościach kulturowych i swoistym *genius loci* Roztocza, które od wieków przyciąga twórców, artystów, poetów, ludzi kreatywnych i wybitnych przywódców. Pracuję od ponad 20 lat w przemyśle kultury i jestem zwolennikiem tworzenia projektów, które niosą w sobie potencjał innowacji i stymulują rozwój sektora kreatywnego. Dlatego specjalnie na Festiwal przygotowaliśmy publikację „Roztocze. Wschód Kreatywności”. Jest to próba zmierzenia się z pytaniem, czy nasze działania (Festiwal) mogą być inspiracją do kolejnych inicjatyw. Chcemy tym samym rozpocząć dyskusję, która może doprowadzić do realizacji kolejnego marzenia, o którym mówiłem kilka lat temu. Chodzi o wizję budowy w Szczepieszezynie Centrum Języka Polskiego – instytucji poświęconej językowi i kulturze słowa – nowoczesnego miejsca promocji czytelnictwa. Jest to także próba wskazania, że kultura może, podobnie jak biznes, na wiele sposobów ubogacać miejsce, w którym jest tworzona. Jestem przekonany,

że na Roztoczu może rozwijać się przemysł kultury i sektora kreatywnego, który stanie się kołem zamachowym dla całego regionu.

O tym porozmawiamy w Szczepieszezynie. Teraz zapraszam do lektury naszego dodatku, który przedstawia tegorocznych gości Festiwalu oraz przybliża świat skamandrytów – patronów IV edycji Festiwalu.

Zapraszam do Szczepieszezyna! ©

4 Pięciu wspaniałych

Rozmowa z Justyną Sobolewską i Piotrem Matywieckim

7 Redaktor wychodzi z cienia

Justyna Sobolewska

8 Zamek naszych żywotów

Grzegorz Jankowicz

10 Horror zwyczajności

Konrad Janczura

12 Ostrze stylu

Katarzyna Trzeciak

13 Las jest ważniejszy

Monika Ochędowska

15 Atomy języka

Katarzyna Trzeciak

16 O.T.

Michał Sowiński

18 Pejzaże

Jacek Wakar

21 Dzieci mówią lepiej

Katarzyna Stoparczyk

23 Wiesław Myśliwski: Ucho igielne

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Dodatek
do „Tygodnika Powszechnego” 29/2018**

Redakcja: Michał Sowiński

Okładka i projekt graficzny: Marek Zalejski

Fotoedycja: Edward Augustyn

Skład: Andrzej Leśniak, Marek Zalejski

NA OKŁADCE: Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Jarosław Iwaszkiewicz, Antoni Słonimski, Julian Tuwim // DOMENA PUBLICZNA

WSPÓŁWYDAWCA DODATKU

znak



Wyjazd polskich literatów do Pragi. Jarosław Iwaszkiewicz (pierwszy z lewej), Antoni Stoniński (u góry), Jan Lechoń (drugi z lewej), Kazimierz Wierzyński (pierwszy z prawej), z tyłu stoi Maria Morska-Knaster, Warszawa, 1928 r.

Pięciu wspaniałych

JUSTYNA SOBOLEWSKA, PIOTR MATYWIECKI

Piotr Matywiecki: Dziś życie literackie w Polsce jest podobnie wielobarwne i różnorodne jak przed wojną. Skamandryci wywodzili się z bardzo różnych tradycji: za mistrzów obrali romantyków, czcili też Whitmana i Rimbauda.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Minęło sto lat od powstania grupy – po co nam dziś skamandryci?

JUSTYNA SOBOLEWSKA: Grup poetyckich było wiele, ale ta odegrała szczególną rolę. Pomyśleliśmy, że będą nam w tym roku patronować na festiwalu z kilku powodów. Pierwszy to rocznica odzyskania

niepodległości i rocznica ich powstania, ale nie tylko. Chcieliśmy zwrócić uwagę na sam fenomen grupy artystycznej: na jej rozmach, rozgłos, ferwor polemiczny i umiejętność wpływania na publiczność. Skamandryci są fascynujący i jako grupa, i każdy z osobna – fascynujące są poszczególne losy poetów. O tym wszystkim będziemy

na festiwalu rozmawiać: o tych najlepiej pamiętanych, i tych zapomnianych. Będziemy też słuchać ich wierszy, i to nie tylko po polsku.

PIOTR MATYWIECKI: Gdy mówimy o stuleciu odzyskania niepodległości, automatycznie pojawiają się także skamandryci,

którzy 29 listopada 1918 r. buńczucznie objawili się w kawiarni Pod Picadorem. To wystąpienie zwykło się uważać za rewolucyjne zarówno pod względem poetyki, jak i w kontekście ówczesnego życia artystycznego. Skamandryci mieli specyficzny styl bycia, uwielbiali skandalizować, choć mniej niż występujący z nimi futuryści. Aczkolwiek rewolucyjność ich stylu też bywa względna – jeśli sięgnąć do wczesnych wierszy Tuwima, młodopolszczyzna aż bije po oczach. Wyróżniała ich jednak jakość warsztatu poetyckiego. Muszę się zgodzić z Miłoszem, że Młoda Polska zepsuła składnię polskiego wiersza, tymczasem pierwsze utwory skamandrytów były technicznie i konstrukcyjnie na zdecydowanie wyższym poziomie. Dziś jednak bardziej interesują nas jako pojedyncze, wyróżniające się osobowości, a nie jako grupa.

JS: W momencie pojawienia się mieli już świadomość, że tworzą historię literatury?

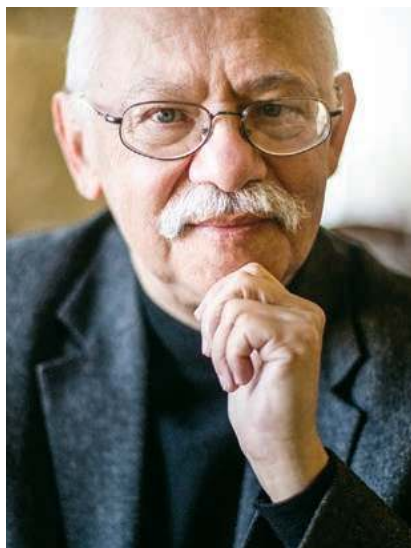
PM: O swojej wadze przekonali się dopiero po wydaniu debiutanckich tomików – natychmiastowa popularność musiała im uświadomić, że stanowią w literaturze pewną epokę, choć nie jestem przekonany, czy zdawali sobie sprawę z rodzaju swojej odmienności. Skamandryci bardzo szybko zajęli centralne miejsce w życiu literackim, stali się autorytetami w dziedzinie poezji. Już po kilku latach namaszczeni twórców młodego pokolenia. „Wiadomości Literackie”, z którymi byli najmocniej związani, miały nakład 15 tys. egzemplarzy, docierały zatem do całej polskiej inteligencji. Były przy tym pismem na fantastycznym poziomie. To nie był wyłącznie organ skamandrytów, ale również medium przybliżające ówczesną literaturę światową, nierzadko bardziej nowoczesną niż sama twórczość Skamandra.

A ich relacje z obozem władzy?

PM: Towarzysko-koteryjnie związani byli z piśmudczykami, ale w zasadzie nie miało to u nich charakteru koniunkturalnego. Wydaje mi się, że trafili do tego środowiska z powodów ideowych. Mimo początkowego anarchizowania był im jednak bliski tradycyjny polski patriotyzm.

JS: Choć przecież na początku chcieli się uwolnić od tematyki narodowej.

PM: Ale nie trwało to długo. Nawet poeta tak eskapistyczny jak Tuwim pod koniec



ADAM KOZAK DLA „TP”

PIOTR MATYWIECKI:

Gdyby Tuwim dostał przed wojną Nobla, to wśród polskiej inteligencji uważano by to za despekt. Homerowi nie daje się Nagrody Nobla. Tomek Mann, proszę uprzejmie, ale Tuwim?

międzywojnia pisał niesłychanie ostre społecznie wiersze, jak choćby cykl o państwie czy „Bal w Operze”. Kazimierz Wierzyński z kolei tworzył teksty niesłychanie mroczne i apokaliptyczne.

Mnie interesują jednak jako grupa – dzisiaj poezja funkcjonuje inaczej, nie ma takich czasopism czy środowisk.

PM: Po 1989 r. w krytyce literackiej i publicystyce pojawiło się oczekiwanie, że wraz z nową niepodległością pojawiają się także nowi poeci. Pod tym względem publicyści i krytycy zawiedli się jednak na bruLionie, który był grupą sytuacyjną *par excellence* i pomimo gwałtownego startu szybko się rozpadł. BruLionowcom nie w głowie było zostawać nowymi skamandrytami.

To dobrze czy źle, że dziś już nie ma takich grup?

PM: Nie wiem. Podoba mi się, że w Polsce życie literackie jest wielobarwne, że funkcjonuje wiele najrozmaitszych estetyk, z których wyrastają wybitni poeci. Przed wojną też tak było. Bardzo ważna jest niejednorodna tradycja, z której wywodzili się skamandryci. Za mistrzów obrali romantyków, czcili też dwóch wielkich poetów – Walta Whitmana i Arthura Rimbauda. Choć Whitman rozszedł tradycyjną polską poezję swoją ekstazytyczną żywiołowością, a Rimbaud surreálną wyobraźnią, skamandryci cenili ich na równi z Mickiewiczem czy Słowackim. U każdego z nich, a najbardziej u Tuwima i Iwaszkiewicza, widoczny był także ogromny wpływ poezji rosyjskiej, która oczyszczała ich z tego, co młodo-polskie.

JS: Ciekawe też były relacje wewnątrz grupy. Wiadomo, że Iwaszkiewicz i Słonimski byli blisko, ale nie była to łatwa przyjaźń.

PM: To były trudne znajomości, ale chyba naprawdę się lubili, a na pewno mieli dla siebie i swoich osiągnięć duży szacunek. Rozłam nastąpił po wojnie, którą tylko Iwaszkiewicz przeżył w Polsce, miał więc zupełnie inne doświadczenia. Wszyscy, a szczególnie Tuwim, mieli potem ogromny kompleks, że nie byli tu w trakcie wojny, że nie współcierpieli.

Do tego doszedł skrajnie różny stosunek do komunizmu.

PM: Niektórzy uważają, że ich rozpad rozpoczął się w dniu, w którym przebywający na emigracji Lechoń zadzwonił do Tuwima, żeby się z nim podzielić wstrząsem wywołanym zbrodnią katyńską. Ponieważ Tuwim nie do końca mógł uwierzyć, że zrobili to Sowiet, Lechoń rzucił słuchawką i raz na zawsze zerwał z nim osobiste kontakty. Chyba wtedy właśnie skończył się Skamander.

Skamandryci nie zawsze pokojowo współistnieli też z innymi przedwojennymi grupami literackimi.

PM: Poeci awangardy, ale też niektórzy międzywojenni krytycy czy filozofowie nie mieli zbyt wysokiego mniemania o walorach intelektualnych tej piątki. ➔

→ Czemu zresztą skamandryci sami byli sobie winni, bo cenili nagi, niczym nieobudowany talent, więc zgrywali się i ukrywali swoją erudycję.

Byli też bohaterami rubryk plotkarskich.

PM: Celebrytami byli niesłychanymi. Przy czym sytuacja Tuwima była szczególnie – odniosłem wrażenie, że cała czwórka otaczała go kultem, był dla nich niemal wybrańcem, bogiem poezji. Inni darzyli się nawzajem dużym szacunkiem, ale to było co innego. Na zewnątrz grupy było podobnie.

JS: Zastanawiam się, czy bardziej brało się to z jego talentu czy też charakteru.

PM: Zapewne połączenie jednego i drugiego. Tuwim był jednocześnie uwielbiany i nienawidzony, głównie przez antysemitów. Istnieją przykre sygnały, że niektórzy ze skamandrytów także hołdowali niektórym odruchowym przesądom antysemickim. Można to niekiedy wyczytać w listach Iwaszkiewicza do żony. Oczywiście przed II wojną światową miało to zupełnie inny wydźwięk.

Historia skamandrytów ma także mroczniejszą i mniej znaną kontynuację po wojnie.

PM: Tuwim zmarł w 1953 r., dlatego w jego przypadku okres powojenny miał mniejsze znaczenie. Ale gdyby na przykład Iwaszkiewiczowi odebrać cały późny okres twórczości, rozpoczynający się wydaniem tomiku „Jutro żniwa”, otrzymalibyśmy poetę o wiele słabszego. Późny Iwaszkiewicz to biograficzna intymność, a poezja tego czasu pełna jest zagadkowych półanegdot i dyskretnych wzruszeń. Zachwyt nad życiem połączony z rozpaczą, a czasem wręcz nihilizmem, tworzył szczególny smak tej poezji.

Lechoń popełnił samobójstwo w 1956 r.

Miał też najwięcej trudności po wojnie. Biadał, że wszyscy piszą tony wierszy, podczas gdy dla niego sukces to pięć czy sześć wierszy rocznie. Ze względu na swoje klasyczne rytmy i rymy bał się łatki tradycjonalisty. Ale bez względu na anachronizm jego strofy były fantastycz-



KRZYSZTOF KUCZYK / FORUM

JUSTYNA SOBOLEWSKA:

Gdy się czyta Tuwima, nawet stary czytelnik staje się młody. Jest w tej poezji vitalność i energia, jest w ogóle coś radosnego w powracaniu do skamandrytów.

nej jakości. Był mistrzem okresu zdaniowego, co dawało dynamikę i siłę nawet bardzo tradycyjnym wierszom. Jan Błoński napisał kiedyś o jednym z późnych jego dzieł, że po Mickiewiczu to najczystsza muzyka polszczyzny.

A Wierzyński? Postać dziś trochę z boku.

PM: On także bardzo się zmienił. Przed wojną zauroczył czytelników młodzieńczą euforią, pogańską radością życia, pan-teizmem wręcz. W jego późniejszej poezji genialne jest przenikanie się wnętrza i zewnątrz. „Ptak przeleciał przeze mnie” – to moja ulubiona jego fraza z „Piątej pory roku”. Ten przelot ptaka otwiera go nagle na wspomnienia z młodości, na krajobrazy Beskidów. Wierzyński był też najbardziej postępowy, pod koniec życia pi-

sał niesłychanie kompetentne i piękne eseje o malarstwie Jacksona Pollocka czy rzeźbie Alexandra Caldera. On, stary skamandryta!

Zostaje nam jeszcze Słonimski, najbardziej zapomniany z całej piątki.

JS: Chociaż funkcjonuje dziś jako publicysta, autor wzorcowych felietonów.

PM: Tak, ale jako poeta został zapomniany, według mnie bardzo niesłusznie. Nie był człowiekiem łatwych wzruszeń, a jednak tworzył wiersze sentymentalne, z których bił intelektualny chłód. Być może z całej piątki był najbardziej anachroniczny, ale jego wczesne, potężne poematy, które z powodzeniem odczytywał Pod Picadorem, przypominały surrealistycznych poetów francuskich czy futurystów. Szybko to zarzucił, ale pamięć o jego dynamicznej, anarchicznej i pacyfistycznej twórczości przetrwała jeszcze długo.

Pan upatrzył sobie jednak Tuwima, czego dowodem jest monumentalna biografia poety.

PM: To prawda, z różnych względów jest mi najbliższy. Po wojnie jako poeta prawie nie istniał. Prawie, bo są dwa albo trzy wiersze równie wielkie jak te przedwojenne. W jednym z ostatnich wierszy komunizujący już Tuwim w skrajnej rozpaczce modli się do figury przydrożnego Chrystusa. To jeden z najpiękniejszych polskich wierszy religijnych. Trudno znaleźć dowody na piśmie, ale prawdopodobnie Tuwim dość wcześniej odkrył, że komunizm nie jest tym, czego się spodziewał. Poruszyła mnie kiedyś opowieść przyjaźniącego się z Tuwimem Juliusza Wiktora Gomulickiego, któremu w latach 50. napotkany Tuwim kazał przeczytać wyjętą z kieszeni kartkę – był na niej wiersz anty Stalinowski. Tej kartki jednak nigdy nie odnaleziono.

JS: Zupełnie różnie układa się pamięć o każdym z nich. Tuwim i Iwaszkiewicz są wciąż obecni, Lechoń, Wierzyński i Słonimski zostali prawie zapomniani. Ciekawe, czy kiedyś wrócą.

PM: Kiedyś mówiono o „czyścicu poetów”. Teraz znajduje się tam na przykład Zbigniew Herbert, o którym wcześniej wiele pisano, aż chyba nastąpił przesyt. Skamandryci czyścić już opuścili – pytanie, co po nich zostało. Na pewno zniknęło poczucie ich odmienności wobec innych poetów

międzywojnia. Dzisiaj czyta się ich na równi z Czechowiczem czy nawet Przybosiem. Luka pokoleniowa i artystyczna zniknęła również w przypadku Leśmiana i Staffa.

JS: Bycie poetą w dwudziestolecie znaczyło jednak co innego niż kiedykolwiek wcześniej czy później.

PM: Gdyby Tuwim dostał przed wojną Nobla, to wśród polskiej inteligencji uważano by to za despekt. Homerowi nie daje się Nagrody Nobla. Tomek Mann, proszę uprzejmie, ale Tuwim?

JS: Powiedział pan kiedyś, że czytając Tuwima nawet stary czytelnik staje się młody. Jest w tej poezji witalność i energia.

PM: Tak, ale pod koniec dwudziestolecia wszyscy wkraczają w okres mroku. To coś więcej niż świadomość sytuacji politycznej w Europie i zbliżającej się apokalipsy. Jest to mroczność czysto egzystencjalna, momentami wręcz diaboliczna. To poeci żywiołowej młodości, ale też niesłyszanego mroku, jak choćby w słynnym wierszu Iwaszkiewicza o tym, że nie ma zmarłych wstania.

JS: Dla wielu stali się też wzorcem poezji, dla niektórych wręcz jej kresem.

PM: Powiedziałem kiedyś Arturowi Międzyrzeckiemu, że Tuwim miał talent porównywalny do Borysa Pasternaka, na co

ten się zdenerwował i zakrzyknął, że Tuwim był tysiąc razy większym poetą. Z kolei Julia Hartwig powiedziała, że jedynymi z bożej łaski poetami polskimi XX wieku byli Tuwim i Gałczyński. Formuła „z bożej łaski” wtedy miała znaczenie, jakiego dzisiaj już nie ma. Choć z rzadka, u młodych poetów znajduje jeszcze ten przeblysł.

A słysząc czasem Tuwima w młodej poezji?

PM: O dziwo było go słyszeć w Nowej Fali, choć nowofalowcy nigdy by się do tego nie przyznali. Jednak kiedy Kornhauser pisze, że państwo jest najwybitniejszym poetą polskim, brzmi to jak kontynuacja wierszy Tuwima. Obywatelskość nowofalowej poezji ma też korzenie u Słonimskiego, który z prawdziwą radością powitał nowe pokolenie poetów. Za imponowała mu ich odwaga cywilna i odwaga poetycka. U późniejszych twórców skamandrytów już raczej nie słyszeć, choć Anna Piwkowska, którą wysoko cenię, ma coś skamandryckiego w technice pisania.

JS: Jest coś radosnego w powracaniu do skamandrytów, także wśród ludzi, którzy nie czytają dużo poezji.

PM: Jadąc kiedyś pociągiem, spotkałem pewnego profesora prawa i wziętego adwokata. Był wprost opancerzony urzędze-

niami służącymi do komunikacji, zupełnie okablowany, zajmował się kilkoma sprawami jednocześnie. W pewnym momencie jednak odłączył się od tych wszystkich urządzeń, schował je do szpanerskiej torby, żeby wyjąć z niej zaczytany egzemplarz „Kwiatów polskich”, który z błogim uśmiechem zaczął czytać.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

PIOTR MATYWIECKI jest poetą, krytykiem literackim, eseistą i bibliotekarzem. Debiutował w 1975 r. tomikiem „Podróż”, od tego czasu wydał kilkanaście kolejnych, ostatni „Palamedes” w 2017 r. Pięciokrotnie nominowany do Nike, laureat Silesiusa (2010). Autor biografii „Twarz Tuwima”, za którą otrzymał Nagrodę Literacką Gdynia w 2008 r.

JUSTYNA SOBOLEWSKA jest krytyczką literacką i dziennikarką. Od 2001 r. pracowała w „Przekroju”, potem w „Dzienniku”, obecnie jest związana z tygodnikiem „Polityka”. Kuratorka i autorka programu Festiwalu Stolica Języka Polskiego w Szczepieszynie.

Redaktor wychodzi z cienia

JUSTYNA SOBOLEWSKA

REDAKTOR to cichy bohater historii literatury. Szkoda, że dziś prestiż tego zawodu w Polsce jest tak mały. Dlatego 6 sierpnia, podczas IV edycji Festiwalu Stolica Języka Polskiego w Szczepieszynie, po raz pierwszy zostanie przyznana Nagroda Wielkiego Redaktora w wysokości 10 tysięcy zł. Inicjatorami i fundatorami Nagrody są Honorowi Konsulowie Wiel-

kiego Księstwa Luksemburga: Tomasz Kopoczyński i Adam Byglewski. Nagroda Wielkiego Redaktora przyznawana jest za całokształt pracy. Ustanawiając ją, chcemy docenić zawód redaktora wydawniczego i uhonorować najbardziej zasłużone dla polskiej literatury postaci tej branży. W Polsce niestety wydawnictwa przestawiły się

na wydawanie jak największej liczby tytułów. Ucierpiała na tym bardzo redakcja książki. Nie ma już właściwie redaktorów wydawniczych, są niemalże wyłącznie redaktorzy prowadzący, którzy jak zawiadowcy stacji – przyjmują i odsyłają teksty. Najważniejsze, żeby było na czas. Kiedyś w tym zawodzie się terminowało: zaczynało się od korekty. Redaktorzy przyglądali się kandydatom. Ważny był zespół i wspólne omawianie tekstów. Niegdyś w PIW-ie pracowało 51 redaktorów w 12 redakcjach. Dziś jest jeden, góra dwóch. W dodatku wydawnictwa oszczędzają

– stawki w tym zawodzie są tak niskie, że trudno się z nich utrzymać. Cierpi na tym literatura i sami autorzy, którzy potrzebują współpracy z redaktorem, jego dogłębnej lektury. Każda niezredagowana książka kole w oczu i obniża prestiż samego wydawnictwa. Warto posłuchać Maksa Perkinsa, legendarnego redaktora książek m.in. Hemingwaya i Francisca Scotta Fitzgeralda, który traktował literaturę jak sprawę życia i śmierci. „Nie może być nic ważniejszego niż książka”, mówił. Czas, żeby polscy wydawcy i inni ludzie związani z książkami – też to wreszcie zrozumieli. ©

Zamek naszych żywotów

GRZEGORZ JANKOWICZ

Syryjska poetka Kholoud Charaf nie tylko prezentuje cierpienie ludzi dotkniętych konfliktem, ale także nieustannie zadaje pytanie o narzędzia, których do tego celu używa.

W swej ostatniej książce zatytułowanej „Widok cudzego cierpienia” Susan Sontag zauważa, że większość z nas postrzega wojnę jako aberrację, której nie da się uniknąć, pokój zaś jako normę, której nie sposób ustanowić.

Sprawa wydaje się oczywista: wojna to zło, wojna to ból, wojna to śmierć. Wszystko, co z nią związane, jawi nam się jako moralnie naganne. Ci, którzy wywołują konflikty zbrojne, zasługują na potępienie i najcięższe kary. Krytykujemy nie tylko sprawców, lecz także tych, którzy wobec doniesień o wojennych zbrodniach zachowują obojętność. Obrazy przedstawiające cierpienie ofiar, zwłaszcza

cza ludności cywilnej, wzbudzają w nas litość (Arystoteles twierdzi, że odczuwamy ją wtedy, gdy dane nam jest obserwować męczarnie ludzi niewinnych, a na dodatek z jakiegoś powodu nam bliskich). Wzywamy do poszanowania praw człowieka, do deeskalacji konfliktu, do zawarcia pokoju, do objęcia pomocą humanitarną wszystkich, którzy jej potrzebują.

Oburzenie i litość przeciwko obojętności i beczynności. A co, jeśli oburzenie i litość, mimo że wydają się najadekwatniejszą reakcją na ludzką krzywdę, przeszkadzają w podjęciu skutecznych działań antywojennych? Co, jeśli na pewnym poziomie to właśnie one czynią nas ślepyi na pewne aspekty kon-

fliktu zbrojnego, które sprawiają, że staje się nieunikniony? Skoro postrzegamy wojnę jako nieuchronną aberrację, to znaczy, że w naszym sposobie myślenia od samego początku obecna jest sprzeczność. Przeświadczenie, że nie można pozbyć się błędu, wywołuje w nas rujnujące poczucie frustracji i bezsilności. A co, jeśli oburzenie i litość są nie tylko reakcją na widok cudzego cierpienia, ale także emocjonalną sztuczką, za pomocą której nasza psychika próbuje uporać się z tym wyjściowym impasem? Wydaje się, że lepiej współczuć, niż pozostać obojętnym, ale są takie sytuacje, w których współczucie zaślepia, blokuje świadomość i unieruchamia nas. Co – rzecz jasna – nie oznacza, że możemy zachować obojętność.



KHOLOUD CHARAF jest poetką, krytyczką sztuki i publicystką. W 2003 r. ukończyła studia na Uniwersytecie w Damaszku i została technikiem medycznym. Przez dekadę pracowała jako analityk medyczny w różnych instytucjach. Przed wybuchem wojny domowej w Syrii podjęła studia literaturoznawcze, które z powodu konfliktu musiała przerwać. Angażowała się w pomoc dla ofiar. W 2016 r. opublikowała swój debiutancki tom „Resztki motyla”. Obecnie pracuje nad drugą książką poetycką. Od marca 2017 r. przebywa w Krakowie jako stypendystka programu ICORN (Międzynarodowej Sieci Miast Schronienia dla pisarek i pisarzy, którzy z powodu prześladowań nie mogą żyć i tworzyć we własnej ojczyźnie).

Właśnie taką lekcję zawdzięczamy Kholoud Charaf, poetce, która w 2016 r., pięć lat po wybuchu wojny w Syrii, opublikowała tom „Resztki motyla”. Jednym z najważniejszych tematów jej wierszy jest konflikt, o którym autorka opowiada z perspektywy krytycznego świadka. Nie tylko prezentuje konkretne zdarzenia, ale także nieustannie zadaje pytanie o narzędzia, których do tego celu używa. Nie tylko pokazuje, ale też podejmuje refleksję nad tym, jak pokazuje. Zastanawia się również nad pozycją, którą zajmuje potencjalny odbiorca – nad jego uwarunkowaniami i ograniczeniami mogącymi przeszkodzić w zrozumieniu doświadczeń, które stały się udziałem ofiar syryjskiej wojny.

W wierszu „Fotografia” wymienia trzy powody, dla których świadkowie starają się udokumentować zbrodnie i przekazać obrazy cierpienia.

„Fotografujemy powietrze które nas połyka / Aby świat zobaczył”. Albowiem tylko to, co widzialne, może stać się przedmiotem troski. Kategorię widzialności trzeba jednak opatrzyć dodatkowym komentarzem. Fakt, że ktoś został przedstawiony na zdjęciu, nie oznacza wcale, że patrzący będzie w stanie tego kogoś „dostrzec” i uznać za osobę godną opieki.

Żeby tak się stało, widz musi być odpowiednio przygotowany. Na jego percepcję mają wpływ podlegające determinacjom politycznym mechanizmy, które pozwalają ująć czyjeś życie i przedstawić je jako wartościowe lub bezwartościowe. Judith Butler nazwała te mechanizmy „ramami” i przypisała im kluczową rolę w naszym stosunku do innych, zwłaszcza tych, którzy doświadczyli krzywdy. Jeśli danego życia nie postrzegamy jako godnego opłakiwania, jeśli jawi nam się ono jako bezwartościowe, wówczas żaden obraz nie wywoła w nas pozytywnej reakcji.

Reinterpretując kategorie Arystotelesa, można powiedzieć, że litość w odniesieniu do cierpienia niewinnych odczuwamy tylko wtedy, gdy osoby te mieszczą się w naszych ramach poznawczych. Pozostali zostają połknięci przez powietrze; znikają w nim bez śladu. U Charaf zadanie świadków jest podwójnie trudne: muszą nie tylko sfotografować ofiary zbrodni, ale także uchwycić na zdjęciu i rozbroić to, co czyni ich niewidzialnymi.

Fotografia

Fotografujemy powietrze które nas połyka
Aby świat zobaczył
Fotografujemy kota co ogryza nasze kości
Aby świat pamiętał

Fotografujemy jak mrówka spada
z głowy cukru i traci przytomność
Aby świat się oburzył
Fotografujemy żeby upamiętnić ból
żeby inni mogli go uniknąć
Świat się od niego odwraca
Fotografujemy oryginalnym panasoni-
kiem
Jak głodują dzieci
Kiedy świat jest syty

Fotografujemy żeby widział żeby
widział żebyś widział
Lecz tylko aparat widzi
Kto powiedział że świat ma oczy
i że ma czas żeby patrzeć

Nie martwcie się tylko trochę się
powóciekamy
Dotkniemy ziemi naszymi stopami
i naszymi łzami
Poruszą się nasze sumienia założymy
nogę na nogę

I nasze dusze się poruszają
Ale świat szybko zmienia kanał

Umrą tony ciała
Upadnie dziecko które utonęło
Świat nagle ujrzy
Lekko westchnie
Ktoś skorzysta z łaski ratunku
I zapomnimy że stworzeni zostaliśmy
jako ludzie

A cała ta Ziemia
Jest zamkiem naszych żywotów
...
Dla nas

Przetł. z arabskiego MAREK M. DZIEKAN

„Fotografujemy kota co ogryza nasze kości / Aby świat pamiętał”. Albowiem pamięć wyznacza trajektorię, po której wspólnota ocalonych może poruszać się w przyszłość. Według Sontag zbrodnie wojenne i tragiczne wydarzenia z życia jakiejś zbiorowości, które nie zostały udokumentowane za pomocą obrazów, wydają nam się bardziej odległe, przez co pozostajemy wobec nich obojętni i rugujemy je z naszej pamięci. „Naszej”, czyli czyjej? „Wszelka pamięć jest jednostkowa – przekonuje Sontag – niepowtarzalna – umiera wraz z człowiekiem. To, co nazywa się zbiorową pamięcią, nie jest pamiętaniem, lecz ustalaniem” (przetł. Sławomir Magała). Wspólnota – lokalna lub globalna – ustala, co jest dla niej ważne, co jest jej dziedzictwem, co zaś brzemieniem; co stanowi fundament jej działania, co zaś wartość nadrzędną. Zdjęcia przedstawiające krzywdy, których doznali niegdyś członkowie danej grupy, stają się częścią kulturowego imagerium. Przypominają o klęskach, porażkach, cierpieniach i bólu poprzednich pokoleń, ich wiktylizacji oraz upokorzeniu. Jednak to nie wszystko. Przywołują również – jak nazywa to Sontag – cud przetrwania. Kot ogryzający kości ofiar to bezmyślny (niewinny, przez co jednak wcale nie mniej bezwzględny) wspólnik niepamięci. Fotografia (podobnie jak wiersz) sprzeciwia się procesowi materialnego unieobecniania cierpienia i anihilacji śladów tego, co kiedyś było żywe.

„Fotografujemy jak mrówka spada z głowy cukru i traci przytomność / Aby świat się oburzył”. Albowiem ofiary zawsze żywią nadzieję, że erupcja oburzenia skłoni innych do działania, przepoczwarzy ich z widzów w aktorów, których reakcje powstrzymają kolejne zbrodnie. W wierszu Charaf świadkowie próbują zwrócić uwagę patrzących na detale, przedstawić im cierpienie w skali mikro, przyciągnąć ich do samej podstawy, wyodrębnić pojedyncze atomy bólu, by uświadomić im skalę problemu, który trzeba rozwiązać.

Wydaje się, że Charaf jest sceptyczna, jeśli chodzi o powodzenie tej misji. Świat, jeśli już spojrzysz, to tylko na chwilę. Jego jedyną reakcją będzie lekkie westchnienie. Być może ktoś zostanie ocalony, jednak →

→ prędzej czy później aberracja w postaci kolejnego konfliktu powróci. Obrazy zostaną zarejestrowane wyłącznie przez maszynę, zobaczy je tylko aparat. Dane zostaną przechowane do późniejszej analizy, która jednak nie przyniesie trwałych zmian.

Kończówka wiersza nie tylko wyjaśnia powody sceptycyzmu autorki, ale też rzuca światło na przyczyny problemu. Zapominamy, że Ziemia jest zamkiem naszych żywotów. Zapominamy, że każdy z tych żywotów powiązany jest z innymi i pozostaje z nimi w zależności. Zapominamy, a nawet więcej: nie dostrzegamy, że pewne działania podejmowane w jednym ze skrzydeł zamku mają wpływ na to, co wydarza się w innych jego częściach. Litość – pisze Son-tag – jest nam potrzebna przede wszystkim po to, by zając „odpowiednią” pozycję wobec władzy. Skoro współczujemy, to znaczy, że stajemy po stronie ofiar, po stronie niesprawiedliwie pokrzywdzonych, a zarazem zachowujemy dystans wobec sprawców. Moralnie jesteśmy bez zarzutu.

Jednak niezależnie od szczerości naszych uczuć cała ta litość jest jedynie fikcją, która służy jako zasłona dla kłopotliwego faktu: nasza pozycja w świecie, nasz dobrobyt i nasze bezpieczeństwo, a mówiąc ściślej – polityczna konstrukcja dobrobytu i bezpieczeństwa, to pośrednie przyczyny cierpienia innych. Być może – zdaje się sugerować Charaf – aberracja jest nieunikniona, a pokój i wolność wydają się nieosiągalne, właśnie dlatego, że zamiast wziąć odpowiedzialność za cały zamek żywotów, nieustannie miotamy się między obojętnością a współczuciem. ©P

Prof. dr hab. MAREK M. DZIEKAN jest arabistą i islamistą, tłumaczem literatury arabskiej, kierownikiem Katedry Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki Uniwersytetu Łódzkiego, wykłada także na Uniwersytecie Warszawskim. Autor ponad 300 publikacji, w tym kilkunastu książek. W swych badaniach zajmuje się głównie historią cywilizacji arabsko-muzułmańskiej oraz problematyką islamu klasycznego i współczesnego, w tym powiązaniami ideologii politycznych i religii.



MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

Horror zwyczajności

KONRAD JANCZURA

Wojciech Chmielarz to twórca sugestywnie opisujący mroczną podszewkę polskiej rzeczywistości skrywaną zazwyczaj pod pocziwą maską.

Nikogo już chyba nie trzeba przekonywać o wartości literatury zwanej gatunkową. Gombrowiczowska drwina z Sienkiewicza „pierwszorzędny pisarz drugorzędny” brzmi już bardziej pretensjonalnie niż błyskotliwie (ostatecznie to Gombrowicz stwierdził, że literatura piękna jest dla mięczaków). Nawet jeśli podział na literaturę pierwszorzędną i drugorzędną kiedykolwiek obowiązywał, twórcy horrorów, kryminałów, romansów i powieści obyczajowych w ostatnich latach zręcznie się z owej „drugorzędności” wyemancypowali.

Jednym z nich jest Wojciech Chmielarz. Trzydziestoczeroletni autor dziewięciu już powieści, wielokrotnie nominowany do Nagrody Wielkiego Kalibru (którą otrzymał w 2015). To bez wątpienia solidny i zręczny rzemieślnik słowa. Może o tym świadczyć fakt, że w przeciwieństwie do innych popularnych autorów obca jest mu beletrystyczna egzaltacja. Nie musi też posiłkować się żadanymi

metafizycznymi rekwizytami. Trudno też szukać u niego pretensjonalnych symboli czy nachalnych kulturowych aluzji. Jego proza w pełni za to realizuje gatunkowe konwencje, jest konsekwentna i zdyscyplinowana i nie rości sobie pretensji do jakiegokolwiek „wyższej” instancji. Podobnie jak Katarzyna Puzyńska, Gaja Grzegorzewska czy Katarzyna Bonda Chmielarz koncentruje się przede wszystkim na konstruowaniu gęstej i misternie zaplecionej fabuły, w której co rusz powracają typowe dla polskiego społeczeństwa problemy: rasizm, ksenofobia czy szowinizm.

Chmielarz stworzył dwa cykle: pierwszy o komisarzu Jakubie Mortce i drugi, zwany „cyklem gliwickim”, w którym bohaterem jest detektyw Dawid Wolski. Te dwie postaci zdecydowanie więcej dzieli niż łączy: Mortka jest pocziwym i rzetelnym policjantem, zmagającym się od czasu do czasu z problemami egzystencjalnymi, zaś Wolski to śledczy amator –

postać bardziej komiksowa, momentami wręcz przerysowana. Gdyby chcieć pokusić się o ryzykowne psychoanalityczne śledztwo, można by powiedzieć, że w ten sposób autor daje ujście dwóm skrajnym typom osobowości, które gdzieś w głębi duszy przechowuje. Jednak zręczność, z jaką od lat operuje on fikcją, zdaje się tej tezie przeczyć.

Śląsk w prozie gliwickiego pisarza pojawia się często – na jego podstawie tworzy wręcz typowe dla kryminalnych serii uniwersum. Tę konsekwencję przełamuje jednak wydana niedawno powieść „Żmijowisko”. Choć akcja dzieje się na głębokiej prowincji między jeziorami i lasami, obecne są tu wszystkie dobrze znane u Chmielarza wątki polityczne i społeczne, ze szczególnym naciskiem na kwestie rasizmu i emancypacji kobiet. Język, konsekwentnie stosowany przez autora od początku twórczości, jest prosty,

pełen poczucia humoru i charakterystycznej autoironii.

Co ważne, problemy te osadzone w pełnokrwistej prozie kryminalnej nabierają innej siły oddziaływania niż ma to miejsce w typowej prozie społecznie zaangażowanej.

Autor z dystansu przygląda się temu, jak w gwałtownie przeobrażającym się polskim społeczeństwie rodzą się niespotykane wcześniej wynaturzenia i powstają nowe marginesy. Obnaża kruchość naprędce budowanych ról społecznych, a także komiczną, bo często nieporadną polską seksualność. U Chmielarza pojawia się także wiele niebanalnych portretów ludzi z najniższych warstw społecznych. W „Farmie lalek” czytelnik zapoznaje się z życiem wspólnoty romskiej i dziwnymi motywacjami, które nią rządzą. W tej powieści znajduje się wstrząsające w swojej szczegółowości studium

pedofilii. Język psychopatów, choć brzmi momentami nieprawdopodobnie, wydaje się być autentyczny – jak zresztą cała procedura śledztwa.

Jeśli więc szukać polskiego autora, którego można by postawić obok Jo Nesbø czy Philipa Kerr, Wojciech Chmielarz jest idealnym kandydatem. To twórca sugestywnie opisujący mroczną podszewkę polskiej rzeczywistości, zazwyczaj skrywaną pod maską pocziwości. A łagodny, nienastawiony na tanią efektywność język tylko uwypukla ten horror dziejący się często w nieoczekiwanych miejscach.

©

WOJCIECH CHMIELARZ jest prozaikiem i dziennikarzem, autorem dziewięciu powieści kryminalnych, ostatnia z nich to wydane w 2018 r. „Żmijowisko”. W 2015 r. za powieść „Przyjęcie” otrzymał Nagrodę Wielkiego Kalibru.

Spotkanie Kietbasa i sznurek: Jerzy Bralczyk w rozmowie z Michałem Ogórkim. Zamość, Rynek Wodny, 6 sierpnia 2017 r.



Ostrze stylu

KATARZYNA TRZECIAK

Językowa elegancja Rylskiego nie ma w sobie nic z nostalgicznego eskapizmu. Jest radykalna, niemal apodyktyczna, bo ma fundamentalne znaczenie dla wspólnoty.

Jest jednym z nielicznych żyjących prozaików, który w czytelnictwie odbiorze ma status wirtuoza słowa. Niemal każda powieść, opowiadanie czy esej Eustachego Rylskiego uruchamiają w recenzjach zapisy o elegancji i kunszcie językowym, o wyszukanych, złożonych frazach czy wreszcie – o podtrzymywaniu ginącej już dziś polszczyzny, która nie rozrzedza się w językowych kompromisach i modach. Rylski jest więc dla swoich czytelników i czytelniczek „arcystylistą”, ma „rozpoznawalny styl”, posługuje się „wysublimowaną polszczyzną”. Tych i podobnych etykiet Rylski ma wiele. Czasem przywoływane są niemal automatycznie, niczym rodzaj identyfikatora, który ma nazwać i ustawić twórcę w szeregu polskich pisarzy i pisarek: „Eustachy Rylski, ten od stylu”.

Ale językowa elegancja nie ma w sobie nic z nostalgicznego eskapizmu przed światem żywej mowy na rzecz skostniałych stylizacji. Postawa Rylskiego jest radykalna, niemal apodyktyczna, a jego elegancji bliżej raczej do ostrości sztyletu, aniżeli do przykurzonego pióra. Jak wtedy, gdy w felietonie zaniedbania w polskiej wymowie nazywał przestępstwem – przesuwanie akcentu na ostatnią sylabę i niechlujność w formułowaniu myśli. Gromy padły wówczas na wszystkich, którzy pozostają głusi na różnicę między „Ameryką” a „Ameryką”.

Obrona językowej poprawności jest rodzajem elitarystycznego puryzmu, ostatecznie przecież zmiana akcentu nie rujnuje samego komunikatu. Różnica w akcencie nie jest różnicą znaczenia słowa, ale niewłaściwa wymowa jest aktem, który zdradza nieumiejętność i niepewność w posługiwaniu się językiem. Ak-



GRAŻYNA MAKARA

EUSTACHY RYLSKI jest prozaikiem i dramaturgiem. Debiutował w 1984 roku dyptykiem powieściowym „Stankiewicz. Powrót”. Od tamtego czasu opublikował kilkanaście powieści, zbiorów opowiadań i dramatów, a także tom esejów. W tym roku ukazała się jego powieść „Blask”.

cent ujawnia różnice, które stają się podstawą dystynkcji mówiących i zwornikami budowy granic wspólnoty.

W tym bezwzględny upomnienie pisarza wybrzmiewa przekonanie, że poza oczywistą funkcją znaczeniową mowy różnice tkwiące wewnątrz tego co tożsame („Ameryka” i „Ameryka”) to wciąż

te same słowa) mają ważną funkcję. Służą definiowaniu przynależności i podziału, konstruowaniu wspólnoty, ale i jej demolowaniu.

W najnowszej powieści, „Blask”, Rylski robi krok w przyszłość. Kreśli wizję chylącą się ku upadkowi wspólnoty państwowej, sterowanej przez cień nieobecnego dyktatora. Główny bohater tego rozpadającego się świata, Gaponia, prawa ręka przywódcy, obserwuje postępującą atrofię tak wodza, jak i jego kraju.

Znikający (dosłownie) Don zbudował swój sukces, obiecując społeczeństwu blask – kojącą fikcję, która choć na chwilę zamaskuje bezsens życia. Blask jednak nie ma określonego desygnatu, jest odległym obrazem, który każdy może wypełnić własną fantazją. Sukces Dona, zdaje się przekonywać Rylski, tkwi w jednym słowie, wypowiedzianym w odpowiednich okolicznościach i dostosowanym do pragnień słuchających. To kwintesencja demagogicznej mowy, która przechwytyje słowa i zamienia je w puste dekoracje. Blask ma sens tylko w kontekście, jego perswazyjność działa tym mocniej, im bardziej nieostre jest samo pojęcie.

Rylski lokuje źródło władzy w jednym, wydawałoby się, zupełnie odległym od potworności słowie – cynicznie przetworzonym, które nabrało sprawczej mocy i przeorganizowało wspólnotę. O siłę języka, jego immanentnej gotowości do przechwyceń i zdemolowania, przekonuje się także Gaponia, pokraczny bohater rozpaczliwie stawiający intelektualny opór. Widzi bowiem, jak jego towarzyszą, bezimienna dziewczyna, ulega językowi zainfekowanemu przez władzę. Przeobraża się wówczas w obcą postać, nie mówi, lecz „jest mówiona” przez powtarzane frazesy. Traci więc to wszystko, co decydowało o jej odrębności i wyjątkowości w rozpadającym się świecie.

„Blask” to opowieści o wadze języka, dlatego styl nabiera tu szczególnego znaczenia. Jeśli bowiem elegancja mowy ma w sobie ostrość sztyletu, to w „Blasku” służy on do rozcinania manipulacyjnych klisz komunikacji. Ostentacyjne przywiązanie do stylu jest zatem wyrazem dystansu wobec dewaluacji mowy. A dystans daje miejsce, z którego wyrasta krytyka – postawa niezbędna, by zainicjować zmianę. ©

Las jest ważniejszy

MONIKA OCHĘDOWSKA

Jest w czytelnicznym obserwowaniu obserwującego coś tak uzależniającego, że do karku i pióra Wajraka przyrastamy niczym huby.

Pobudka o czwartej nad ranem, dopychanie wypadających z bagażnika kaj-tów i płetw, powrót po zapomniany prowiant, dwie nerwowe godziny w korku pod Toruniem i oto jest – urlop, słońce, plaża. I setka innych bladych ciał, które zrzuciły ciasne biurowe mundurki, by paść się witaminą D.

Ale nawet gdy uda się znaleźć kilka metrów kwadratowych wolnej przestrzeni, proszę nie liczyć na samotność. Na każdych dziesięciu centymetrach kwadratowych plaży otoczonej parawanem żyje średnio tysiąc skorupiaków, ślimaków, wieloszczetów, skąposzczetów, roztoczy, larw owadów i innych robaków. Stwory jak z filmów o kosmitach.

Co więcej, pod kocem, który rozkładacie sobie właśnie na piasku, trwa nieprzerwanie wielkie żarcie. Podczas pobytu w Dąbkach czy Dźwirzynie na każdym metrze plaży zniknie materia organiczna o rozmiarze tyłu flader, ile pochłanialiście każdego popołudnia w miejscowej smażalni.

Teoretycznie da się spędzić urlop, nie tracąc naiwnej wiary w możliwość pełnego odosobnienia. Ale nie należy wówczas czytać tekstów Adama Wajraka. Groźba tego, co czyha na czytelników-tropicieli, w szczególności (uchowaj Boże!) ornitologów amatorów, ujawnia się już w jednym z pierwszych tekstów dziennikarza, opublikowanym na początku lat 90., a więc na długo zanim książki o sekretnej naturze roślin i zwierząt wzięły szturmem listy bestsellerów.

„Na dłoniach zauważam dziwne brodawki. Obrosłem puchem – wyznaje przejęty Wajrak, któremu przydarza się coś na kształt Kafkowskiej przemiany – już nie mogę pisać”. W powrocie do właściwej aparycji nie pomagają nawet hamburgery z pierwszego warszawskiego McDonalda. Nostalgiczny czytelnik wytropi

w „(Za)piskach” także mnóstwo innych duchologicznych rarytasów, choćby miejską legendę o Ruskich sprzedających na Stadionie X-lecia niedźwiedzie polarne – tak nośną, że wyewoluowała w głośnego fake newsa.

Przyroda, jak Rusczy z warszawskiej legendy, jest w opowieściach Wajraka dzie-

dziną oszustów. Batesowska mimikra, pozwalająca gatunkom bezbronnym udawać jadowite.

Syreni śpiew kukułki, tak mącący w ptasich mózdkach przybranych rodziców, że karmią przerośniętego podrzutka trzy razy częściej niż resztę →



MARCIN ONUFRIJUK DLA „TP”

ADAM WAJRAK jest ekologiem, dziennikarzem i pisarzem. Związany z „Gazetą Wyborczą”. Autorem ośmiu książek, w których opowiada o swoich zmaganiach z naturą, m.in.: „To zwierzę mnie bierze” (2013) „Wilki” (2015) i „Lolek” (2017).

Szczebrzeszyn, Miasteczko Festiwalowe.
Książki dla dzieci – spotkanie autorskie
z Grzegorzem Kasdepke, prowadzone przez
Sylwię Stano i Zofię Karaszewską,
10 sierpnia 2017 r.



GRZEGORZ WINICKI / FESTIWAL STOLICA JĘZYKA POLSKIEGO

⇒ młodych. I wreszcie dzierzba srokoś, drobny, niepozorny ptaszek w masce Zorro, który swoje ofiary nadziewa na kolec, a potem rozrywa po kawałku.

Uwiedzeni frywolnymi tytułami rozdziałów z początku nie dostrzegamy tkwiącej w uroczych, niemalże bajkowych bohaterach Wajraka bezwzględności, brutalizmu dążących do przetrwania gatunków czy skrytej w alko-wianych protokołach perwersji. Tymczasem dla uważnego oka las bucha splecioną siłą Erosa i Tanatosa, niepo-hamowanym odradzaniem i śmiercią. Wszystko tu wydarza się jednocześnie wedle reguł, które my, mieszcuchy, zwykliśmy oceniać jako potworne. Żałujemy nieodratanego jerzyka, wy-

trawnego aeronauty w locie potrafiącego uciąć sobie drzemkę, natomiast na ziemi tracącego swoje supermoce, nieporadnie potykającego się o lotki. Odwracamy wzrok od rozszarpanego przez drapieżniki jelenia. Tymczasem żubra zabijają po prostu starte zęby, a rannego jeża żywcem podjadać będą muchy. Chcieliby Państwo podjąć walkę z naturą? W menu rekonwalescentki kuny uwzględnić proszę tatar z myszek, natomiast boćka-kuternogę zadowoli sałatka ze świeżych kurczątek.

Cierpliwe wysiadywanie Wajraka w krzakach beznadziejnie bliskie jest sytuacji każdego piszącego, uchodzić więc powinno za wściekle nefotogeniczne. Człowiek obserwujący bieg swoich my-

śli przynajmniej napisze kilka zdań. Co prawda większość z nich później skreśli i znów upłyną godziny, podczas których nic się nie wydarzy, jak relacjonowała noblistka.

Wajrak jest w podwójnie beznadziejnej sytuacji, jednak podczas badawczych nsiadówek osaczają go nie tylko dzicy drapieżcy, ale i, co gorsza, zdania, przed którymi nie ma ratunku, gdy zniecierpliwiony wydawca wydzwaniania do Teremisek, a las jest akurat ważniejszy. Niemniej jest w tym czytelniczym obserwowaniu obserwującego coś tak uzależniającego, że do karku i pióra Wajraka przyrastamy niczym huby. My, mikrzy mikrokonsumenci małych próz.

© MONIKA OCHĘDOWSKA



Atomy języka

KATARZYNA TRZECIAK

Poezja u Zajączkowskiej przekracza sztuczne podziały wypracowane przez naukę. Nie oznacza to jednak, że opisuje szczęśliwe współistnienia ludzi i nieludzkich organizmów.

Opozycja natury i kultury to wciąż, mimo licznych wysiłków, jedna z trwalszych struktur naszego myślenia. Może przejawiać się działaniem dyscyplinującym, które człowiek podejmuje, by naturę okiełznać, uporządkować i spacyfikować. Ale może również prowadzić do działań odwrotnych – wycofywania się ludzi w geście przywracania światu równowagi i wiary, że gdzieś na końcu czeka nas harmonijne współistnienie. Rozdzielenie tych porządków ma konsekwencje także w języku – naturalność konotuje prawdziwość i niezmiennność, służy więc jako argument ostateczny i niepodważalny. Kulturowość bywa z kolei utożsamiana ze sztucznością, tymczasowością, bywa więc nieprzekonująca jako rodzaj powłoki otaczającej prawdziwy świat.

Ta skłonność języka do wytwarzania opozycyjnych porządków bywa szczęśliwie coraz częściej osłabiana przez badania posthumanistyczne, wytyczające zmierną antropocentrycznej mowy i wynikającej z niej ontologicznej pewności. Ale język, w którym te badania formułujemy, wciąż naznaczony jest naszą, na wskroś ludzką perspektywą.

Szczególne miejsce w tym polu zajmuje Urszula Zajączkowska, poetka i botaniczka, w której twórczości łączą się atrybuty nauki i zapis doświadczenia estetycznego. To ostatnie pozwala opisywać świat przyrody poprzez zmysłową ciągłość człowieka i natury, jednocześnie wypracowując zdrową nieufność do konstruktów wypracowanych przez zracjonalizowaną naukę.

„wiechy trzcin podmuchami słońca, / rzędami świec migoczą. / idę blisko, wyciągam do nich dłoni / przeklinając tę chwilę gdy mnie nauczono, / że one od dawna nie żyją” – pierwszy wiersz z tomu „minimum” zdaje relację z kluczowego dla autorki założenia. Problematiczna opozycja natury



TOMASZ GOGOLEWSKI DLA „JP”

URSZULA ZAJĄCZKOWSKA jest poetką i adiunktem w Samodzielnym Zakładzie Botaniki Leśnej na SGGW w Warszawie. Bada anatomię, biomechanikę, aerodynamikę i ruchy roślin. Debiutowała w 2014 r. zbiorem „Atomy”, w 2017 r. została laureatką Nagrody Fundacji im. Kościelskich za drugi tom „minimum”.

i kultury musi zostać osłabiona wraz z drugą, równie uciążliwą – podziałem na naukę i sztukę. Nauka ma swój język. Stoi za nim niepodzielnie panujący rozum instrumentalny, trzcina jest więc obiektem badań, martwym obiektem laboratoryj-

nym, który ma ujawnić swoją strukturę. Rozum instrumentalny utrzymuje się dzięki wytyczaniu granic. W tym układzie sztuce odmawia się wiarygodnego poznawczo wymiaru, jej sposoby wyrazu ustępują naukowej pewności.

W „minimum” Zajączkowska dokonuje wolty wobec tych spolaryzowanych struktur. Do tomu poetyckiego włącza XIX-wieczne ryciny z podręczników do biologii, ale opatruje je swoimi komentarzami. Pisz na przykład: „Ale ja trzymam się tylko tego, że czasem na wykresie pojawia się doskonała plama po herbacie, a łasica przegryza kabel w Wielkim Zderzaczu Hadronów”. Poetka patrzy na ryciny, ale dostrzega w nich coś, co nie jest sednem, co pojawiło się w wyniku przypadku, który z perspektywy nauki nie ma żadnego znaczenia. Podejście naukowe zabezpiecza przed tym, bo posługuje się językiem porządkującym doświadczenie. Powstaje przesłona, spoza której nie wiadać „że tu, teraz / kropla / opada na liść”.

Poezja, jak przekonuje Zajączkowska, jest zdolna przekroczyć podziały wypracowane na gruncie naukowego opisu świata, w którym człowiek badając naturę, próbuje jedynie rozszerzyć swoje panowanie. Nie oznacza to jednak, że poezja opisuje szczęśliwe współistnienia ludzi i nieludzkich organizmów. Wszak harmonia to tylko kolejny ludzki konstrukt. Współistnienie i współdzielenie przestrzeni, które wyłania się z obu tomików Zajączkowskiej, to niepozbawiona napięć koegzystencja w krainie łagodności. Poetka kreśli wizję świata pulsującego energią. Gdy bowiem uruchomimy mikro-perspektywę, okaże się, że wszystkie byty złożone są z napięć – nieustannie ścierają się i przekształcają.

Poezja Zajączkowskiej, poprzez skoncentrowanie uwagi na najdrobniejszych częściach, fragmentach, atomach istnienia, destabilizuje porządek naukowych podziałów. Język jest tu więc nie tyle w opozycji do dyskursów nauki, co raczej służy osłabianiu ich kategoryczności, rozszczelnianiu na inne doświadczenia. Dopiero wówczas, gdy uświadomimy sobie, że potrzebujemy wielu języków, a żaden z nich nie jest samowystarczalny, możliwe będzie przekroczenie hierarchicznych wizji człowieka i natury. ©



ŁUKASZ GIZA / AGENCJA GAZETA

O.T.

MICHAŁ SOWIŃSKI

Olga Tokarczuk twierdzi, że czytanie dobrej powieści sprawia przyjemność i radość. Jest w tej deklaracji kusząco orzeźwiająca beczelność.

Niewielka książeczka eseistyczna „Lalka i perła”, opublikowana w 2001 r., to nie tylko niezwykle przewodnik po „Lalce” Bolesława Prusa, ale przede wszystkim literackie *credo* Olgi Tokarczuk. Autorka „Biegunów”, zniechęcona nudą i banalnością szkolno-akademickich odczytań arcydzieła polskiej prozy, postanowiła stworzyć własną interpretację postaci Wokulskiego i jego uniwersum. Przy okazji otrzymaliśmy unikalną mapę literackiej wyobraźni autorki. Tekst napisany już po „Prawieku i innych czasach” oraz „Domu dziennym, domu nocnym”, ale jeszcze długo przed „Biegunami” i „Księgami Jakubowymi”, pokazuje konsekwencję, z jaką Tokarczuk myśli o literaturze, przede wszystkim tej tworzonej przez siebie.

„Czytanie dobrej powieści sprawia przyjemność i radość” – pisze we wstępie do interpretacji „Lalki”. Jest w tej deklaracji kusząco orzeźwiająca beczelność, nie tylko w kontekście kanonicznego arcydzieła. Na czym polega owa przyjemność i radość? Na „bezkarnym śledzeniu ludzi, zaglądaniu w ich myśli” – rzeczy, bez których trudno sobie wyobrazić prozę autorki „Ksiąg Jakubowych”.

Tokarczuk to jedna z najlepszych opowiadaczek historii w polskiej literaturze ostatnich dekad. Znakiem rozpoznawczym jej prozy jest wielopiętrowa, rozgałęziająca się niemalże w nieskończoność fabuła – zawsze zbudowana z mniejszych opowieści, które to z kolei dają się rozbić na jeszcze bardziej podstawowe literackie atomy. Dlatego też w przypadku Tokarczuk podział na powieści i zbiory opowiadań jest umowny i wynika jedynie z konwencji panujących w świecie wydawniczym.

Najlepszym tego przykładem może być „Dom dzienny, dom nocny”, powieść, w której główny wątek ograniczony jest do niezbędnego minimum, niczym sznurek, na który nanizuje się kolejne fabularne koraliki. Każdy z elementów w buńczuczny sposób różni się od pozostałych, walczy wręcz z nimi o miano ważniejszego, oszalałając swoją pstrokacizną każdego czytelnika, liczącego na przejrzystość i konsekwencję. Proza Tokarczuk przypomina staropolską sylwę, księgę, która w swojej tematycznej i stylistycznej amorficzności miała ambicje stać się całościowym (co nie znaczy, że wyczerpującym) zapisem rzeczywisto-

ści. Dlatego też w „Domu...” obok historii sąsiadki narratorki śledzimy kilkadziesiąt innych historii, choćby biografię tajemniczej świętej Wilgefortis i jej hagiografa mnicha Paschalisa, zapisy snów ludzi z całego świata czy historie kolejnych mieszkańców tytułowego domu.

Tokarczuk z lekkością magika wysypuje z rękawa tysiące historii, które mało kogo pozostawiają obojętnym. Część czytelników odrzuca je jako zbyt pretensjonalne lub wtórne wobec tak silnie wyeksploatowanego już realizmu magicznego. Ci jednak, którzy zdecydują się w nie zanurzyć (a że jest takich wielu, niech zaświadczy choćby pięciokrotnie zdobyta Nike czytelników), tracą bezpieczny dystans, w który początkowo wierzyli. „Bezkarne śledzenie ludzi” nie jest bowiem niewinne – ich życie w niepokojącym tempie staje się naszym.

„Taka literatura pomaga nam rozpoznać się w cudzych istnieniach. (...) nazywa puste przestrzenie, między naszymi własnymi doświadczeniami, myślami”, pisze Tokarczuk, wciąż o „Lalce”, ale tak naprawdę o własnym ideale literatury. Nie może dziwić, że psycholożka z wykształcenia (a także praktyki w czasach przedpisarskich) właśnie wejście w skórę bohatera podczas lektury stawia sobie za najwyższy cel. Literatura, szczególnie ta w wydaniu Tokarczuk, ma niezwykłe zdolności rozwijania w ludziach empatii. Każda lektura to szansa na przeżycie wariantu własnego życia, który w inny sposób pozostawałby nieosiągalny. Aczkolwiek nowe osiągnięcia technologiczne w kwestii wirtualnej rzeczywistości wyglądają bardzo obiecująco, to jednak literatura wciąż jest jedynym medium gwarantującym możliwość pełnej emocjonalnej immersji.

Widać to doskonale już w drugiej powieści w dorobku autorki, czyli wydanej w 1995 r. „E.E.”. Początek XX wieku, Wrocław jest jeszcze ostoją niemieckiego mieszczaństwa, podobnie jak bohaterowie książki. Nieco znudzeni, jakby siłą rozpędu wciąż chodzą po dobrze wydeptanych ścieżkach, choć wszędzie dookoła pojawiają się już subtelne sygnały nadchodzącej katastrofy. Na razie jednak wszyscy pogrążeni są w półśnie, a ich jedyną namiętnością są seanse spirytystyczne. Czy E.E. faktycznie potrafi komunikować się z zaświatami, czy to raczej zręczne sztuczki szukającej uwagi nastolatki? Spierają się o to zarówno ci, któ-

rzy rozpaczliwie wierzą, że sensu naszej rzeczywistości należy szukać w świecie duchów, jak i naukowcy, dla których dusza jest tylko laboratoryjnym obiektem badań dla rodzącej się właśnie psychologii. Pytanie pozostaje nierozstrzygnięte, być może dlatego, że zostało źle postawione. Erna Eltzner bez wątpienia jest medium, bo potrafi sprawić, by przez jej ciało przemawiały obce głosy. I bez znaczenia pozostaje, czy geneza tego faktu ma proveniencję metafizyczną, czy jest raczej przez lata doskonaloną umiejętnością. Wie o tym każdy, kto para się literaturą.

Duchy, które kolejno nawiedzają Ernę, pojawiają się przypadkowo i bez żadnego porządku. Gdy już wypowiedzą to, z czym przyszły, znikają bez śladu. Z ich opowieści nie wyłania się żaden sens – jedne ostrzegają przed mniej lub bardziej konkretnymi katastrofami, inne wygłaszają długie i nużące połażanki moralne,

OLGA TOKARCZUK jest pisarką, eseistką, autorką scenariuszy, poetką, psycholożką. Autorka takich powieści jak „E.E.” (1995), „Prawiek i inne czasy” (1996), „Dom dzienny, dom nocny” (1998), „Bieguni” (2007) czy „Księgi Jakubowe” (2014), a także zbiorów opowiadań, „Gra na wielu bębenkach” (2001), „Opowieści bizarne” (2018) oraz eseju „Lalka i pęta” (2001). Laureatka wielu nagród, w tym m.in. Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1997) oraz Paszportu „Polityki” (1997). Pięciokrotnie nominowana do literackiej Nagrody Nike, którą otrzymała dwukrotnie: w 2008 („Bieguni”) i w 2015 r. („Księgi Jakubowe”). W 2016 r. na podstawie scenariusza pisarki opartego na książce „Prowadź swój pług przez kości umarłych” powstał film w reżyserii Agnieszki Holland „Pokot”, nagrodzony Srebrnym Niedźwiedziem na festiwalu filmowym w Berlinie w 2017 r. W 2018 r. ukazało się angielskie tłumaczenie „Biegunów” („Flights” w przekładzie Jennifer Croft), za które otrzymała The Man Booker International Prize.

a jeszcze inne pojawiają się wyłącznie po to, aby sztytować uczestników seansu. Niekończąca się parada głosów, z których nic nie wynika. Każdy, kto liczył na stabilną prawdę, spotka się wyłącznie z rozczarowaniem – powieść kończy się wybuchem wojny, która zmieni wszystko.

W paradoksalnym świecie Tokarczuk jedynym stałym elementem jest ruch. Gdy w 2007 r. ukazała się „Bieguni”, diagnozy mówiące o płynnej rzeczywistości odchodziły już do lamusa razem z całym postmodernizmem. Gdy 11 lat później odbierała Nagrodę Bookera, okazało się, że jej powieść z zadziwiającą precyzją zdiagnozowała nadciągający kryzys, który przeformułował sposób myślenia Zachodu – przede wszystkim o sobie samym.

Członkowie tytułowej sekty, podobnie jak pozostali bohaterowie książki, instynktownie odczuwają potrzebę ruchu. Wszelka stałość jest nie tylko złudzeniem – to niebezpieczna pułapka. Bieguni wierzyli, że zatrzymany świat zostaje skorpumpowany przez zło, a zbawienie możliwe jest tylko, jeśli zrezygnujemy z iluzji zakorzenienia. Nie chodzi jednak o pochwałę samego ruchu – ten w oczywisty sposób potrafi być siłą destrukcyjną, czego najlepszym dowodem może być kryzys migracyjny ostatnich lat. Katastrofalne jest jednak przede wszystkim złudzenie, że da się nad nim zapanować, budując mury czy politykę opartą na nostalgicznym populizmie.

Ta zasada dotyczy także mechanizmów rządzących jednostką. Główna bohaterka tytułowego opowiadania z „Gry na wielu bębenkach”, gdy ją poznajemy, pogrążona jest w depresji. Iskra życia wraca, gdy odkrywa grupę kolorowych i hałaśliwych ludzi, którzy zapominają się bez reszty, grając na bębnach pod jej oknami. Bohaterka, początkowo nieufna, powoli przyłącza się do nich. Nikt jej o nic nie pyta, do niczego nie zmusza. Może na chwilę stać się kimś innym, kimś nieokreślonym. Innymi słowy – odkrywa, że nie jest skazana wyłącznie na jedno, męczące życie. Dzięki literaturze, która sprawia, że możemy być wieloma osobami jednocześnie, na powrót odyskujemy przyjemność i radość. Nie tylko z lektury.

Pejzaże

JACEK WAKAR

**Świadectwo Mai Komorowskiej
niczego nie zamyka. Wręcz przeciwnie, zostawia wszystkie
drzwi otwarte, przez okno wpuszcza ożywcze powietrze.**

Wtych krótkich chwilach Pani Maja dzieli się ze mną ostatecznością – pisze jej uczennica Julia Kijowska. Ich spotkania ostatnio odbywają się w biegu, w wartkim wirze codzienności, na poszarzałej od obojętności ulicy.

Mam ostatnio kłopot z tą „poszarzałą od obojętności ulicą”. Wróciłem z tygodniowych zimowych wakacji gdzieś, gdzie było cieplej i było słońce, i uśmiechnięci, dziwnie normalnie zrelaksowani ludzie. Nie, wcale nie bogaci, ulica czasem ostentacyjnie brzydka. A jednak jakoś przyjaźnie. Nie czuję tego tutaj. Niby wszystko idzie swoim rytmem, a jednak coraz mniej jestem u siebie. Czuję coraz mniej wolności i źle mi z tym, że coraz mniej chyba takich, co czują to samo. A jeśli nawet są, to powoli i ledwo zauważalnie przyzwyczajają się. Nie chciałbym się przyzwyczaić.

„Spotkania teatralne” – tak nazywała się opowieść Tadeusza Łomnickiego o jego najważniejszych aktorskich i reżyserskich doświadczeniach. Może najwięcej nauczyłem się z tej książki. O aktorstwie przenikającym się z życiem, podporządkowującym sobie, na ile to możliwe, zwyczajną egzystencję. O charakterze wielkiego artysty, dla niego samego stanowiącym prawdziwe wyzwanie. O tym, że osobowością rozsądzał świat teatru – najdosłowniej: w pracy i podczas przygotowań do premiery. Znał swoją wartość, ba, zapewne był świadomy własnej wielkości. Nie przeszkadzało mu to jednak zdobywać się na ostrą autoironię, gdy mówił, że aktorzy to bardzo specyficzny gatunek ludzkości. Widziałem go w sześciu ostatnich rolach, co pozwoliło mi na starcie dorosłego życia poznać alchemię teatru, a także mocno wpłynęło na wy-

bór dalszej drogi. Dziś idę nią już niemal ćwierć wieku. I ciągle pamiętam.

Piszę o Tadeuszu Łomnickim, zmierzając ku Mai Komorowskiej. Łatwo byłoby powiedzieć, że dlatego, iż pierwsze wydanie „Pejzażu” – rozmów, jakie przeprowadziła z nią Barbara Osterloff – w którym zaczytywałem się przed trzynastu laty, mam na półce obok wspomnień legendarnego Łoma i uważam za prawdopodobnie najważniejsze znane mi książki o teatrze.

Tyle że byłoby to za proste. Julia Kijowska, Agnieszka Glińska, Marcin Przybylski (mogłaby to powtórzyć Małgorzata Lipmann i wielu innych wychowanków Pani Profesor) mówią, że spotkania z Mają Komorowską mają moc zmieniać życia.

Łomnicki zmienił mnie, na nowo umeblował widzenie teatru poprzez swoją sztukę, wyznaczył horyzont. Coś podobnego zrobiło po nim kilku innych, nie miejsce tu, by wymienić nazwiska.

Aktorka

Maja Komorowska jest aktorką i od tego należałoby zaczynać. Wciąż przecież można oglądać ją w roli Winnie w „Szczęśliwych dniach” Samuela Becketta w warszawskim Teatrze Dramatycznym, chociaż w listopadzie upłyną dwadzieścia trzy lata od premiery – niemal dokładnie pół mojego życia. Ciągle gra Sarę Bernhardt w „Mimo wszystko” Johna Murrella w warszawskim Teatrze Współczesnym – za dwa miesiące minie od tej premiery lat trzynaście. Weszła po Stanisławie Celińskiej w partię Rabina w „Aniołach w Ameryce” Tony’ego Kushnera w Nowym Teatrze Krzysztofa Warlikowskiego, dopisując do swego dorobku kolejną postać męską, a może raczej jesz-

cze jedno sceniczne istnienie poza płcią. Jest zatem Mają Komorowską aktorką, dla swych studentów była przewodnikiem oraz reżyserem.

Jednak gdy czytam Komorowską w rozmowach z Barbarą Osterloff w nowym, rozszerzonym wydaniu „Pejzażu”, dowiaduję się o aktorstwie, warsztacie, pozwalającym na przeistoczenia, o tym, jak zadomowić się w roli, jak poznać ją, poczuć się w niej bezpiecznie, a potem samą siebie owego bezpieczeństwa pozbawić. Czytam więc o zawodzie, aktorstwo jest na pierwszym planie, przecież „Pejzaż” to opowieść o jej najważniejszych kreacjach, reżyserach, którzy naznaczili ją sobą, autorach poszerzających ludzką skalę.

Mówi też o szukaniu siły w ograniczeniach (choćby unieruchomieniu), o pamięci ciała, nieświadomym, a mającym wyzwalającą siłę śmiechu. Przywołuje skalę poszukiwań i rozległość skojarzeń, jakie towarzyszyły kolejnym scenicznym i filmowym wyzwaniom. Maria z „Wymazywania” Bernharda w inscenizacji Krystiana Lupy? Najpierw krzyk mewy, za chwilę wyrwający się do lotu ptak. Rachela z „Wesela” Andrzeja Wajdy? Rudowłosa ćma, w dziwnym locie wokół lampy czy niebezpiecznie blisko płomienia świecy. Fascynujący jest moment, gdy te połączenia rodzą się podczas pracy, próby, myślenia o bohaterce, ale chyba jeszcze bardziej magiczne stają się chwile, gdy pozostają w niej na dobre, kiedy się z nią spajają, gdy już nie daje się ich oderwać.

Zapis tych mgnień przynosi nowy „Pejzaż”, wzbogacony w porównaniu z poprzednimi edycjami o rozmowy o rolach Arkadiny z „Mewy” Czechowa, Pilar ze „Sztuki hiszpańskiej”, Rezy oraz pani Meister z „Na szczytach panuje cisza” Bernharda (wszystkie w przedstawieniach Krystiana Lupy), dokonany przez Marię Prussak zapis jednorazowego wykonania tytułowej partii w „Konferencji prasowej Demona” Leszka Kołakowskiego, wspomnienia wychowanków (poza wspomnianą Julią Kijowską, Agnieszki Glińskiej i Marcina Przybylskiego), impresję s. Alberty ze Zgromadzenia Służebnic Krzyża na temat dyplomatycznego spektaklu „Przy stole”, a także zaktualizowaną kronikę życia i twórczości bohaterki. Do tego wszystko, co już znamy. Opowieści o Grotowskim, Axerze, Jarockim, naj-



MAJA KOMOROWSKA (wł. Maria Janina Komorowska-Tyszkiewicz) jest aktorką teatralną i filmową; profesor nauk o sztukach pięknych. W 1960 r. ukończyła Wydział Lalkarski PWST w Krakowie. Na scenie zadebiutowała w 1960 r. w krakowskim Teatrze Groteska. W latach 1961-68 należała do prowadzonego przez Jerzego Grotowskiego Teatru 13 Rzędów w Opolu. W 1972 r. dołączyła do warszawskiego Teatru Współczesnego kierowanego wówczas przez Erwina Axera. Z tym teatrem związana jest do dziś. Współpracowała ze wszystkimi najważniejszymi polskimi reżyserami teatralnymi i filmowymi, jest laureatką kilkudziesięciu nagród aktorskich. Bohaterka książki „Pejzaż. Rozmowy z Mają Komorowską” autorstwa Barbary Osterloff (2004).

na myśli, że nie wiem o nikim, kto o teatrze powiedział więcej. Teraz rozumiem jednak, że nie tylko o to idzie gra.

Pisałem kiedyś o Mai Komorowskiej, przeprowadzałem również z nią rozmowę i przeżyłem trudny, ale fantastyczny proces autoryzacji, gdy z krańcowym samokrytycyzmem szukała wciąż właściwych słów, by wyrazić myśli. Spotkałem ją, gdy jechała na plac Defilad, by oddać hołd Piotrowi Szczęsnemu. Spotykałem na widowni, gdy ze skupieniem ogląda przedstawienia. Czasem udaje mi się zerknąć na jej twarz i chyba wiem, co myśli. Bywa, że chłonie spektakl, może jakoś jest na scenie z kolegami, rozluźnia ją sens całości, cieszy końcowy sukces. Zdara się także, że patrzy z twarzą ściągniętą, bez zgody na to, co widzi. Bo nie godzi się tak traktować siebie i widza, bo wszystko ze wszystkim się unieważnia, bo słowa i gest nikną w dziwnym spłaszczeniu. Nie ma w niej wtedy złości, a tylko trudność ze zrozumieniem, dlaczego tak jest, ➔

ważniejszych filmach, graniu komedii, Marri z „Wymazywania”, Winnie z Becketta, „Szaleństwie” Duras.

A przecież mamy jeszcze inny wspaniały dialog Mai Komorowskiej – tym razem z Tadeuszem Sobolewskim w tomie „Pytania, które się nie kończą”, stanowiącym jedyny w swoim rodzaju dokument współlistnienia aktorki i jej ról w „Szczęśliwych dniach” oraz „Mimo wszystko”. Nie do zapomnienia.

A jednak nowy „Pejzaż” czyta się i przeżywa jeszcze inaczej. Powtórzę znowu – Maja Komorowska jest aktorką i z tym nadrzędnym przeświadczeniem czytaliśmy poprzednie wydania rozmów z Barbarą Osterloff, a także „Pytania, które się nie kończą”.

Tym razem powinno być podobnie. Liutki się zgadzają, tyle że jest ich więcej, a nowe fragmenty też przecież mówią najpierw o warsztacie. Znowu łapię się

→ dlaczego reżyser rości sobie prawa do bycia uzurpatorem, co go do tego upoważnia.

Nie z żalu pytam

Kiedy czytam na nowo „Pejzaż” tak samo łapczywie jak wtedy, trzynastcie lat temu, ciągle te chwile z Mają Komorowską sobie przypominam. Odnawiam w pamięci rolę, przywołuję obrazy. Zdaje mi się, że widzę całkiem sporo, choć czas zaciera kontury. Teatr ciągle mnie interesuje, a jednak w tym spotkaniu z wielką aktorką jakby interesował mnie mniej.

W opisach jej kreacji używaliśmy chętnie takich epitetów, w końcu pod czym adresem brzmiałyby bardziej adekwatnie... Ona jednak nigdy samej siebie tak nie określała. Czasem powie niechący, że coś było dobre, ale częściej rozlicza się z samą sobą. Boi się powtórzeń, raz po raz tłumacząc, że już o tym mówiła, pisała. W pierwszej książce „31 dni maja” (grała wtedy w „Letycji i lubczyku” we Współczesnym) teatr był ważny, ale pozostałaś gdzieś na marginesie. Na pierwszym planie było powolne odchodzenie przyjaciół, naturalne niesienie pomocy, wcale nie poszarzała obojętnością codzienność. I maj, gdy wiosna przechodzi w lato, gdy wszystko się zieleni, wszystko kwitnie, a na pewno lipy. Dziecinny Komorów z jego alejami w kwiatkach, rodzice, brat bliźniak, młodsza o sześć i pół roku siostra. Jeden miesiąc z roku 1991, z jego zmiennymi emocjami.

Przypominałem sobie o tamtym nie-zwykłym dzienniku, czytając nowy „Pejzaż”. Już wtedy wiadomo było, że od teatru ważniejsi są ludzie i życie. Można mnożyć określenia, przypominać pracę w Komitecie Prymasowskim, pomoc internowanym, Laski i zwykłe codzienne oddanie innym – przez całe życie Maja Komorowska miała i ma zapewne swoich podopiecznych. Dziś jednak nie to wydaje się najważniejsze.

Blżej końca książki znajduje się tekst, który możemy czytać po raz pierwszy. Tytuł wzięty od strofy Czesława Miłosza: „Nie z żalu pytam, ale z zamyślenia”. Otwiera go zdjęcie Mai Komorowskiej z bratem Piotrem. Jest lato, siedzą na ławce, uśmiechnięci. Pewnie wakacje, chwila najczystszej radości.

Czytam ten fragment i mam poczucie, że zostałem obdarowany. Piotr odszedł w Wielkanoc poprzedniego roku, Maja pisze, że ubyło jej połowę siebie. Dedykuje mu „Nie z żalu, ale z zamyślenia”, czyniąc z tej prozy narzędzie do uporządkowania własnego świata. Znowu możemy się dowiedzieć, co jest dla niej – na prawdę – najważniejsze. Uważność na chwilę, rozmowa trwająca, dopóki się da. Poczucie istotności każdego słowa, aby nie powiedzieć za dużo, nie strywalizować odczuć, ale je oddać często z największą prostotą, a czasem i bezradnością kogoś, kto – jak wspomina Julia Kijowska – przed premierowym spektaklem dyplomatycznym „Panien z Wilka” we własnej reżyserii powiedział tylko jedno: „Nic nie wiem”.

Owo „Nic nie wiem” zamyka stosunek Mai Komorowskiej do ludzi i zdarzeń, do sztuki i do zawodu. Obnaża wszelką rzekomą wiedzę, obraca wniwecz pewność, oznacza ufność, że to, co ma się stać, stanie się. Bez przypadku, bo przecież rolę i przedstawienia Mai Komorowskiej były gotowe tak, jak gotowy może być teatr. Reszta jest już wyzerowaniem siebie, pozostawieniem białej karty. Wiarą.

Po przeczytaniu „Nie z żalu, ale z zamyślenia” wiem, że nowy „Pejzaż” był w tym momencie życia, gdy skończyła chwilę temu osiemdziesiąt lat, dla Mai Komorowskiej sprawą konieczną. Powiedziała w nim to, co chciała, tyle, ile dziś mogła, z dzisiejszej perspektywy. Podkreśla, że nie zakłada, by mógł pojawić się dalszy ciąg, a to, co czuje w tym właśnie czasie, jedynie do tego czasu należy, będzie nie do powtórzenia.

To zawsze podejrzane i to zbyt łatwe, ale chciałoby się zamknąć ten fragment w takiej formule – był on potrzebny Komorowskiej jako autoterapia, próba nadania sensu cierpieniu, zrozumienia, że z każdego bólu płynie coś dobrego. To przekonanie przynależy do chrześcijańskiej wiary, powtarzamy to sobie, ale kiedy dochodzi co do czego, niewiele nam – mnie – to pomaga.

Po jasnej stronie

Nie jest tak, by Maja Komorowska zamykała przeszłość, żegnając swoich bliskich,

mimo że w istocie jest to tekst pożegnania. Rodziców i brata, męża i siostry, ludzi, z którymi połączyły ją mocne więzy na różnych polach życia. Jest wyrazem wdzięczności za to, że ich spotkała, pod czym i my w wielu przypadkach moglibyśmy się podpisać. Dowodem pamięci, zawodnej, kiedy idzie o szczegóły, ale ocalającej najważniejsze. Aurę człowieka i jego wewnętrzne barwy, brzmienie i ton jego głosu. Wreszcie – smak świata i jego zapachy, co zawsze dla bohaterki i współautorki „Pejzażu” miało największe znaczenie.

Gra Winnie i Sarę Bernhardt, spotyka się z ludźmi, czytając im oraz opowiadając poezję. Oczywiście, że chciałoby się, aby weszła na scenę w nowej roli, bo widać, że to byłoby może jeszcze co innego. Ale tak się zapewne nie stanie.

Maja Komorowska ponawia swój teatr w tym, co jest. Blisko ćwierć wieku z Winnie i trzynastcie z Sarą pozwalają jej na inne z nimi życie, prawdziwe ich poznanie, wyjątkowe współodczuwanie. Zatem trzeba będzie zobaczyć to znowu i znowu, choć przecież niby znamy.

Bernhardt napisał w dramacie „U celu”, gdzie Maja Komorowska grała Matkę pod reżyserskim okiem Erwina Axera – „Teatr jest jedną z wielu możliwości, żeby to wytrzymać”. Nie powiem, jak Mai Komorowskiej przyszło „to wytrzymać”, o tym wie tylko ona sama, mnie nic do tego. Jakie mam prawo zamykać w jednej formule jej życie?

Powiem tylko, że „Pejzaż”, role, wcześniej praca w Akademii Teatralnej, były dowodem na sens trwania. Pokazywały, że zgodnie ze słowami Marii z „Wymazywania” „nie można pisać samym bólem”, trzeba być po jasnej stronie. Po jasnej stronie jest ta cała książka wraz ze swym najbardziej przejmującym fragmentem.

Świadectwo Mai Komorowskiej niczego nie zamyka, zostawia otwarte wszystkie drzwi, przez okno wpuszcza ożywcze powietrze. Daje energię, by nie poszarzeć od obojętności ulicy.

© JACEK WAKAR

Tekst oryginalnie ukazał się w portalu wiesz.pl 9 lutego 2018 roku pod tytułem „...Żeby to wytrzymać. Pejzaże Mai Komorowskiej”. Śródtytuły pochodzą od redakcji.



Zamość, Rynek Wodny, 6 sierpnia 2017 r.

Dzieci mówią lepiej

KATARZYNA STOPARCZYK

Dzieci są wolne. Potrafią być tu i teraz, jak mistrzowie zen albo tybetańscy mnisi. Nie ma dla nich rzeczy niemożliwych – także słowotwórczo.

Dziecko rodzi się dzięki uprzejmości taty!” – wypaliła pięcioletnia Julka, a ja zamarłam. Nie po raz pierwszy dziecko zatrzymało mnie w biegu. Wiele razy wychodziłam z przedszkola, niosąc w głowie dziecięce myśli, urwane zdania czy słowa, które nagle zyskiwały nowy sens. Za każdym razem zestawiane ze sobą w absolutnie nieoczywisty sposób, do tego z charakterystyczną nonszalancją. Dzieci lepią słowa jak plastelinę. Są artystami słowotwórstwa, tyle że ich twórczość nie jest wykoncypowana – jest świeża, autentyczna i niebawale kreatywna. Dorosły umysł zwykle już tak nie potrafi. Umie natomiast wnikliwie przyglądać się i badać. Tak było z radiową audycją z cyklu „Dzieci wiedzą lepiej”. Z tego przyglądania się powstało kilkanaście prac magisterskich, praca doktorska i logopedycz-

na. Wszystkie zrodziły się z zachwyty nad dziecięcym talentem słowotwórczym.

„Co to jest rodzina wielopokoleniowa?” – zagadnęłam kiedyś w przedszkolu. W odpowiedzi mały chłopiec rzucił przez ramię: „To jest, jak ktoś się rodzi. Po kolei. Z kolejarza na syna”. Po usłyszeniu takiego zdania trudno wrócić do zwykłego toku rozumowania. Człowiek zaczyna zastanawiać się, jakimi ścieżkami podążają myśli w dziecięcej główce. Ile z nich jest odbiciem słów rodziców, które zostają w cudowny sposób przetworzone przez percepcję młodego rozmówcy, a ile z nich rodzi się z dziecięcej świeżości skojarzeń i myślenia wprost.

Zapytałam kiedyś Kalinkę: „Kim jest pierwsza dama?”. Kalina odpowiedziała natychmiast: „Ale dama nie zawsze jest pierwsza, bo jak się spóźni, to przecież

jest druga”. Proszę spróbować w tym momencie nie wybuchnąć śmiechem. Mnie się nie udało. I to była klęska, ponieważ dzieci tylko na to czekają. Śmieją się głośniejsz niż ja i jest po rozmowie. Ale potrafią też wzruszyć. Pamiętam, jak przybiegł do mnie Łojtek. Miał cztery lata i jak większość jego rówieśników nie potrafił jeszcze poprawnie wymawiać „r”. Stanął przy mnie, spojrzał w oczy i przejęty wyszeptał: „Pani wie? Jesteśmy zbudowani z gwiazdowego pyłu”. To wyznanie było równie nieoczekiwane, co poruszające. Do dzisiaj myślę o Łojtku jak o inkarnacji Małego Księcia. Pomimo bardzo młodego wieku, pielęgnował w sobie wielką pasję. Był przekonany, że któregoś dnia polec w Kosmos i zdobędzie Wszechświat. Wierzył w to szczerze, bo dla dzieci nie ma rzeczy niemożliwych. Dzieci są wolne. ➔

→ Potrafią być tu i teraz – jak mistrzowie zen albo tybetańscy mnisi. Potrafią w jednej chwili oddać całą swoją uwagę. To nie trwa długo, ale zawsze jest spotkaniem z prawdziwym człowiekiem. Człowiekiem, z którym można szczerze porozmawiać o wszystkim. Także o tym, co go boli i przerasta. Choć akurat z trudnymi tematami dzieci radzą sobie doskonale.

Kilka lat temu w Warszawie została zorganizowana konferencja z udziałem najmłodszych dotycząca tabu w sztuce. Ktoś zaproponował, abym porozmawiała z dziećmi na tematy, które w naszym kraju zwykle się omija. I pewnie wszystko byłoby dobrze, gdyby ktoś inny nie pomylił się i zamiast grupy siedmiolatków, przyprowadził mi najmłodszą przedszkolną grupę – trzylatków. Rozejrzałam się po sali. Ludzie teatru zajęli swoje miejsca, publiczność dopisała nadzwyczajnie. Zaczęłam rozmowę, próbując jednak omijać najtrudniejsze tematy. Nagle zauważyłam, że przygląda mi się dziewczynka. Usłyszałam: „Ale proszę pani, jak ktoś umiera, to trzeba go mocno przytulić”. Sala zamarła. Ludzie zrozumieli, że na tej konferencji nie padną już ważniejsze słowa, że właściwie mogłaby się ona w tym momencie zakończyć.

Ale z trudnymi tematami bywało także zabawnie. Zwłaszcza wtedy, kiedy ekspertem zostawał pięcioletni Julek. Pamiętam jego wywód dotyczący życia prywatnego ulubionego kuzyna. Kończył się mniej więcej tak: „Mój kuzyn mówi, że jak mu z trzecią żoną nie wyjdzie, to zostanie biskupem”. W kwestii miłości można było dowiedzieć się także tego, że „jest potrzebna bogatym ludziom, bo oni mają tylko pieniądze”. I trudno odmówić tej argumentacji logiki. Mniej logiczne wydaje mi się zachowanie moich interlokutorów, którzy podczas rozmowy próbują wyrwać sobie mleczne zęby. Zdarza się to dosyć często, wtedy niestety nie jestem w stanie zidentyfikować ich słowotwórczych dokonań.

A te zbieram także od dorosłych. Tak jak wtedy, kiedy w redakcji radiowej Trójki odwiedził mnie Wojciech Młynarski. Rozmawialiśmy o dzieciństwie i on nagle przypomniał sobie rodzinną historię. Kiedy pewnej niedzieli po obiedzie spacerowali we dwoje z córką, małą

■ Zapytałam kiedyś Kalinkę:
„Kim jest pierwsza dama?”. Odpowiedziała natychmiast: „Ale dama nie zawsze jest pierwsza, bo jak się spóźni, to przecież jest druga”.

wówczas Paulina dostrzegła leżącego na chodniku wróbelka. Podeszła bliżej, po czym stwierdziła, że ptak nie żyje. Odwróciła się w stronę ojca i zawołała: „Och tato, jaki ładny trupelek”. Zachęceni tą opowieścią słuchacze zaczęli wysyłać swoje opowieści, a ja skrzętnie je zbierałam. Pamiętam na przykład tę: „Mamo, zaśpiewaj mi piosenkę o małej krówce” – poprosił synek. „O małej krówce?” – zdziwiła się mama. A synek zanucił: „Śpiewajcie i grajcie mu, małe muuuu, małe muuuu!”.

W audycji „Dzieci wiedzą lepiej” znajdziemy takich anegdot bez liku. Mnie niezmiennie bawi historyjka o policjancie. „Kto to jest policjant?” – pytam. „Policjant to taki ktoś, kto stoi na dworzu i czeka na skandal!”. „A co twój tata robi najczęściej?” – dopytuję. „Mój tata najczęściej zdrowo się rozwija” – odpowiedział bystry rozmówca. Słuchając uważnie tego, co mają do powiedzenia dzieci, człowiek z pewnością zdrowo się rozwija, zwłaszcza kiedy pozwala sobie na szczery, oczyszczający śmiech.

Choć nie zawsze jest do śmiechu. Zwłaszcza wtedy, kiedy jedne dzieci potrafią się pochwalić, a innym wydaje się, że nie mają czym. Tak było i w tej sytuacji. Grupa czterolatków siedziała na dywanie. Jeden z chłopców, niezwykle dumny z dokonań swojej mamy, opowiadał: „A wiecie? Moja mama jest tak świetna, że aż pracuje w bibliotece!”. W tym czasie jego kolega z wypiekami na policzkach gorączkowo próbował przypomnieć sobie, jakie zasługi może przypisać swojej mamie. Najwyraźniej nie bardzo mógł, bo w końcu nie wytrzymał napięcia i wypalił: „A moja mama pracuje w pocie czoła!”.

I tak sobie przypomniałam, jak ostatnio w pocie czoła szukałam starego, pomarszczonego kasztana. Dostałam go od małej dziewczynki. Podeszła do mnie w parku, wyciągnęła w moją stronę dłoń i powiedziała: „To jest kasztan. Dla ciebie. Se go weź!”. To se go wzięłam. Tę dziewczynkę spotkałam raz w życiu. Kasztan noszę do dziś. A kiedy jest mi źle, szukam go w kieszeni i ściskam mocno w dłoni. Bo zawsze, bez względu na porę roku, ogrzewa. Bo nie tylko dziecięce słowa mają moc, mają ją także bezinteresowne dziecięce gesty.

Kiedy sir Ken Robinson, znakomity pisarz, a zarazem lider w dziedzinie kreatywności i innowacyjności, postanowił szukać inspiracji, zaczął jeździć po świecie, odwiedzając dzieci w szkołach i przedszkolach. Uważnie się im przyglądał. Ciekawiło go, jak postrzegają świat i co na jego temat mają do powiedzenia. W pewnej szkole wziął udział w lekcji rysunku. W jej trakcie do jednej z uczennic podeszła nauczycielka i zapytała, co rysuje. Uczennica, nie przerywając pracy, odpowiedziała: „Rysuję obraz Boga”. Na co nauczycielka rozbawiona stwierdziła: „Ale przecież nikt nie wie, jak wygląda Bóg”. Na co dziewczynka spokojnie odpowiedziała: „To za minutkę się dowie”.

Dlaczego zacytowałam tę rozmowę? Ponieważ jest w niej zawarta kwintesencja dziecięcości. A ta znosi wszelkie bariery i granice, które niczym zasięki pętają świeżość myślenia w naszej dorosłej głowie. Zapytałam kiedyś dzieci: „Kto z was najczęściej zabiera głos?”, i mała dziewczynka odpowiedziała: „Nikt nie zabiera, każdy ma swój”.

I wtedy pomyślałam sobie, że naszą wspólną odpowiedzialnością jest to, aby dzieci zawsze mogły mówić swoim głosem. Bo wtedy świat będzie nie tylko bardziej kreatywny, ale również lepszy, nie tylko słowotwórczo. © KATARZYNA STOPARCZYK

KATARZYNA STOPARCZYK jest dziennikarką, autorką książek dla dzieci oraz scenariuszy spektakli teatralnych. W radiowej Trójce stworzyła kultową audycję „Dzieci wiedzą lepiej”, współtworzyła także telewizyjny program „Duże Dzieci”. Obecnie prowadzi programy „Zagadkowa niedziela”, „Myślidziecka 3/5/7”, a także spotkania w ramach projektu „Zagadkowa Osiecka”.

Ucho igielne

fragment powieści

Wiesław Myśliwski



PRACOWAŁO SIĘ NA TRZY ZMIANY: OD SZÓSTEJ DO czternastej pierwsza zmiana, od czternastej do dwudziestej drugiej – druga i od dwudziestej drugiej do szóstej rano – trzecia. Przemennie co tydzień na innej. Najbardziej nie lubiłem nocnej zmiany. Sen mnie nieraz zwał z nóg. Toteż gdy brygadzysta gdzieś poszedł na zakład pogadać z kimś czy poszukać, gdzie kto ma wódkę, musiałem choćby te piętnaście minut się przespać. W brygadzie było nas razem z brygadzystą pięciu, w tym dwóch sezonowych. I zawsze któryś zdążył mnie zbudzić, gdy wracał brygadzysta. Ale nie lubiłem i rannej zmiany. Zwlec się o świcie z łóżka wymagało niemal nadludzkiego przemagania się ze snem, bo gdy się już uniosłem, sen mnie kładł z powrotem w pościel. I nie pomagał budzik, mógł dzwonić i dzwonić, sen oddzielał mnie od niego jak mur. Na szczęście prócz budzika czuwała matka. Ojciec chodził na ósmą, więc mógł jeszcze pospać. Matka, jak mówiła, miała budzik w sobie, nastawiony latem czy zimą na tę samą godzinę, i nie musiał jej budzić ani świt, brzask, ani ciemność.

Do liceum gdy chodziłem, pracowałem w każde wakacje jako sezonowy, a gdy nie dostałem się na studia, ojciec załatwił mi stałą pracę na suszarni. Pracowałem w tych samych zakładach, tylko w biurze. Bywało, że z suszarni przerzucano mnie na jakiś czas na inne działy, gdy na suszarni powstała awaria albo płukało się sita czy nie było co suszyć. W sezonie suszyło się morele, wiśnie, śliwki, gruszki, a najwięcej jabłek. Jabłka krajało się w plasterki, potem płukało się w roztworze z siarki, żeby nie zbrązowiwały. Suszyło się te z najlepszych gatunków i odpowiednio przechowane. Gorsze szły od razu na prasę, na sok. Poza sezonem suszyło się jeszcze cebulę, kartofle, tak samo w plasterki pokrajane. Była specjalna brygada obieraczek, która przygotowywała owoce czy warzywa do suszenia. W zimie pracowało się na dwie zmiany, dopołudniową i popołudniową, w związku z czym zwalniano wszystkich sezonowych, a niektórych z etatów przenoszono do innych robót, nawet do sprzątania, zamiatania, co i mnie się zdarzało.

Najcięższą pracą było rozbijanie wytlóków po wyciśniętych przez prasę jabłkach. Te wytloki też się suszyły, wytwarzano z nich pektynę. Pakowało się susz w papierowe worki i gdzieś się wysyłało. Spod prasy wychodziły niemal skaliste prostokątne bloki, rozbijało się je najpierw młotami, a potem roztrzasało widłami. Dzisiaj może są maszyny do takiego rozbijania, wtedy były tylko młoty i widły.

Ręce po tym rozbijaniu i roztrzaskaniu tak mnie nieraz bolały, że gdy się w nocy na bok przewróciłem, od razu sen mnie odchodził. Wiadra z wodą nie dawałem nieraz rady przynieść, żarówki u sufitu wkręcić, gdyż nie byłem w stanie tak wysoko ich unieść, koszuła sobie zapiąć na guziki, przy goleniu zawsze się pozacinałem. Nacierala mi je matka wyciągiem z agawy albo jakimś mazidłem pieprzowcowym poleconym przez aptekarza, ale co się przy tym nauzałala nade mną, to od jej żalów jeszcze gorzej mnie bolały.

– Mój syn. Do czego to doszło. A w diabły to rzuć. Serce mi się kraje, gdy pomyślę, że mój syn robotnik.

– Ale jako robotnik prędzej się dostanie na studia, o tym nie pomyślisz? Państwo robotnicze, to jako robotnik będzie miał fory. A i mięśnie mu od widel stwardnieją. Człowiek musi wiedzieć, w jakich czasach żyje, kiedy go pytają. A on widać nie odpowiadał tak, jak go pytali. Bo jakie czasy, tak i pytają, i tak trzeba odpowiadać. Nic nie ma za darmo. Musi się życia nauczyć. Rozejrzyj się dookoła, gołym okiem widać, że mało kto jest niepojętny. Do tej pory nie powiedział nam, o co go pytali. Widocznie nie umiał być pokorny, że nie dostał się. To widły nauczą go i pokory.

Nie wiem, czy to mądrość doświadczenia przez ojca przemawiała, ale gdy stanąłem przed komisją egzaminacyjną, przewodniczący na wstępie zadał mi pytanie:

– Wybieracie się na etnografię, to powiedzcie nam, co to jest lud?

– My wszyscy – odpowiedziałem bez wahania.

Członkowie komisji jakby z lekka drwiącymi półuśmiechami spojrzeli po sobie, a przewodniczący powiedział:

– Dziękujemy wam.

Na tym skończył się egzamin.

Szedłem któregoś dnia na drugą zmianę na czternastą i nagle doszedł mnie jakby skowyt nieskowny, płacz nie-płacz dziecka. Przystanąłem, z lewej strony drogi pusty plac, na nim przyzmy cegieł, kamieni, desek, belek, a za tym wszystkim, na końcu chałupy. Zszedłem w głąb tego placu i dopiero zobaczyłem dół z lasowanym wapnem, a w nim tonące dziecko, tylko główkę mu widać. Chwila, a i główka skryłaby się w wapnie. Skoczyłem, położyłem się na brzegu tego dołu, wsadziłem ręce po łokcie w wapno, chwyciłem dziecko pod pachy, chciałem je unieść, lecz ręce odmówiły mi posłuszeństwa. Wysiłkiem woli, bo nie mięśni, utrzymywałem główkę dziecka nad powierzchnią wapna. Myśli, serce wszystko we mnie łomotało, bo trzeba było się spieszyć, takie lasowane wapno zre i wciąga niczym bagno. Nie mówiąc, że i mnie mogło wciągnąć, bo przecież nie wypuściłbym dziecka z rąk. A tylko połową ciała, mniej więcej do pasa, leżałem na brzegu tego dołu, drugą z wyciągniętymi rękoma, podsadzonymi pod pachy dziecka, wisiałem nad tym wapnem. Nie wiem, może mi się wydawało, że coraz bliżej widzę tę zapłakaną buzię, te niebieskie oczka, ściśnięte z przerażenia. Najwyraźniej zbliżałem się głową do tej małej główki, jakbym ją przytulał.

Wtem usłyszałem gdzieś w dali, niczym wyrwane z trzewi: Jezus! Maria! I tupot nóg, krzyki, przekleństwa. To matka, ojciec, dziadek biegli od tej chałupy na końcu placu. Czyjeś silne ręce chwyciły mnie za nogi przy kostkach. I mocny, męski głos, jak się okazało ojca, zawył nad moją głową:

– Trzymaj pan! Będę pana ciągnął!

Wyrwał dziecko z moich rąk i pobiegł z nim pod studnię. Wyciągnął wiadro z wodą i wylał je na dziecko, które jeszcze głośniejsze rozpłakało się, niż kiedy tonęło w wapnie. Matka pobiegła z powrotem do chałupy, a za chwilę wy-

biegła z naręczem jakichś szmat, nie tyle płakała, co zawodziła, mój Jezu! mój Jezu! A dziadek dreptał wokół tego dołu z wapnem i biadolił, powtarzając raz po raz:

– A mówiłem, zakryć, Mówiłem, zakryć. Mówiłem, zakryć.

Nie dość mu jednak, widać, było tego biadolenia, bo stanął nad tym dołem, w miejscu, gdzie chłopiec wpadł, i zacząć walić łaską w jego brzeg, aż kurz się wznosił.

– Ty zaraz! Ty pieroński! Żeby cię tak!...

– Co teściu zwariował?! – Ojciec chłopca wyrwał mu tę łaskę, aż się dziadek zachwiał, że o mało sam nie wpadł do dołu. – Ziemię teściu zrzuca do wapna!

Lasowali to wapno na nowy dom. Dom miał być murywany, podpiwniczony, ze spadzistym dachem, strych wysoki, okna duże, oszklony ganek. I miał stać przy drodze, przed tym dołem z wapnem, od drogi dzieliłby go tylko niewielki ogródek na kwiatki. Żadnych bzów czy jaśminów, żeby nie zasłaniać drogi przed widokiem. Rażniej jest, gdy się widzi, kto idzie, kto jedzie, okna nie powinny być martwe.

Jedli akurat obiad w kuchni, a kuchnia mieściła się po przeciwnej stronie, tak że nic nie słyszeli. Zresztą chłopak jadł z nimi, a że był niejadek, to jak zawsze kręcił się, wiercił i nie wiadomo kiedy się wymknął. Myśleli, że może do pokoju poszedł po tamtej stronie, bo nieraz chował się przed jedzeniem pod pierzyną czy pod łóżko włożył. Trzeba go było za uszy ciągnąć albo i z pasem stanąć nad nim. Tak się go nie bije, jednak, to się chucha. A nie wiadomo, czy drugie będzie. Może gdy ten dom się wybuduje. Dzieci kosztują. A niechby tak dwoje, troje i wszystkie niejadki, to ile to cierpliwości trzeba, nim dorośnie. A dorośnie, tak samo nie wiadomo, czy się człowiek będzie cieszył, czy martwił.

Miał ojciec rację. Jako robotnik dostałem się łatwo tym razem na studia, nie poszedłem jednak na etnografię, jak poprzednio, wybrałem historię, a może to historia wybrała mnie, chociaż nie był to sprzyjający czas dla historii. Ze wszystkich bowiem nauk historia jest najbardziej narażona na zakusy tych, którzy chcieliby sobie ją podporządkować. Ale ma również tę przewagę, że jest najbardziej wymagającym sprawdzianem charakterów.

Byłem już po doktoracie i postanowiłem odwiedzić kiedyś ojca. Matka od dwóch lat nie żyła, więc przy okazji wybrałem się na jej grób. Niedaleko miałem do cmentarza, gdy wtęmem widzę, z naprzeciwka wali jakieś potężne, wysokie chłopisko, kroki stawia zamasyście, długie, a przy nim drepce chuchro kobiecina i nadgania dwoma krokami jego jeden. Nie poznałem ich, bo skąd, sporo lat minęło. Ona była wtedy dużo młodsza, wyższa, tęższa, piersi ją rozpychały, trzymała się prościutko, wydawało się, że kilkoro dzieci może jeszcze urodzić, teraz przygarbiona, sucha, okazało się, że dom ją tak zniszczył. Zatrzymali się przede mną i ona do niego:

– To ten pan ci uratował życie. Podziękuj.

Spojrzał na mnie bez cienia wdzięczności, raczej niezadowolony, że on, olbrzym, ma komukolwiek dziękować, że żyje, a tym bardziej jakimś obcemu. I za co? Że go z wapna wyciągnął? Odkąd siebie pamiętał, zawsze rozpiekało go poczucie siły, tak że mógłby się i sam wyciągnąć. Na zabawach bierze dwóch, trzech za czerepy i przez okno wyrzuca. A tu jakiś w kapeluszu, w okularach, z łaską miałby go z wapna wyciągnąć? Wprawdzie z łaską przyjechałem tylko wtedy do ojca, bo nie chodziłem jeszcze z łaską.

– No, podziękuj – zachęcała go matka.

Bez słowa wyciągnął ku mnie wielką jak łopata rękę, podałem mu swoją, ścisnął mi, że aż gwiazdy zobaczyłem.

– Gdyby pan nie szedł akurat do pracy, nie byłoby cię już na świecie – kobiecina rozczuliła się, z jej twarzy biła wdzięczność i za siebie, i za syna, i za zmarłych męża, dziadka, bo od ich grobu wracali.

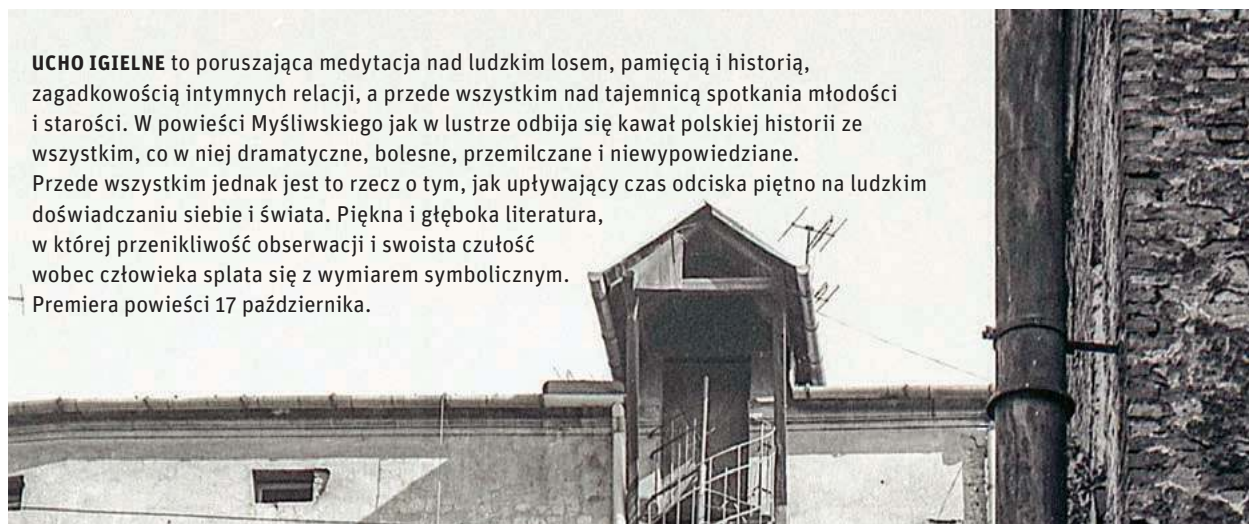
Przejechałem raz i drugi wzrokiem od stóp do głów po tej wielkiej postaci uratowanego niegdyś dziecka i powiedziałem:

– Dzisiaj bym pana nie wyciągnął.

– Dzisiaj bym nie wpadł do wapna, bo dom już stoi – odpowiedział, a na jego, wydawałoby się, obojętnej twarzy pojawił się jakby cień współczucia dla mnie. – A zresztą może i ja kiedyś pana wyciągnę.

– Kiedy nie mam zamiaru budować domu, więc i wapna nie będę lasował.

– Niekoniecznie z wapna. – I dobrotliwie się uśmiechnął. →



UCHO IGIELNE to poruszająca medytacja nad ludzkim losem, pamięcią i historią, zagadkowością intymnych relacji, a przede wszystkim nad tajemnicą spotkania młodości i starości. W powieści Myśliwskiego jak w lustrze odbija się kawał polskiej historii ze wszystkim, co w niej dramatyczne, bolesne, przemilczane i niewypowiedziane. Przede wszystkim jednak jest to rzecz o tym, jak upływający czas odciska piętno na ludzkim doświadczaniu siebie i świata. Piękna i głęboka literatura, w której przenikliwość obserwacji i swoista czułość wobec człowieka spleta się z wymiarem symbolicznym. Premiera powieści 17 października.

→ Po czym wyjął mi laskę z ręki, przeczytał, co na tej złotej tabliczce napisane, i oddając mi ją, powiedział: – Nie wierzyłbym. Własne nogi lepiej pamiętają.

Ojciec, ledwo próg przekroczyłem, zdziwił się, że już o lasce chodzę:

– Co, z biodrem masz kłopoty czy z kolanem?

Potem gdy zrobił mi herbaty, nalał po kieliszku swojej śliwkowej nalewki, zaznaczając, że to już ostatnie pół butelki, którą dla mnie tylko trzyma, ale powinno do jego śmierci starczyć, gdy będę tak rzadko przyjeżdżał, wziął tę laskę i spróbował przeczytać, co tam na tej złotej plakietce napisane. Mimo że od mojego ostatniego pobytu znów zmienił okulary na grubsze, nie dał rady. I dopiero gdy dopomógł okularom szkłem powiększającym, prześlabizował:

„Drogiemu Panu Profesorowi w dowód wiecznej pamięci – wychowankowie”. O, to już profesorem jesteś. Nie mówileś.

– Bo jeszcze nie.

– Ale będziesz, to będzie jak znalazł. Profesor powinien mieć laskę. Jak inaczej poznasz, że profesor? Idzie jakiś, to idzie. Ładnie ci napisali, o, ładnie. Żeby tylko pamiętali, bo różnie i z pamięcią bywa. Mnie już nie zapraszają do Zakładów, jak jakaś uroczystość, odkąd nowy dyrektor przyszedł. Poprzedni mnie jeszcze zapraszał. Cóż, krótka jest ludzka pamięć. Gdyby się tak samemu mogło o sobie pamiętać. Tylko jak, gdy już ciało umrze? Musiałaby pamięć sama po nim żyć. Tylko czy nie więcej by cierpiała, niż żyła?

Po śmierci ojca nie miałem już powodu przyjeżdżać. Jedynie od czasu do czasu na ich groby. Toteż rzadko od-

wiedzałem i tę dawną dziką, zieloną dolinę. Zwłaszcza że z upływem lat coraz trudniej schodziło mi się po tych schodach. Nieraz miałem wrażenie, jakby ich przybyło od ostatniego mojego tu pobytu, a jeszcze trudniej z powrotem wychodziło, nie mówiąc o gasnącej nadziei, że się kiedyś jeszcze spotkamy. I ciągnęła mnie tylko pamięć, gdy ją odprowadzałem do furtki w ogrodzeniu i czekałem, aż dojdzie ścieżką przez sad do domu na wzgórzu i krzyknie mi spośród drzew:

– Hej!

Nie powinno się jednak odwiedzać dawnych miejsc, bo to nie są już te same miejsca. Miejsca jak wszystko przemijają. Zaszedłem więc najpierw do znanej mi z poprzednich pobytów kawiarni w rogu rynku, zamówiłem herbatę i szarlotkę na gorąco z bitą śmietaną i dla dodania sobie otuchy zapuściłem się w swoją młodość, gdy zeskakiwałem do tej doliny po kilka schodków, a z niej ku miastu również po kilka schodków wbiegałem. Złościło mnie nawet, gdy ktoś schodził lub wchodził przede mną, zastawiając mi drogę, a nie dało się go ominąć, gdyż nieraz szedł dla pewności skosami od lewa do prawa i musiałem wlec się za jego krokami. Poza tym niektórzy, doszedłszy do Ucha Igielnego, przystawali, jak gdyby po połowie życia, bo przeważnie wtedy nachodzą nas pierwsze lęki przed przyszłością i zaczyna się człowiek oglądać za przeszłością. A Ucho Igielne znajdowało się mniej więcej w połowie schodów. Przy czym nie było szersze niż na dwie szczupłe osoby lub jedną tęgą, więc przystawałem i ja, chociaż nie miałem jeszcze za czym się oglądać, a przyszłość nie napawała mnie lękiem.

© WIESŁAW MYŚLIWSKI



JACEK DOMINIKI / REPORTER

WIESŁAW MYŚLIWSKI

jest prozaikiem; dwukrotnie uhonorowany Nagrodą Nike (za powieści „Widnokrąg” w 1997 i „Traktat o łuskaniu fasoli” w 2007). Poza tym jest autorem powieści „Nagi sad” (1967), „Pałac” (1970), „Kamień na kamieniu” (1984) oraz „Ostatnie rozdanie” (2013), a także dramatów: „Złodziej” (1973), „Klucznik” (1978), „Drzewo” (1988) i „Requiem dla gospodyni” (2000). Jego utwory

były wystawiane na scenach teatrów, a także w Teatrze Telewizji i Teatrze Polskiego Radia, jak również filmowane („Przez dziewięć mostów”, „Pałac”, „Klucznik”, „Kamień na kamieniu”). Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień, m.in. otrzymał Nagrodę Literacką im. Władysława Reymonta (1997), Nagrodę im. Alfreda Jurzykowskiego (Nowy Jork 1998), Nagrodę Literacką Gdynia (2007), Złote Berto Fundacji Kultury

Polskiej przyznawane wybitnym polskim twórcom (2011). Za „Traktat o łuskaniu fasoli” otrzymał w 2011 r. we Francji Grand Prix Littéraire de Saint-Émilion, a za „Kamień na kamieniu” w roku 2012 w USA – wraz z tłumaczem Billem Johnstonem – The Best Translated Book Award. W 2017 r. został pierwszym laureatem nagrody Człowiek Słowa przyznawanej przez Festiwal Stolica Języka Polskiego w Szczebieszynie.



Festiwal Stolica Języka Polskiego

Festiwal Stolica Języka Polskiego
odbywa się dzięki życzliwości wielu osób, firm, instytucji.

Dziękujemy za wsparcie!



MECENASEM FESTIWALU
JEST ALIOR BANK



Marszałek
Woj. Lubelskiego
Sławomir Sosnowski

Festiwal został zrealizowany
we współpracy z Województwem
Lubelskim

WSPARCIE FINANSOWE
I WSPÓŁORGANIZATORZY IV EDYCJI

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Starosta Zamojski
Henryk Matej



Gmina i Miasto
Szczepieszyń



Miasto
Zamość



Obrót S.A.

ZAiK
Stowarzyszenie Autorów

KSIĘGARNIA
FESTIWALOWA



JEDYNA TAKA KSIĘGARNIA

PARTNER
LOGISTYCZNY



ENERGOZAM

INTERNET
DOSTARCZA



PARTNERZY
FESTIWALU 2018



lubelskie
Smakuj życie!



WYtwórnia



FINA



TRIMEX
media ogólnopolskie

MediaMarkt



Krasnaw

SYNERGY



acoustic
agencja artystyczna



WZKart



MEDCOM

Jedynka
KULTURA

dwojka
KULTURA

TYGODNIK
POWSZECHNY

WIEZ

akcent

tygodnik zamojski

nowy kurier

kronika

kurier

Skafander

Awangarda

szczębrzeszyn

roztocze.net

lubimy czytać.pl



Festiwal
Stolica Języka
Polskiego

SPOTKANIA AUTORSKIE – KONCERTY – WARSZTATY – SPEKTAKLE

Banaszak, Bonaszewski, Bondar, Bonowicz, Buchholc, Budzisz-Krzyżanowska, Buzek, Charaf, Chmielarz, Chrząstowski, Czeczot, Czeszewski, Dostatni, Dziewit-Meller, „Fazi” Mielczarek, Ferency, Fiedorczuk, Fornal, Franaszek, Gauden, Górską, Górski, Gruszka, Grynberg, Grzebałkowska, Haydamaky, Hącia, Jankowicz, Jazz Band Młynarski-Masecki, Kamiński, Karaszewska, Karimski Club dla Dzieci, Klawiter, Kłosińska, Komorowska, Konrad, Krynicki, Kumor, Kunikowska, Kurzójady, Landowska, Lloyd-Jones, Lyubka, Łojewska, Łozińska, Łubieński, Małecka, Małowska, Matywiecki, Mikuła, Mogilnitzky, Monodia Polska, Moskal, Myśliwski, Nehrebecka, Nogaś, Nosowska, Oszejca, Pańta, Pasieczny, Plebanek, Puzynina, Reczek, Robert, Romaniuk, Rudzka, Rusinek, Ryłski, Sadowska, Seniuk, Sobolewska, Sobolewski, Soliman, Sołtys, Sommer, Stankiewicz, Stano, Stasiuk, Stoparczyk, Strobel, Strug, Strzałkowski, Swoboda, Szot, Taborska, Tokarczuk, Trzaska, Varga, Wajrak, Wakar, Więckiewicz, Winiarska-Górska, Włodek, Wolny-Hamkało, Wróblewski, Wyrpajew, Zajączkowska, Załazińska, Zaniewski

5 sierpnia — 11 sierpnia
Szczeczeszyn 2018

5 sierpnia 2018 — Dzień Zamojski